OBRAZKI

Z OBYCZAJÓW

LUDU WIEJSKIEGO.

PRZEZ

W. Wielogłowskiego,

zka Towarzystwa Rolniczego Krakowskiego.

Wydanie trzecie.

Sześć łazków razem zebranych (**Leniwy Bartek, uba Jarmarczny. Franek Pijanic Wsiowi Złodzieje, Grzeszni Rodze i Występne Dzieci i Narada Gromadzka.**

KRAKÓW 1857.

K..garni i wydawnictwie dzieł katolickich naukowych i rolniczych.

Drukiem Karola Budweisera i Spółki.

OBRAZKI

Z OBYCZAJÓW

LUDU WIEJSKIEGO.

przez

W. Wielogłowskiego.

[illegible]

Wydanie trzecie.

[illegible] razem zebranych (Leniwy Bartek. Kuba Dormarczyny. Franek Pijak. Wiejscy Złodzieje, Grzeszni Rodzice i Występne Dzieci, i Narada Gromadzka.

KRAKÓW 1857.

[illegible] i wydawnictwie dzieł katolickich naukowych i rolniczych.

Drukarnia Karola Budweisera i Spółki.



Leniwy Bartek.

OBRAZKI

Z OBYCZAJÓW

LUDU WIEJSKIEGO.

PRZEZ

W. Wielogłowskiego.

Członka Towarzystwa Rolniczego Krakowskiego.

Wydanie trzecie.

Sześć Obrazków razem zebranych (**Leniwy Bartek, Kuba Jarmarczny, Franek Pijanica, Wsiowi Złodzieje, Grzeszni Rodzice i Występne Dzieci i Narada Gromadzka**.

KRAKÓW.

W księgarni i wydawnictwie dzieł katolickich naukowych i rolniczych.

Drukiem Karola Budweisera i Spółki.

1856.

OBRAZEK
ZWYCZAJÓW
LUDU POLSKIEGO.

Pisał

[illegible]

[illegible]

Wydanie trzecie.

[illegible]

KRAKÓW.

W Księgarni i wydawnictwie dzieł katolickich naukowych i rolniczych.

Drukiem Karola Budweisera i Spółki.

SZANOWNEMU KOMITETOWI

TOWARZYSTWA

ROLNICZO KRAKOWSKIEGO

poświęca

Autor.

Przedmowa autora

do tego wydania.

Łaskawe ocenienie przez publiczność drobnéj mojéj pracy, w Obrazach ludowych, i spieszne rozkupienie dwóch wydań, ośmiela mnie ogłosić trzecia edycya, w formacie dogodniejszym i obejmującym zebrane w całość pojedyncze zeszyty. Waruuki sprzedaży zostają te same co i w dawnych wydaniach, chociaż koszta nakładu są nieco większe.

Przemilczyć tu nie mogę uczuciów szczeréj wdzięczności, dla Szanownego Komitetu Towarzystwa Rolniczego Krakowskiego, który zaszczycając mnie listem tu poniżéj umieszczonym, zachęcił razem do dalszéj na téj drodze pracy. Również nie małą dla mnie była otuchą, przychylna, a ze

zwykłą gruntownością skreślona krytyka w Dzienniku Czas, która pochwalając zadanie jakie sobie założyłem, ostrzegła mnie o niektórych w dziełku tém usterkach.

W nowém wydaniu skorzystałem z łaskawie zrobionych mi uwag i błędy poprawiłem.

Nie godzi mi się również pominąć bez wdzięcznego wspomnienia, listu Czcigodnego Kapłana Wgo Księdza Dziekana Danka, z Dyecezyi Przemyskiej, który, obok moralnéj zachęty, dużo się materyalnie przyczynił, do postawienia mnie w możności wydania trzeciej edycyi.

Tak dla mnie przeważnym odpowiadając zachętom, piszę w ciągu dalszym, Obrazki z domownictwa Wiejskiego, i te ogłoszę drukiem, gdy sprzedaż III. wydania pierwszéj mojéj pracy, przysporzy zasobów.

W. Wielogłowski.

Do Wielmożnego

W. Wielogłowskiego

Czynnego Członka Towarzystwa Rolniczego w Krakowie.

Przy odezwie z dnia 3. b. m. Komitet miał zaszczyt otrzymać poświęcone mu przez Szanownego Członka dziełko, *Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego*, Poszyt I. pod tytułem: *Leniwy Bartek*, wraz z 20tu bezpłatnie ofiarowanemi egzemplarzami.

Oświadczając najpowinniejsze podziękowanie za ten uprzejmy dowód ocenienia jego usiłowań około dobra krajowego, Komitet nie może pominąć uznanie wysokiej wartości praktycznéj podjętéj przez Szanownego Członka pracy, rokującéj błogie skutki w moralnéj poprawie naszego wiejskiego ludu; i wynurzenia zarazem najszczeı-

szych życzeń, zasłużonego ze wszech miar powodzenia w tém prawdziwie obywatelskiém i chrześcijańskiém Jego przedsięwzięciu, przyczynienia się tak skutecznie do dobra społeczeństwa.

z Komitetu c. k. Towar. gospodarczo-rolniczego.

Prezes
Michał Badeni

Sekretarz
Jawornicki.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Uderzony originalnościa i trafnem oddaniem obyczajów ludu wiejskiego, i ucieszony religijnym duchem który (co się niestety rzadko teraz zdarza) w dziełach Wielmożnego Pana przebija: upraszam o przysłanie dla mojego dekanatu

50 Egzemp.	*Leniwego Bartka*	pr. 6 k.	5 złr.
50 „	*Kuby jarmarcznego*	pr. 6 k.	5 złr.
50 „	*Franek pijanica*	pr. 6 k.	5 złr.
	Razem		15 złr.

mówię: Pietnaście złr. m. k. która te kwotę załaczeniu posyłam.

Racz Wny Pan Dobrodziej przyjać zapewnienie. etc.

Gnojnik 22. Października 1856.

Ks. Danek

Dziekan.

Obrazek z obyczajów ludu wiejskiego.

LENIWY BARTEK.

Przedmowa autora.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.
Na wieki wieków Amen.

Pogawęda przed chałupą.

„Zdałoby się i zarobić, gdyby dobrze zapłacili“. ***Bartek.***

Młynarz. Cóż porabiacie Bartłomieju, zdrowiście dobrze?

Bartłomiéj. Oj tak tam, za wola Boską!

Młynarz. Wygrzewacie się jak widzę przed chałupą; nie macie to co robić? Zasialiście to już?

Bartłomiéj. Ej gdzie tam zasiałem, czemże miałem zasiać, kiedy nie mam ziarna.

Młynarz. To sobie kupcie Bartłomieju a zasiejcie, bo pocóż ma rola próżno leżyć? albo téż sprzedajcie pola na trzy lata, to weźmiecie z pięć talarków.

Bartłomiéj.` Jużci by tak trzeba zrobić i sprzedać, ale człowiek niema czasu za tém chodzić. Gdybyście wy chcieli chwycić, tobym wam spuścił stajanko.

Młynarz. Dla czego nie! ja chwycę choćby i dwa stajanka ale i tak wam pola zostanie, tobyście mogli resztę obsiać dla siebie.

Bartomiéj. Przecieście słyszeli kumotrze, że ziarna nie mam.

Młynarz. Będziecie mieć za co kupić, gdy u was chwycę rola i wyliczę wam talary.

Bartłomiéj. A wystarczy to na siew? przecież trzeba kupić pierwéj na chleb choćby półkorca jakiéj życiny.

Młynarz. Na chleb? to zarobicie sobie we dworze, wszak tam zawsze jest zarobek.

Bartłomiéj. A jużciby się tam i przydało zarobić, gdyby dobrze zapłacili!

Młynarz. A źle to płacą we dworze? przecież dają po złotemu, a chłopu to i po sześć czeskich.

Bartłomiéj. Ej to mało, urobić się to człek przez cały dzień, urobi.

Młynarz. A gdzież więcéj płacą?

Bartłomiéj. Za krakowem więcéj płacą? bo dają i po dwa złote i jeść.

Młynarz. To idźcie za Kraków i zarobicie sobie na chléb.

Bartłomiéj. Ej kiedy daleko! nie chce się chodzić.

Młynarz. To się najmijcie do stawiarki, bo płacą po 12 groszy od siąga.

Bartłomiéj. Ej kiedy mało, a robota ciężka, ziemię do góry taczać.

Młynarz. Przecież chłop zarobi złp. 2 gr. 12 na dzień, bo jakby nic sześć siągów urwie do wieczora, a robota w miejscu, nie trzeba jéj daleko szukać, i na południe można iść do chałupy.

Bartłomiéj. Ej kiedy mało dwa czeskie od siąga, — może dadzą więcéj,

toby tam człek zobaczył, choćby później!

Młynarz. Nie gadajcie próżno Bartłomieju, bo dobrze płacą a macie pieniądze i robotę w domu, jakby w garści.

Bartłomiéj. Jużci by tam i było, ale kiedy robota ciężka i trzeba krzyżów nałomać. — Choć teraz człowiek przymrze głodem, to się przynajmniéj nie urobi. Gdyby się zaś trafiła lżejsza robota, tobym może i poszedł.

Młynarz. To idźcie dach pobijać, bo już stodołę zbudowali, a płacą po 6 gr. od wybicia kopy gontów, dobry chłop to najmniéj pietnaście kóp na dachu wybije.

Bartłomiéj. Ej kiedy mało płacą! gdzie indziej płacą po siedm groszy, a w Krakowie to zapłacą czasem i ośm.

Młyarz. Nie bajcie próżnych plotek gospodarzu, bo za sześć groszy człowiek obstoi.

Bartłomiéj. Takci tam obstoi; mój młynarzu, obstoi; miły Boże, za te trzy złote na dzień, to niewiedzieć coby i kupić? Czy chleba czy téż soli, czy przyodziéwę? zdałaby się i szkapa, choćby robić ze sprzę-

żajem. — Na nicto mój młynarzu na nic! Człowiek się natrapi i tyla!...

Młynarz. A i cóż wy będziecie robić Bartłomieju, gdy nie zasiejecie? z czego wy będziecie żyć cały rok?

Bartłomiéj. Trzeba tam będzie jako kręcić, choćby téż sprzedać i sąsiek albo z pół chałupy? Możebyście młynarzu kupili? Gdybyście mi cheieli wcześniéj dać pieniądze, tobym wam i taniéj spuścił.

Młynarz. A gdzież z dzieciskami będziecie utykać Bartłomieju, jak sprzedacie chałupę?

Bartłomieju. Jużci na tę zimę, tobym sobie jeszcze zostawił izbę, a sprzedałbym tylko sień, stajnia i komorę, a potém, to jakbym tam widział!... Możeby się i reszta sprzedała i poszedłbym w służbę.

Młynarz. A drobne dzieci w coby się obróciły?

Bartłomiéj. Ej, co starsze, toby poszły do sąsiadów za bydłem, a młodsze puściłbym na wieś, niechby sobie tam uprosiły.

Młynarz. Oj źle, grzech, zmarnować

tyle pola, i takiego gruntu, i łakę, a o próżna rzecz, że się robić nie chce.

Bartłomiéj. Co zaś gadacie młynarzu nie chce!“ albom ja się to mało napracował za nieboszczyka ojca!? — Trzeba było rano wstać, dać koniom jeść. Potem człowiek sam mało pojadł, jeśli matka co przystroiła, chyba tam tego żuru z ziemniakami, i zaraz hala do lasa! — Przywiezło się na południe klocek drzewa albo trotu z gałęzi, i zjadło się znowu téj tam kaszy albo pęcaku i kapusty z grochem, i trochę téż karpieli ozdobionych, a potem jechało się do lasu albo w gruncie robiło. — I tak co dzień od rana do nocy. A późniéj gdy nieboszczyk ojciec umarł, to się téż człowiek ożenił, ale nie z bogactwem, bo to nie miało tylko dwie krowy i jałówkę a siedm morgów pola, i tych korali całe trzy nitki. A gdy objałem grunt nie miałem się jako ratować, więc téż sprzedałem najprzód krowę, a potem druga i jałówkę; korale u żyda zastawiłem, i przepadły, późniéj sprzedało się konia a została mi kobyła ze źrebięciem. Ale miły Boże, przyszła bieda

i niedługutko musiałem sprzedać i kobyłę, a potem półwozie, aże drugie, i tak zmarniałem do końca.

Młynarz. Ale cóż wysiedzicie Bartłomieju przed chałupą? choćbyście cały dzień medytowali to wam nic nie przybędzie. Zabierzcie się do jakiéj pracy. — W lesie siągi rąbią, w górze kamień łomią.

Bartłomiéj. Miły Boże! a podolę ja to takiéj robocie? gdzie zaś mam podołać mój młynarzu, gdzie! nigdy na świecie!

Młynarz. Co zaś nie macie podołać. a czy was to nie stać? czyście to chorzy albo kaleka?

Bartłomiéj. Takci wam się to zdaje, tak, mój młynarzu, iż się obwąchacie tego tochmalu z młyna, a co wy namielecie to baba upiecze, ale ja ani ziarnka nie mam, to z czegóż mi ma baba upiec?

Młynarz. To ja wam ziarna pożyczę, a odrobicie mi z łopatą przy rzece, bo wodę trzeba przytrzymać.

Bartłomiéj. Bóg wam zapłać mój młynarzu, ale nie pójdę, bo niemam czasu,

gdyż moja wyszła a nie ma kogo zostawić przy chałupie.

Młynarz. Nie macie czasu, a nic nie robicie.

Bartłomiéj. Oj narobiłem ja się dość mój młynarzu, narobiłem, za nieboszczyka ojca — gorzéj sie narobiłem jak czeladnik!

Młynarz. Kiedy tak, to bywajcie zdrowi Bartłomieju, poszukam innego chłopa.

Bartłomiéj. Oj przydałoby sie i zarobić, przydało, gdyby dobrze zapłacili, miły Boże! upracuje sie téż to człowiek upracuje przez cały ten święty dzień, a wieczór to nie ma co i do gęby włożyć!

Sołtys i Bartłomiéj.

Sołtys. Dopókiż ja będę chodził do was Bartłomieju o ten podatek?

Bartłomiéj. Albo ja was to proszę Sołtysie, abyście do mnie chodzili?

Sołtys. Ja tu do was nie przychodzę z ochoty, tylko z nakazu.

Bartłomiéj. Niechże tam, ale cóż kiedy nic nie wychodzicie.

Sołtys. Wychodzę ja, wychodzę, jak was sprzedam z kretesem.

Bartłomiéj. To tam sprzedajcie. — Cóż mi sprzedacie? chyba te dzieciska.

Sołtys. Ja się nie pytam, tylko zajmę co każą! — Zmarnowaliście majątek — niechciało Wam się robić, a teraz przyjdzie Wam psy po wsi drażnić.

Bartłomiéj. Na toć przyjdzie, na to mój Sołtysie, oj na to!

Sołtys. A cóżeście z łąką zrobili? będziecie ją siec tego roku?

Bartłomiéj. Łąkę siec? miły Boże! jakże ją mam siec kiedym ją sprzedał na pięć lat z potrawem.

Sołtys. Toście wy już gałgan Bartłomieju, złajdaczeliście na prawdę.

Bartłomiéj. Na toć wyjdzie mój Sołtysie, oj na to! Ani to człowiek niema czeladnika, ani dziéwki coby zarobiła, jakże sobie ma dać radę?

Sołtys. Cóż Wam po czeladniku kiedy Was pięcioro w chałupie!

Bartłomiéj. Cóż że pięcioro? kiedy

niewydolimy. — Któż ma co robić? Żona musi choć trawska uzbiérać, aby obiad nastroić; starsza poszła na pańskiem uzbierać, sobie tych przemarzłych ziemniaczków i rzepy, a ta też młodsza będzie ja skrobać. Ja muszę jako gospodarz zostać przy chałupie, i tak niema kim co uźgać.

Sołtys. Oj zbytniki! wielki grzech macie przed Panem Bogiem a nawet i przed gromada, żeście samochcac tak skapieli; boby inny był jadł chleb na Waszéj roli i jeszcze byłby się przy nim i drugi pożywił; chocibyście na dwa dni poszli na gościeniec utłuc tego kamienia, tobyście podatek zapłacili, a tak to Was muszę egzekutować, i nic nie pomoże, bo gromada za Was płacić nie będzie.

Bartłomiéj. Poczekajcie mój Sołtysie choć do Soboty a może ja pójdę do dworu życzać się pieniędzy na odrobek.

Sołtys. A nie znaja Was to we dworze, jaki z Was pracownik?

Bartłomiéj. Niechże tam znają, kiedy się bez roboty nie obejda.

Sołtys. Wątpię abyście im odrobili Bartłomieju, a to grzéch choćby nawet Pana krzywdzić.

Bartłomiéj. Niewiela tam Pana ubędzie mój Sołtysie, nie wiela, a zkądże się biedny człowiek ma wziąść, choćby o ten reński.

Bartłomiéj we dworze.

Pan. Cóż powiécie Bartłomieju?

Bartłomiéj. Cóżbym tam miał powiedzieć Wielmożnemu Panu? nie mam co powiedzieć, tylkom téż tak przyszedł.

Pan. Przyszliście mnie odwiédzić?

Bartłomiéj. Jużci przyszedłem najprzód odwiedzić Wielmożnego Pana, a potém się zapytać, czyliby nie było jakiéj we dworze roboty, u stawu, albo u kamieni, albo i dach pobijać, a gdyby potrzeba to i siągi stawiać?

Pan. Byłaby i robota mój człowieku, ale kiedy z was lichy pracownik, i pożal się Boże nająć was do jakiéj pracy.

Bartłomiéj. Ej gdzie tam Wielmożny Panie, to tylko uwziątek tak na mnie walczy, i ludzie mnie oszczekali niesłusznie. A z czegożbym ja żył, z czego, gdybym nie pracował? Miły Boże. — Nie ma tu w całéj wsi chłopa, coby się tyle napracował co ja nieprzymierzajacy.

Pan. Kiedy ja sam Was doświadczyłem mój Bartłomieju.

Bartłomiéj. Ej, mój Najjaśniejszy Wielmożny Panie, to tylko ten jeden raziczek, com téż kościska sprostował, a Wielmożny Pan obces na to nadszedł i tak sie zrobiło, ale wyświadczy mnie i Pan Okomon, że ja nigdy nie stanę przy robocie. Oj niestanęć nie, tylko robie!

Pan. A pamiętacie przy kuźni Bartłomieju?

Bartłomiéj. Oj pamiętam ci, pamiętam, ale wtenczas to mnie tak kolka źgała, że już myślałem iż się bez księdza nie obejdzie. —

Pan. Mój Bartłomieju, nie bardzo rad jestem zmawiać was do roboty, bo wiem żeście leniwi, ale skoro potrzebujecie zaro-

bić, to przyjdźcie dach pobijać a zapłacę wam po sześć groszy od kopy gątów.

Bartłomiéj.— Oj przyszedłbym z duszy serca Wielmożny Jaśnie Panie, ale téż nie mam z czém, bom siekierkę na chleb sprzedał. Gdyby to łaska była Najjaśniejszego Pana, życzyć mi choćby Reńskiego na siekierkę, tobym kupił od młynarza bo ma dwie a jednę chce spuścić.— Przychodziłbym codzień a pobijał, pókiby się niezakończyło.

Pan. Wolę wam z magazynu dworskiéj siekiéry pożyczyć gdy przyjdziecie.

Bartłomiéj. Dobrzeby i tak było, ale ta młynarska siekierka to mi setnie furczy w ręce, taka jęta, jakby gadzina nieprzymierzając. A chce młynarz za nią Reńskiego bez sześciu groszy.

Pan. Gdybym był pewnym, iż przyjdziecie a będziecie dobrze pobijać to mniéjsza o tego Reńskiego.

Bartłomiéj. O mój Wielmożny Panie, jakżebym zaś nieprzyszedł, przecież zdałoby się co zarobić, — z tego tylko człowiek żyje.

Pan. Przecież macie pole mój Bartłomieju i dobre i bierne.

Bartłomiej. Mać tam Pan Jezus tego pólka, ale cóż z tego kiedy nie rodzi. — Takie lata przyszły. — Oj! niech Bóg zachowa. Na góry ani nawozu dowieść a na dołach wymoknie, tyle tylko co się ten siew wróci. — A co się to człowiek napracuje koło téj świętéj ziemi z babą i dziećmi. Miły Boże napracuje!...

Pan. Daję wam więc tego Reńskiego na siekierkę a przyjdźcie jutro do roboty.

Bartłomiéj. Dziękuję bardzo pięknie Wielmożnemu Panu, ale téż miałem jeszcze coś powiedzieć, tylko nie śmiem!...

Pan. No, mówcież.

Bartłomiéj. Oto, tak będę mówił Wielmożnemu Panu: iżbym ja cały ten dach pobił, a taniéjby Panu wyszło, bobym zdołał bić kopę po pięć groszy. — Nająłbym sobie drugiego do siebie i wybilibyśmy cały dach za tydzień.

Pan. Gdybym był pewnym iż dotrzymacie, tobym się na to zgodził.

Bartłomiéj. Oj dotrzymałbym, do-

trzymał, gdzieżbym zaś nie miał dotrzymać. Przecież jestem człowiek wsiowy pod Panem, a najprzód Pan Jezus a potem Wny Pan ma mnie w garści. Jutrobym zaraz przyszedł z drugim i bilibyśmy od rana.

Pan. Więc dobrze, przyjdźcie mój Bartłomieju!

Bartłomiéj. O to nic, bo przyjdziemy, tylko o to, że niema życia nijakiego, bo téż co miałem ziarna, to sprzedałem na podatek, i dałem téż bratu spłacki dwadzieścia dukatów, więc się człowiek wytérał — Trzebaby kupić z jaką ćwierć żyta, a także z ćwierć jęczmienia, i ziemniaków by się zdało sadzić z korzec, a na to nie ma pieniędzy. — Gdyby była łaska Najjaśniejszego Wielmożnego Pana, życzyć mi téż choćby te, co niewiela powiem, pięć reńskich, toby się we dwóch za trzy dni odrobiło.

Pan. Tego nie mogę zrobić mój Bartłomieju, bo z wami to najgorzéj płacić robotę z góry, gdyż potem robicie jak z łaski.

Bartłomiéj. Może tam i kto tak robi, to do tego się nie mówi, ale nie ja.— Niech mnie Bóg broni! Dał mi przecież nasz Je-

gomość na odrobek, a pięknie mu odrobiłem. Jużci ja wiem, że choćby żyda to szkoda, a nie dopiero Pana, co nam jest jak ojciec, i co takiego daleko poszukać, ejże daleko!

Pan. A kiedyż myślicie iżby się pobijanie skończyło?

Bartłomiéj. I tygodnia nie zabawi, jak weźmiemy na dwa szary, het do góry, aże koronka na kalenicy wykrawana na taką modę, coby nie zamakało. — To się daje dubelt na pół szara.

Pan. I myślicie Bartłomieju że będzie tak dobrze?

Bartłomiéj. A dla czegóż nie ma być Wielmożny Jaśnie Panie; takiéj stodoły daleko poszukać, ani jéj w hrabstwie niema. Już téż to Pan nafunduje! żaden Pan tu tego nie robił, ej gdzieżby miał robić?... ani na to rozumu nie ma ladajaki człowiek!... W okolicy nawet powiadają ludzie, jako sam słyszałem, że macie téż to Pana, co takiego poszukać!

Pan. Mój poczciwy Bartłomieju, więc ja się na was spuszczam, iż dobrze zrobi-

cie, tak aby dészcz nie przeciekał, a skoro wam potrzeba gwałtem na to ziarno, więc wam daję pięć reńskich, ale pamiętajcie przyjść jutro.

Bartłomiéj. Dziękuję Wielmożnemu Panu za poratunek, a przyjdę jutro, bylem tylko chłopa do siebie znalazł, bo się próżniaki porozchodziły do roboty za Kraków i ku Prusom, a także muszę zajrzyć do młynarza, czy zaś téj siekiérki jeszcze nie sprzedał, i po ziarno by mi téż trzeba iść do Krakowa, a i w roli co u siebie zrobić, podatek zapłacić, ale się tu zrobi bardzo pięknie — aż mnie Wny Pan pochwali.

Bartłomiéj w karczmie.

Bartłomiéj. Słyszycie Arendarzu, — dajcie mi półkwaterek!

Żyd. Niema dla was wódki gospodarzu, zapłaćcie pierwej coście winni.

Barłomiéj. A wieleż ja wam to winien?

Żyd. Zapomnieliście to już wielaście winni?

Bartłomiéj. Ktoby się tam od tylu lat dopamiętał! Dawajże wódki żydzie, bo płacę.

Żyd. Jakeście to schardzieli Bartłomieju! Czyście znaleźli jakie pieniądze co kto nie zgubił?...

Bartłomiéj. Mam pieniądze dziękować Bogu, najprzód Boskie a potem swoje. — Słyszysz żydzie! stawiaj półkwaterek!

Żyd. To zapłaćcie mi pierwéj trzy reńskie i dwadzieścia grajcarów, coście dawniéj napili.

Bartłomiéj. Łżesz żydzie jak pies, bom ci tyle nie winien, tylko reńskiego.

Żyd. Jak to reńskiego? — a nie pamiętacie coście pili z kumotrem, i napiliście za dwa reńskie, a chcieliście jeszcze łańcuch Jegomości u mnie zastawić, a potem znowu reńskiego o tę łąkę coście sprzedali, a znowu potem 12 kr., a potem 13 z organistą.

Bartłomiéj. Nie prawda — nie tyle napiłem, a choćbym napił, to wódkę dajecie jak maślankę, tylko tyle, że śmierdzi tam trochę ta para, ale nic ostrości nie ma.—

Chcecie dwa reńskie to wam dam za wszystko, a jak nie to pójdę pić na ogranicy.

Żyd. No, dajcie tymczasem i dwa reńskie, mój Panie gospodarzu, a nie gniewajcie się, kiedy ja wam marnego słowa nie mówię. Rachel daj mu półkwaterek!.. A zkądże to tyla pieniędzy macie czyście sprzedali rolą?

Bartłomiéj. Jeszcze dokupię, a nie sprzedam, jutro będę sadził ziemniaki.

Żyd. A może wam zostanie jaki zagon z nawozem i pod nawóz, tobym i ja z wami zasadził, choćby ze dwadzieścia kawałków.

Bartłomiéj. Dużobyście chcieli i pieniędzy i zagonów. A daliście mi wódki jakem was pięknie prosił?

Żyd. No to prawda, bo już na was tyle nagadają ludzie, żeście Cygan, żeście próżniak, lajdak, tyrak, że się człowiek waguje — ale ja wiem żeście dobrzy, i jeszcze będziecie bogaczem na całą wieś.

Bartłomiéj. Może tam i dam co tych zagonów ale takich dwadzieścia kawałków

przy ogrodzie toby wartały choćby te kiepskie 6 talarków.

Żyd. Co zaś gadacie Panie gospodarzu, jabym za trzy talarki taką rolą dostał.

Bartłomiéj. To sobie ją dostańcie u jakiego hultaja ale nie u mnie.

Żyd. Napijcie się Bartłomieju jeszcze półkwaterek — Ja wam dam pięć reńskich i pół kwarty wódki, a tego nieporachuję, co teraz pijecie.

Bartłomiéj. Jak mi dopłacicie trzy talarki do tego com winien, to będzie.

Żyd. Niech będzie cztery reńskie — ale wam zapłacę jak zbiorę ziemniaki.

Bartomiéj. Głupiś żydzie, ktoby ci tam czekał! — No, zapisz sobie te dwa półkwaterki com wypił i koniec.

Żyd. Jak to ma być? ani roli ani pieniędzy?..... to oddaj mi mój dług, słyszysz ty! Zapłać mi 3 reńskie 25 kr. i za te dwa półkwaterki.

Bartłomiéj. Czegóż się drzesz niewiaro! albo ci to przepadnie? Ja mam u Pana we dworze więcéj pieniędzy, a czekam.

Żyd. Cobyś ty miał u Pana?! tyś

gałgan, próżniak, tyrak, ty gorszy jesteś jak łajdak!

Bartłomiéj. Cicho parchu, bobym cię tak udarł!

Żyd. Co to jest? czy ja wam co mówię? za co mnie macie bić? za moją wódkę?... za moje kukiełki?... Jaki mi do bicia?... zbójnik — złodziéj, ganew, co drugiego niema.

Bartłomiéj. Wara żydzie, nie dogaduj bo cię lunę! — (śpiewa):

„Posłałem koniki do pola do pola!“

Dawajże żydzie trzeci półkwaterek! słyszysz bo płacę.

„Alem nie uorał, bo sprzedana rola! — Hau!

Słyszysz żydzie! kiedy ci mówię.

Żyd. No, niech was djabli wezmą, ani wam wody nie dam, choćby na lekarstwo.

Bartłomiéj. Ciebie wezmą nie mnie psia wiaro żydzie, boś żyd jakoby pies, co niema duszy. (śpiewa).

„Zieleni się żytko, lecz na cudzéj roli
„Bo mnie brzytwa nie chce, innym patyk goli.
Hopsasa.
„Legnę ci ja legnę na sianku w stodole
„A sąsiad tymczasem wypasie mi pole!
Dana moja dana!

Polowy i Bartłomiej.

Polowy. Co wy sobie myślicie Bartku, że do dworu nieprzychodzicie?

Bartłomiéj. A cóżbym sobie tam myślał — nic sobie nie myślę.

Polowy. Ale się Pan na was strasznie gniéwa, żeście go zarwali i do roboty nie idziecie.

Bartłomiéj. A niechże się tam gniwa, ja téj robocie nie podolę, bo nikt po pięć groszy dachu niechce bić a ja téż sam nie pójdę, bo co i prawda nie mam siekierki ani czasu.

Polowy. A wzięliście piéniądze na siekierkę i na odrobek, to Panu oddajcie chociaż pieniądze.

Bartłomiéj. Oddam ci tam, oddam! z czegoż mam oddać, kiedy się już dawno przejadły! przecież bójcie się Boga polowy, mało nas to do jadła?

Polowy. Ale cóż Panu do tego, kiedy u Pana nie służycie.

Bartłomiéj. Ej, czegobyście tam Pana żałowali! — Dzisiaj służycie a jutro

nie chłopem zaś zawsze będziecie! Oto powiedźcie żeście mnie nie zastali w chałupie.

Polowy. Uwierzy to Pan?... kiedy was żyd zdał, i ludzie was we wsi widzą. — Choćbyście na dzień poszli do roboty, toby już piękniéj było na was.

Bartłomiéj. Takci tam iść, i darmo robić! pobijać Panu stodołę za darmo!

Polowy. Jakże za darmo? kiedy wam zapłacił!

Bartłomiéj. Niechże tam zapłacił!, to już drugi raz nie zapłaci, a człek się téż to napracuje i narobi.

Polowy. Gdzież wy się napracujecie, kiedy nic nie robicie?

Bartłomiéj. Nierobię ta? nierobię! miły Boże! trzeba przecież chałupska pilnować, żeby co nie wlazło a nie pokradło!

Polowy. A nie może to baba pilnować, nie wy.

Bartłomiéj. Co tam z baby — miły Boże, wiela ci tam z baby przyjdzie? jeno tyla że obiad nastroi i cała z niéj obrada.

Polowy. A dzieci? macie ich przecie troje!

Bartłomiéj. To téż to tam dzieciska czasem co przywleką z pola, albo tego biednego ziemniaczka albo rzepę.

Polowy. A chodzą one i na groch cośmy zasiali, i zbierają ziarnka co się nie przywlekły, Pan się strasznie gniewa.

Bartłomiéj. Ej co tam o te ziarnka, coby ptaki wyzbierały: wszystkiego i dwóch garncy nieprzyniosły. — Gorzéj się ja zgniewał że próżniakom się niechciało zbierać.

Polowy. Ej mój Bartku, wy się kiedy dowojujecie!

Bartłomiéj. Co mi tam będzie?... był ja już nie raz w hareszcie a żyję... inni poumierali gospodarze, i panowie się zmienili, i nieboszczyk Xiądz umarł, a ja żyję.

Polowy. No, nie żartujcie Bartku z Panem Bogiem, bo choć ludzi zwalczycie, to dziesięcine musicie Bogu oddać. — Przyjdźcież jutro do dworu, przyjdźcie.

Bartłomiéj. Nie przyjdę — próżno się na mnie nie spuszczajcie.

Polowy. To przyjdźcie się Panu sprawić żeby na mnie nie swarzył.

Bartłomiéj. Nie pójdę i do dworu, nikaj nie pójdę! ktoby tam chodził do dworu?

Organista i Bartłomiej.

Organista. Cóż ja to będę po chałupach za wami kartki do spowiedzi nosił? Czyście wy to Luter czy jaki filistyn żeście dotąd nie byli u Jegomości na Wielkanoc!

Bartłomiéj. A ma to człowiek czas chodzić albo i pochwalić Boga? — Człowiek się napracuje, to tam i o wszystkiem zabaczy!

Organista. Jak nie pójdziecie przed Niedzielą, to was Jegomość z ambony przeczyta po wspominkach.

Bartłomiéj. Pójdę ja tam pójdę, jak się roboty przewalą.

Organista. A pamiętacie téż Bartłomieju o moim długu?

Bartłomiéj. O jakimże? przecieżeście mi nic nie dali.

Organisa. Jużeście to zapomnieli?

Od pogrzebu waszego ojca co mi się u was zostało?

Bartłomiéj. Miły Boże!... a z czegóż ja téż to mam jeszcze pogrzeb płacić? Niewysłużyłem się ja to nieboszczykowi Ojcu?... Swiadomo wszystkim, co ja się narobił od jednéj świętéj Niedzieli do drugiéj. — Wyście tam Panie Organisto z ojcem pijali, ale ja tom tylko robił całe dnie.

Organista. Mielibyście na sumieniu, gdybyście duchowną osobę skrzywdzili. — Niedość coście zarwali Jegomości, a także ospu nie dajecie, a jeszczebyście Organiście zaprzeczyli. Nieróbcież zaś tego Bartłomieju, bo to największy grzéch zarwać organistę albo kościelnego.

Bartłomiéj. Wreszcie jak będę miał, to i oddam, ale jeśli człowiek zarobi ciężko to i tak mu nie zapłacą! choć i we dworze!

Organista. No proszę? we dworze?!! a jużci to krzywda ludzka, kiedy nie płacą bo pan powinien płacić. — A dużo macie u Pana?

Bartłomiéj. A będzie tam obeszło trzy talarki. — Gdybyście mi oto dali talar-

ka organisto, tobym wam razem z pogrzebem zapłacił i dałbym wam cały zarobek u pana.

Organista. Oj życzyłbym wam z duszy, ale nie mam.

Bartłomiéj. Gdzie tam nie macie! gdzie! a któżby miał jak nie Organista?

Organista. Mam też tam u ludzi, ale nie płacą. — Chyba tak zrobimy: Idźcie do Pana i odbierzcie trzy talarki, mnie dacie dwa, a sobie jednego weźmiecie!

Bartłomiéj. Tak się nie złoży mój Organisto, tylko tak, jakem wam mówił.

Organista. A macie wy tam jeszcze co szczepków w sadzie Bartłomieju? tobyśmy się pogodzili.

Bartłomiéj. Oj, jest tego pełny sad, co nieboszczyk zaszczepił. — Choćby wszystkie to wam spuszczę, byleście je sobie wykopali. — Dajcie mi pięć talarków i wykarczujcie sobie ile chcecie.

Organista. Dałbym wam trzy, ale wykopcie mi sami a jak za moje ma chłop kopać, to wam dam jeno talarka i pokwituje was z pogrzebu.

Bartłomiéj. To już wezmę talarka, byleście sobie wykopali, bo ja nie mam czasu, gdyż się człowiek urobi. Oj miły Boże, urobi się aże strach.

Bartłomiéj w chałupie.

Bartłomiéj. Siedzicie wszystkie baby na kupie, a żadna z was nie pójdzie na zarobek tylko na mnie patrzycie, a człowiek nie ma łyżki warzy, choć się upracuje.

Żona. Bo mi nie kazujecie chodzić na zarobek, czegóż więc swarzycie?

Bartłomiéj. Albo to prawda że nie kazuję? kiedy ja ci to nie kazuję? albo czym ci kiedy nie kazował?

Żona. A zawsze nie kazujecie!

Bartłomiéj. Nie kazywałem jak mało płacili, ale ci zawsze kazuje jak trzeba życia kupić.

Żona. A wy to nie możecie iść na zarobek? — czy to baby na was mają zarabiać?

Bartłomiéj. Nie gębuj — powiadam ci nie gębuj bo oberwiesz!

Żona. Ja wiem żeście do bicia skorzy, tylkoście nie skorzy do roboty.

Bartłomiéj. Zobaczysz że oberwiesz! naczyń mi jeść a spiesz się.

Żona. Cóż wam będę naczyniać kiedy niema co?...

Bartłomiéj. A nie mogłyście się to próżniaki postarać? Jak wezmę kija, to was aż do jednéj z chałupy powypędzam. Idźcie zastawić wasze szmaty u żyda i przynieście mi kaszy, bobym was bił do śmierci. Zaświéć ogień na cyganku, słyszysz Zośka!

Córka. Kiedy niema czém palić, bo niema ani patyczka.

Bartłomiéj. Głupiaś — to idź do kowalowego płotu a ułom paliwa.

Córka. Ej, kiedy się boje bo kowal pilnuje, jakby mnie uchwycił toby mnie zbił.

Bartłomiéj. To idź powyciagaj tyki z Pańskiego grochu albo porwij jaką tlarkę.

Córka. Ej, kiedy się strasznie boję, bo grzéch.

Bartłomiéj. Głupiaś! czy to grzéch porwać ze dworu?

Córka. Ej, mój Tatusiu! jakby mnie zaś kto widział?

Bartłomiéj. Kto cię ma widzieć, tylko się spiesz.

Bartłomiejowa we dworze,

Pan. Coście wy za jedna kobieto?

Bartłomiejowa. Proszę Wielmożnego Pana, ja żona tego Bartłomieja.

Pan. Jak to? tego łajdaka?

Bartłomiejowa. A tegoć Wielmożny Panie.

Pan. I cóż wy chcecie odemnie?

Bartłomiejowa. Ej, przychodzę téż do Wgo Pana z prośba, bo mój bardzo chory. — Może tam już nic z niego nie będzie chciałabym jakich leków, bo narzeka na wnatrze.

Pan. To się udajcie z tém do doktora moja kobieto, bo ja nie doktor.

Bartłomiejowa. Ej, proszę Wgo Pana, choćby téż dać mu jaki proszek, byle jaki toby mu się może ulżyło? albo choćby z kwaterki wina, bo go bardzo źga kolka

Pan. Pewno nie z pracy.

Bartłomiejowa. Juźci tam nie z pracy, ale kto tam wie z czego?

Pan. Nie warto go ratować, bo jest łajdak, próżniak i oszust, ale że jest bliźnim, więc dla miłości Bożéj, i takiego ratować trzeba. Dajcież mu ten proszek najprzód, a potem te trzy na drugi dzień — czy rozumiécie?

Bartłomiejowa. Ej gdzieby tam Wny Panie rozumiała, ja tam na to głupia.

Pan. No poczekajcież, to ja sam pójdę, i poradzę co będzie trzeba robić. Ale on już może co jadł dzisiaj?

Bartłomiejowa. Ej nie wiele tam jadł, tylko kazał sobie na tłusto usmarzyć po pietnastu jajach jajecznicy, to się musiałam zafantować u sąsiadek, tak strasznie krzyczał, że ma zachcenie do jajecznicy ze słoniną.

Pan. To nie złe zachcenie, musiał go także miewać choć był zdrów.

Bartłomiejowa. Juźci mniéwał Wielmożny Panie!

Pan. To na takie zachcenie kij najlepsze lekarstwo.

Bartomiejowa. Jużcie przepraszam Wgo Pana, może i lepiéj bywało, jak miał kto kijem wybić, bo choćby jaki taki nie chciał zapracować, to musiał — a teraz jak tam kto chce!

Pan. Idźcież teraz kobieto do domu. to ja późniéj waszego męża odwiedzę, choć mnie skrzywdził — ale niech mu tam Bóg przebaczy, kiedy chory.

Bartłomiejowa. Dziękuje Wmu Panu, ale on przecież nie tylko samego Wgo Pana zarwał, bo i Jegomości i młynarza i Organistę, a z przeproszeniem Wgo Pana i szewca zarwał, i innych téż po wsi. — O broń Boże, tego nie powiem, aby samego tylko Pana zarwał! — Teraz dziękuję Jegomości. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Pan u Bartłomieja.

Pan. Przyszło wam to na koniec Bartłomieju? nawiedził was to Pan Jezus?

Bartłomiéj. Oj przyszłoć mi, przy-

szło na koniec Wielmożny Panie. A przyjdzie odemrzyć wszystkiego.

Pan. I cóż was boli?

Bartłomiéj. Oj, we wnętrzu mnie tak źga Wny Panie.

Pan. Możeście co zjedli niezdrowego? jakiego chwastu?

Bartłomiéj. Miły Boże, gdzieżbym tam co zjadł? Mam ja to co jeść, albo i za co?

Pan. Widać że macie, kiedyście już dzisiaj pietnaście jaj zjedli.

Bartłomiéj. Ej, Mój Wny Panie! ledwom tam te kilka jajek zgwałcił, żeby było co więcéj, toby człowiek prędzéj pokrzepniał. — Jabym téż Wmu Panu odrobił.

Bartłomiejowa. Co prawda, to powiem, że mojemu musiał we wnętrzu ten groch rozpęczknieć.

Pan. Jakiżto groch?

Bartłomiejowa. Ej, ten tam groch surowy, co dzieciska z pańskiego pola uzbierały.

Pan. Z obsianego pola?...

Bartłomiejowa. Jużci tam z tego.

Bartłomiej. Co tam Wny Pan głu-

piéj baby słucha, co gada same próżniaki.— Było tam tego ledwie kilka ziarnek co gołębie nie wyzbierały.

Pan. Widzicie Bartłomieju, jak wam to moja krzywda w brzuchu teraz siedzi i kole, ale gorsze sumienie.

Bartłomiéj. Oj gorszeć, gorsze, ale cóż tam na to robić, kiedy biéda?

Pan. Pracować i żyć uczciwie, a na cudze się nie łakomić.

Bartłomiéj. Oj, napracowałem ja się Wny Panie, napracowałem za nieboszczyka ojca, aż mi żal com się napracował, a teraz i tak przyjdzie umierać i odejść wszystkiego.

Pan. Zażyjcie jutro ten proszek na wymioty w kwaterce wody na dwa razy co pięć pacierzy — ale przykazuję wam, abyście nic nie jedli, tylko wodę letnią pili aż przyjdę - rozumicie?

Bartłomiéj. Oj rozumiem! — dziękuję Wmu Panu.

Barłomiejowa we dworze.

Bartłomiejowa. Kłaniam się też bardzo pięknie Wielmożnemu Panu, ale mój mąż kona!

Pan. Jakto kona? czy nie zażył lekarstwa?

Bartłomiejowa. Kejby tam zażył kej? tylko jak Wielmożny Pan wczoraj odszedł, tak mówił, że mu strasznie świeży chleb zapachniał, i kazał sobie przynieść.— Cośmy go naprosili, a on nic i nic tylko chleba i chleba, i koniecznie żeby mu dać chleba! Sprzedałam żydowi żarna, co tam były w chałupie, bo co prawda nie było i co na nich mleć, i przyniosłam mu tego chleba, prosto z pieca. — Jak sobie też tego podjadł a wody się napił, tak przed wieczorkiem już się go śmiertelna chwyciła kolka, i źga i źga cała noc, aż nad ranem już zaniemiał, i oczy straszecznie wytrzyszczał. Więceśmy go na długą słomę złożyli, i może tam już ducha oddał. — Żeby też łaska była Wielmożnego Pana użyczyć nam deszczkę na trumnę.

Pan. Ale moje dziecko, to po Xiędza trzeba posłać natychmiast, nie może zejść z tego świata jak bydle, przecież ma duszę!

Bartłomiejowa. Mać ta i tę grzeszną duszę to prawda, aleśmy się wagowali. bo się okrutnie Xiędza boi, a śmierci to jeszcze gorzéj jak Xiędza.

Pan. Widzicie iż się w nim złe sumienie Xiędza boi i śmierci, bo wié, że jest nie czysty, ale to nic nie pomoże, tylko trzeba koniecznie aby się spowiadał.—Biegaj zaraz do Xiędza Proboszcza i proś aby raczył natychmiast przychodzić, a ja tymczasem pójdę do waszego męża. — Spiesz się kobiéto, bo rzecz pilna.

Bartłomiejowa. Dziękuję Wielmożnemu Panu, ale czy tu przyjść potem po te deszczki? bo by téż nie było pięknie w gromadzie, chować go bez trumny!

Pan. Biegajże głupia babo! mówię ci najprzód do Xiędza, bo gorzéj mu będzie wyjść z trumny do piekła, jak w koszuli śmiertelnéj być pogrzebanym, a dostać się do nieba. — Ruszaj co wyskoczysz.

Pan w chałupie i śmierć Bartłomieja.

Pan. Cóż ty płaczesz dziewucho? czy zaś twój ojciec nie umarł?

Zośka. A umarłci Panie, umarł.

Pan. Jakto? i bez księdza?

Zośka. Jużci bez księdza, bo teraz dopiero Matusia poszli na plebanią dać księdzu znać.

Pan. O bezbożni! wszakże mówiłem aby najprzód posłać po Xiędza.

Zośka. Kiedy Matusia myśleli, że im się tam jako poprawi! A my teraz zostali sierotami. O Boże mój Boże, kiedy Tatuś umarli! cóż my téż teraz poczniemy?

Xiądz. Proboszcz (który nadbiegł). Gdzież jest chory? czy tu w izbie?

Pan. Już nie chory Mości Xięże Pro boszczu, tylko trup!!

X. Proboszcz. Nic nie wiedziałem, że był chorym dopiero w téj chwili dała mi znać jego żona.

Pan. Oh wiem to dobrze, iż kiedy

chcą od księdza pożyczyć pieniędzy, to znajdą drogę do plebanii, ale jak przyjdze obowiązków chrześciańskich dopełnić, to Xiędza nie znają.

X. Proboszcz. Ale co gorsza, iż nie był nawet u spowiedzi Wielkanocnéj, i kazałem go przez organistę upomnieć przed parą dniami.

Pan. Jakie téż było życie taka i śmierć! miłosierdzie chyba Boskie może co temu zaradzić.

X. Proboszcz. Miłosierdzie Boże jest nieograniczone, to prawda, ale i sprawiedliwość jest nie ubłagana — Boję się o jego duszę, a nawet i chować go nie myślę na poświęcanym cmentarzu.

Bartłomiejowa. (płacząc). O mój Boże, mój Boże serdeczny! że sobie téż to łajdaczysko samo téj śmierci narobiło! A ja teraz biedna z dziećmi pozostała!!.. Najadło się to samochcąc chleba prosto z pieca... czy mu téż to potrzeba było tego?... Oj mój Jezu kochany! a ja teraz ani na pogrzeb ani na koszulę nie mam pieniędzy,. z kądże ja się téż teraz wezmę, uboga sie-

rota z temi dzieciskami!.. Tylko same zostały długi, a wszystko wytérał i będą mnie teraz ludzie szarpali. — Dałżeś mi téż dał nieboraku!... Umrzeć ci było na taki czas, a mnie zostawić w nieszczęściu! Za moją dobroć, com ja na ciebie pracowała, aby cię pożywić, takeś mi się téż wywdzięczył;.. pojęło mnie chłoposko choć mi nie trzeba było tego, i stérał, mi krowę i korale i aż do ostatniéj szmaty, a teraz umarł bez spowiedzi i bez niczego jakby jakie nieme stworzenie!! O! mój Jezu serdeczny! jakąż ja sobie téż dam radę!.. Ani zasiał ani co zrobił w polu, bo się nigdy jąć nie chciał nijakiéj roboty, a mnie teraz głupią zostawił.

X. Proboszcz. Nie grzeszcie kobieto, wymawianiem krzywd waszych umarłemu. Są to już próżne skargi, lepiéj się za jego grzeszną duszę pomódlcie.

Bartłomiejowa (płacząc). Oj, kiedy téż mój Jegomość, zostawił mnie sierotą z dziećmi, a jakaż ja sobie dam radę bez chłopa?

X. Proboszcz. Późniéj o tém pomyślicie, a teraz zajmijcie się pogrzebem.

Bartłomiejowa. Jakże mam pomy-

ślić, kiedy niema czém nawet wywieść go na cmentarz.

X. Proboszcz. Uspokójcie się, to ja się już o tém z Sołtysem rozmówię. Oto podziękujcie waszemu Panu, iż się do was trudził, chociaż nieboszczyk na jego względy nie zasługiwał.

Bartłomiejowa. Oj, dziękuję Wielmożnemu Panu, a gdyby to można téj deszczki na trumnę, bo zkądże ja się biedna wezmę? zkąd?..

Pan. Dla miłości Bożéj dam wam i deszczkę, a potem zobaczymy jak się wy będziecie rządzić. — Jeśli się weźmiecie szczerze do pracy, to wam będę dopomagał— Bywajcie zdrowi — niech was Bóg pociesza.

Co o tém na wsi mówią.

Jankowa. Słyszeliście kumosko że Bartek umarł? — Był Xiądz u niego ale go już nie wysłuchał, bo nie żył — Był téż i Pan ze dwora, a Bartkowa tak krzyczała, tak swego opłakiwała, że się aż po na-

wsiu rozlegało. — Mój Boże! bez ksiedza umarł, jakby jaki nie człowiek albo żyd nieprzymierzając.

Frankowa. A jużci umarł, ale mu nie kazali dzwonić, bo bez Xiędza i mają go pochować na niepoświęconym cmentarzu.— Bo téż to próżniaczysko było; a nakrzywdził się wiela ludzi. On i Jegomości zarwał, ale tam pono niewiele, tylko we dworze to nabrał pieniędzy setnie.

Jankowa. Ej, co tam zarwał to nic, ale co on roli natyrał, co gruntu naprzedawał, to na trzy lata to na pięć! Ciekawość co teraz Bartkowa będzie robić?

Frankowa. Jacyście wy nie mądrzy, i cóżby robiła, pójdzie za innego chłopa i będzie pchać biedę.

Jankowa. Pójdzie ci tam, pójdzie?! Dziewki teraz a nie idą, a wy chcecie żeby wdowa chłopa obces znalazła.

Frankowa. Łatwiéj wdowie bo ma grunt i dzieci, to się prędzéj chłop złakomi. — A choć tam są te długi, to się jednemu uprosi, a z drugim będzie kręcił, a chléb będzie jadł.

Szymon. O czém wy baby prawicie?

Jankowa. A o tym Bartku co umarł.— Był Jegomość u niego ale mu późno dali znać i już go nie zastał.

Szymon. Ej, co tam już o nim gadać kiedy umarł. Lepiéj że go Pan Bóg wziął, bo tam nic z niego nie było ni pracy, ni jakiéjbadź obrady. — Kiedyśmy musieli gromada łomać kamień na gościniec, to jego ani uźgać — Jak plebania stawiali, to wszyscyśmy byli a jego aniś ujrzał. — Jak téż we żniwa, jeden drugiemu dopomógł, a on ani zagona w polu nie urwał, tylko goniło tam zawsze światem i goniło; swego nie pilnował a cudzego patrzył.

Żyd. Prosze was pięknie gospodarzu, czy to prawda że Bartek umarł?

Szymon. A juźci prawda, będzie go razem z wami bis dusił.

Żyd. Nie gadajcie głupstwów Szymonie, bo za co mnie ma dusić? za moje 12 złote i 24 gr. co mnie zarwał?

Szymon. A juźci za to, bo na co łajdakowi borgujecie na większy jeszcze

grzéch i obrazę Bożą? — Ja was tam nie żałuje, boście słusznie stracili.

Żyd. Na co ja mam tracić? kto mi każe?.. przecie został grunt, chałupa i pierzyna, to ja za mój dług zaharesztuję.

Szymon. Będą tam pierwsi do tego gruntu jak wy, bo grunt i łąka są sprzedane, a pierzyna nie jego jest tylko baby.

Żyd. Jakto może być? na całym świecie tak nie ma, aby takie prawo było!.. przecież najpierwszy dług jest za trunek. Ja swego nie daruję, choćby co co wziąść.

Szymon. Idź do djabła żydzie niech on was rozsądzi. Co mi do tego? albom ja to znim u ciebie pijał? ja swego patrzę a nie karczmy!...

Żyd. To ja wam też nic nie mówię, czego się gniewacie? Czyście mi dali zarobić przez cały rok choć grosz. Takiście mądry Szymonie a i wy pomrzecie tak jako i Bartek.

Szymon.. Czegóż ty żydzie, tym językiem próżno mielesz? idź sobie do Bartka i jemu opowiadaj co masz opowiadać.

Jankowa. Ma mu tam gadać niebora-

kowi kiedy już nie żyje. Ale teraz się nowego dowiemy bo ida Bazyli.

Szymon. A jużci ktoby o tych plotkach wiedział jak nie on.

Bazyli. Jarmarkujecież tu włościjanie, jarmarkujecie jak widzę.

Frankowa. Tak sobie tak mówiemy, o Bartku!

Bazyli. Ja Wam dopiero powiem o Bartku, bo ja najlepiéj wiem! Oto Bartek umarł bo groch pański w nim kły puścił.— Nieśmiéjcie się! bo doprawdy tak było. Najadł się surowego grochu który dzieci jego czyli mam rzec dziewuchy, z pola pańskiego uzbierały, i oczywiście jako każda rzecz rozpuknie, tak też i groch w nim rozpukł a żywot mu na sam wierzch wysadził. — Ale cóż on najlepszego robiacy? oto zjadł świéżego chleba, który był niewypieczony, i na to kazał sobie zamiast wódki przynieść wody z rzeki. — Więc to rozdęło go, jakby nie przymierzając bydle co się nażre cudzéj koniczyny, i jak mu zatkało w dudach, tak żaden dech nie przeszedł. — Głupia jego baba jako baba

nie przywołała zaraz księdza — sam właściciel gruntów pańskich przyszedł, aby ratować człowieka jako Boskie stworzenie, ale widzicie moiście Wy! że i tak Bartek umarł, a umarł z krzywdą ludzką na sumieniu, bo co prawda, to i mnie winien parę złotych, i dla tego idę spisywać inwentarz, bo choć nie jestem Sołtysem, ale ja jeden w całéj gromadzie znam się na wszystkich interesach jako téż wiadomo każdemu, — zaraz podam do Sądu, aby mój dług uwzględność zobowiązała — jako się ja na to podpiszę własnoręcznie, przy świadkach niżéj wyrażonych, przez stępla jako w strasznem Bartka ubóstwie!

J a n k o w a. Mój Boże! mądry człowiek jak Wy to sobie zawsze poradzi, a jak głupi, to musi stracić choćby miał prawo.

S z y m o n. Krętowi dobrze do czasu, jak i dzbanowi póki mu się ucho nie urwie, a potém rozbije się, i skorupy cisną do nawozu! Co tam! Bartek mi nic nie winien, a choćby mi był winien, tobym się tam nie upomniał. — Wolałbym darować jak

prawować. — Ja tam wiem, że choć i nasz Pan we dworze to wdowie pofolguje.

Bazyli. Jako żywo, nigdy pofolgować nie może, tylko będzie się zaraz dopominał. Gdyby tak folgował każdemu toby całą majętność swoją utracił.

Szymon. Oto niegadajcie Bazyli, bo Pan chociaż Szlachcic to jest miększy dla ludzi jak Wy i prędzéj się ulituje. Żebyście wy byli Szlachcicem toby bardzo źle było z Wami gromadzie, boście strasznie twardzi, choćeście chłop jak i my.

Bazyli. A to nieprawda, co gadacie, bo gdybym ja był właścicielem gruntów dworskich, toby wszystko było po sprawiedliwości, ale nie oszukiwałaby mnie tak gromada, jak dzisiaj cygani tego, co jest.

Organista. Naschodziło Was się tyle do kompanii i radzicie, bo Wam dobrze, a człowiek miasto wygrać na umarłym, tak jak powinien, tom jeszcze stracił na tym bezbożnym Bartku. Od pogrzebu ojca winien mi, a za jego pogrzeb grosza się nie weźmie, — na szczepki dałem talarka i jeszczem ich nie wykopał, boję się aby mi

nie przepadło, muszę zmówić ludzi i wydrzéć z ogrodu co można, dopóki się ograniczni zakupnicy nie zwiedzą że umarł.

Bazyli. Ja pierwszy do tego jak wy organisto, bo i mnie winien.

Organista. Jak świat széroki i długi, to wszędzie organista jest pierwszy.

Szymon. Jeszcze Bartek na marach, a oni się o jego majątek kłócą, i jeszcze o taki tam majątek? — Oj ludzie, ludzie, czy wy też sumienie jakie macie? Zeby zaś nie powiedzieć "Wiecznego odpoczywania," tylko ciekać i ciekać, za tą chudobą sierocą! — Niechże Was tam bis tłamsi, wolę sobie iść moją drogą jak z Wami kompanić.

Organista. Bardzoście mądrzy Szymonie, iż macie pełne sąsieki zboża.

Szymon. Mam dziękować Bogu, bo pracuję a z Wami nie trzymam. — Mielibyście i Wy, gdybyście nie przepijali, ale co wygracie na organach, to przegracie na kwaterce. — Mamci ja mam i nikogo się nie proszę, a jeszcze i drugiemu życzę jak widzę, że nie łajdak, ale Wam tobym nie życzył, bo wy tylko za lekkim chlebem go-

nicie. — Mój Boże, te dłużniki zlatują się na rolą Bartkową, jak nieprzymieżając kruki na ścierwo!

Do czego się ta cała historya o leniwym Bartku stosuje.

Zapytacie się moi kochani ludkowie, do czego jest ta cała historya napisana i wydrukowana? Powie sobie może jeden: „Gdyby to był zamiast tego wydrukował wyborek albo officyum, toby był wygrał. A drugi powie: „Może tam i był taki Bartek na świecie, ale ja nie taki dziękować Bogu, to się tam do mnie nie stosuje.

Ja Wam zaś odpowiadam: że takich Bartków dużo znam po różnych wsiach, i dla tego napisałem i wydrukowałem, abyście widzieli, jaki to straszny jest koniec człowieka, który nie pracuje.

Wy na to odpowiécie „Ey, mój Panie, choćby tam człowiek niewiedzieć jak pracował, to nic nie wskóra, jak mu Bóg nie da.—Jednemu się szczęści, a drugiemu nie.

— Ja Wam znowu na to tak rzeknę: Prawdę mówicie, że bez błogosławieństwa Bożego, wszystkie nasze starania, praca i zabiegi na nic; ale téż Pan Bóg zwykle uczciwéj pracy błogosławi, bo kiedy nasz pierwszy ojciec Adam zgrzészył, to Pan Bóg powiedział: iż ma człowiek w pocie czoła swojego, to jest w pracy zarabiać na kawałek chleba, a święty Paweł Apostoł mówi: „Kto nie pracuje, niechaj nie je.“ I chociaż święty Paweł sam był Apostołem Chrystusa Pana; to na swoje życie pracą zarabiał.

— Powiadacie mi na to: „Mój Panie, a co to ludzi ani orze ani sieje, a chléb jedzą! — Co tu ludzi próżnuje, a żyją jeszcze szumniéj, jak my co orzemy i siejemy i upracujemy się przez cały Boży rok.“

Na to ja Wam znowu tak odpowiem: „Nie tylko człowiek na świecie musi jeść; ale musi być odzianym, i musi mieszkać w domostwie, a w tym domu mieć sprzęty, a musi też w butach chodzić i czapkę mieć na głowie, i do kościoła wziąść książkę do nabożeństwa, i babie kupić korale, a na

to potrzeba kupców, drukarzy, knapów i sukienników i cieśli i mularzy, i szewców i krawców. — Otóż ci wszyscy ludzie pracują, a każdy w swój sposób. — Że zaś ty pracujesz pługiem, broną i radłem, to za to téż ani szydłem nie pracujesz, ani knapstwa nie robisz, ani skór nie wyprawiasz, tylko inni ludzie muszą ci tego dostarczać.

— Znowu powiadacie: że ci tam rzemieślnicy to jeszcze się urobią, ale panowie i inni co piszą i drukują, to jeno im czas schodzi.

— Moi kochani ludzie! kiedy wy w jednéj chałupie waszéj tyle się naturbujecie z czeladzią iż często cały dzień macie za nią uganiaczkę, i wolelibyście sami jaką robotę zrobić, jak się na czeladnika spuścić, to wystawcie sobie, co ma turbacyi pan, który ma tyle czeladzi i ludzi. Wiecie dobrze, iż jak tylko wyjedziecie z domu to macie co przyganić. To łąka wypasiona, to wam kto porwał zboże na garściach, to wam trzoda poryła grządki w ogrodzie, to bydło nie napojone, to coś wam kunę od wrót ukradło. Dość, że jak zaczniecie

hałasić, to was na całéj wsi słychać. A więc wystawcie sobie ile to ma uganiaczki pan z większym majątkiem i liczniejsza czeladzia, a także i z takiemi robotnikami jakim był Bartek — powiadam wam sprawiedliwie, że sobie szlachcic ledwo głowy nie urwie od różnych ambarasów. Każdy patrzy na to pole pańskie, a mówi sobie: „*Miły* Boże, żebym ja to miał tyle pola, dopierobym sobie żył szumnie, a wylegałbym się w chałupie.“ Oj niewylegałbyś się mój gospodarzu, nie! bo jakby ci z tego pola przyszło dać opłatę, a czeladzi jeść i zasługi, a najem tyla ludzi zapłacić, budynki utrzymać, toby cię tak głowa zabolała, żebyś dopiero zaczał medytoweć i haprendować, a takbyś sobie mówił: „Jest ci tam tego pola jest, ale nie moja głowa na to, aby dać temu radę!“ — Zkad się tu wziaść zkąd, na tyle kosztów? Powiedziałbyś potém: „Wolę ja sobie dziesięć morgów gruntu który sam obrobię i jeszcze wyjadę na zarobek do lasu, albo z żydem do Prus, co mu zboże zawiozę, a co zarobię to będzie najprzód Boskie a potem moje, jak

mieć tyla gruntu a na nim nic niemieć swego tylko wszystko ludziom oddać; jak tam ci Panowie jeden albo drugi temu poradzi?... to ciekawość!

— Jak? oto głowa pracuje, i dla tego wcześniej osiwiał i ołysiał, że ma na głowie tyla turbacyi. Bo on nietylko każdego musi i napaść i odziać, ale jeszcze musi się złym ludziom oganiać. Wyśle owies do siéwu, to mu z worków po drodze usypia, a wnocy zbiera i sprzedadzą. — Czego owies taki rzadki? pyta się Pan polowego — A bo niepowschodził, odpowie polowy — Dopiero się potem rzecz cała wykłuwa. — Dalejże chłopa skarżyć do urzędu, a chociaż Urząd sprawiedliwość zrobi, to już na to nieporadzi, aby owies był gęściejszem. Teraz najmie pan najemnika, dobrze mu zapłaci: a robi téż ten najemnik? gdzie tam robi!.. Ogląda się za panem i za dozorcą, a jak tylko odejdą, to już i po robocie. — Patyka także żadnego nie połóż, bo ci go wezmą i spalą — płot nawet rozbiorą — Drzewka na drodze nie posadź, bo ci go złomią na biczysko. — Łańcucha nie zo-

staw przy wozie, bo ci go ukradną. — Łopaty nie pożycz, bo ci jéj nie oddadzą. — Naprzód nic nie daj, bo ci nie odrobią. — Samego człowieka z końmi nie posyłaj, bo ci je sterają i ani je napoją ani napasą, tylko wystawają z wozem przed każdą karczmą.— Wozu za oczy nie daj, bo ci go połomią. Słowem, odrzekłbyś się państwa mój człowieku, gdybyś tego pokosztował.

— A dla czegóż panowie i tak wsie trzymają i kupują kiedy im tak źle? — zapytacie!

— Oto dlatego, że jakto mówicie, dziad z dziada i pradziada; tak téż i pan z panów. — Czem Ojcowie traktowali, tém téż i syn musi traktować: bo jakże tu odejść choć i téj Ojcowizny. Każdy tam ciągnie kędy się ulągnie, więc téż i Szlachcic musi biedą harować, chociaż mu twardo idzie. — Ale do tego się mówi, że i on nic pod pierzyną nie wyleży, tylko musi się napocić a głowy namęczyć aby jako wysztukować.

— A ci znowu co jak i ja piszę?... Myślicie że się to samo napisze? Oto wam powiadam, iż się więcéj człek przy tem na-

pracuje, jak przy młocce, bo jak młócisz, to bijesz i bijesz a o swojém sobie myślisz, ale jak piszesz to pióro chodzi ci w ręce jakby nieprzymierzając młyński kamień, a głowa téż dostarcza myśli, jakby staw wody na młyńskie koło — a wszystko musi się zgodzić akuratnie, àby to co jest napisane, było prawdą wedle Boga i ludzi.

Mówicie znowu: Żeby to człowiek był przy jakim Urzędzie, toby sobie był spokojny, boby już nikt nad nim nie przewodził.

— O moj kochany, łatwiéjto słuchać jak rządzić, bo kiedy słuchasz to nie odpowiadasz za twoją robotę — ale aby całym krajem jak jest długi i széroki rządzić, a tak wszystko wystósować, żeby jeden drugiemu krzywdy nie robił, aby wszyscy żyli sobie bezpiecznie i spokojnie do woli Boskiéj, to dopiero trzeba mieć na to głowę.

— To prawda, powiécie, a przyznacie mi, iż to co napisałem dobrze się z sobą stosuje, ale zaczniecie znowu wasze lamentacye, mówiąc: „Czy to już ten chłop ma być najgorszy, że zawsze wszyscy mówią iż próżniak i każdy na tym chłopie utyka.

— Oj chłop ci to moi ludzie najgorszym jest, kiedy próżniakiem jest. A dla czego? zapytacie się. Oto dlatego, iż chociaż ja książki nie napiszę, to nic się tak złego nie zdarzy, a świat i tak będzie stał. — Choć téż znowu krawiec nie uszyje, albo szewc butów nie zrobi, to jeszcze można mniéj strojno się odziać i boso chodzić, — Ale kiedy jest rolnik leniwy a świętéj ziemi nie uprawia, to chleba światu brakuje, i ludzie głodni Panu Bogu się na leniwych rolników skarżą — A więc pamiętajcież sobie o tém i odczytajcie krótkie rady.

---

1. Skoro masz iść do jakiéj pracy, a mówisz sobie: „**poszedłbym**“ albo „**trzebaby może iść**“ to już źle, tylko mów: Idę do roboty! albo „**jadę w pole**!“

2. Kiedy masz iść do jakiéj pracy a zamiast się przeżegnać, i wezwać Boga o pomoc, czapkę dźwigasz i w głowę się drapiesz, to już źle, bo znać że cię praca świerzbi i radbyś się od niéj wykręcić.

3. Kiedy idąc do roboty. pogarbisz się i głowę zwiesisz, a powłóczysz temi nożyskami jakby to nie twoje były gnaty, to już źle. — Jużbyś chciał aby czas przed tobą uciekł a ty przed pracą.

4. Kiedy masz iść do roboty, a radzisz się sąsiada „czy iść albo nie iść?“ to już źle, bo czekasz aby ci odradził, a powiedział ci: jeszcze zrobicie na czas sąsiedzie, nie ma wam się po co spieszyć!

5. Kiedy masz iść do roboty, a głośno ci się ziewa i ręce przeciągasz, to już źle, bo widać że cię leń tak na wnętrzu morzy.

6. Kiedy potrzebujesz zarobić na podatek, zasiew, spłackę albo na kupno konia, krowy lub cielęcia, a dopytujesz się wszędzie, gdzie najdrożéj płacą? to już źle, bo chaiałbyś raptem dużo urwać a potem ustać. I koń gdy się od jadła przesyci, to chory, ale jak mu dasz w miarę, choć ciągle i codzień pracuje, to zdrów a nawet się wypasie. — Dla tego nie bądź łakomym na duży zarobek, ale staraj się o ciągły, choćby mierny. — Składaj grosz do grosza, złoty do złotego, a przyjdziesz

do majątku wielkiego; a kto zaś nagle chciałby się wzbogacić, to nie utyje lecz się może schwacić. — Kraków nie razem zbudowali tylko budowali go wiele lat i jeszcze budują, i koń albo krowa nie jednego dnia urosła, tylko przez kilka lat; a tybyś mój człowieku chciał od razu i chałupę sobie wystawić za parę dni zarobku, i krowę kupić a nawet i konia gdyby téż można? i wóz, gdyby co zostało? Poczekaj człowieku — przyjdziesz do tego wszystkiego, a nawet i babie kupisz korale i dziewusze paciorki, tylko pomału. Pracuj a nie pytaj, czy ci grosz więcéj na ogranicy zapłacą, tylko skoro ci dają w miejscu przyzwoity zarobek to się go chwytaj, a tak rób, iżby ci powiedziano: przyjdźcież jutro i po jutrze mój człowieku, bo widzimy żeście człowiek dobry i sprawiedliwy!

7. Gdyby wam kto mówił: „czegóż też ciekawi jesteście do téj roboty, kiedy wam Pan i tak drożéj nie zapłaci, to odpowiedzcie, żeście słyszeli jak mówił X. Proboszcz na kazaniu z pisma świętego, „iż dobry robotnik wart myta swojego. — Namowy

odwodzącéj was od uczciwéj i sumiennéj pracy nie słuchajcie, bo przez takiego buntownika to djabeł mówi a was kusi.

8. Jak wam kto mówi: „Po co się zaś macie do takiéj ciężkiéj roboty najmować?“ to mu odpowiedzcie: cięższa będzie ta święta ziemia co nas przysypie jak moja robota a trzeba ją dźwigać. — Za lekką robotę, lekkie też pieniądze, a najlżejszy na świecie jest wiatr, a przecież nikt się nim nie upasie.

9. Weź twój zarobek po robocie, a uie przed robotą, to jest nie bierz na odrobek, bo będziesz potem pracował bez nadziei zysku, i zdawać ci się będzie że pracujesz darmo. — Gdy inni będą brać zapłatę, a ty pójdziesz do domu z próżnemi rękami, będziesz sobie myślał, iż tyś łaskę zrobił, żeś pracował, a tymczasem ten ci wyświadczył łaskę, kto ci dał pierwéj i bez lichwy.

10. Ucz się wszelkiéj pracy, a nie mów, obejdę się tam choć nie umiem robić siekierką, bo za to umiem orać. — Najprzód jeśli ci się zepsuje pług, radło albo brona, to błogo ci będzie sobie naczynie napra-

wić, i nie chodzić na drugi koniec wsi do kołodzieja; a potém znowu, gdy ci się trafi zarobek z siekierką a nie z pługiem, to sobie możesz grosza uzbierać. Czasem mówicie „nie ciekawym tam uczyć się drzew szczepić, bo jest tam taki na wsi co szczepi. — A gdy ten człowiek umrze? to albo sadu nie zaszczepisz, albo na ogranicy dużo człowiekowi musisz zapłacić!

11. Mówicie czasem: „byłem tam wczoraj u roboty, to sobie dziś wypocznę“. Już dzisiaj chcesz wypoczywać, żeś trzy siągi rowu wybrał? — Pan Bóg co świat cały stworzył, a dopiéro siódmego dnia wypoczywał, a tyś trochę błota z rowu wyrzucił, i już chcesz wypoczywać.

12. Jak skończysz pracę, nie stękaj jako koń albo wół, nie narzekaj i nie skarż się, ale podziękuj Panu Bogu, że ci dał siłę do pracy, i że ci za pracę twoją udzielił chleba powszedniego. Tak rób, a dorobisz się nie tylko szczęścia na ziemi ale i w niebie.

Jakie są skutki lenistwa czyli próżniactwa?

1. Ubóstwo.

Próżniak tak zaczyna: „Najprzód jeśli ma ośm morgów pola, to pierwszych lat sieje trochę żyta, jęczmienia, parę korcy owsa i ziemniaków trochę zasadzi. — Zaledwie to zbierze, młóci i sprzedaje zaraz w jesieni a kupuje soli, omasty, mięsa, kukiełek białych w mieście, a za resztę się téż ucieszy w karczmie.

Na wiosnę już niema czém się pożywić, a nawet i czém obsiać, więc pożycza — ale sąsiad nie głupi dać mu pieniędzy z przyjaźni, tylko chce siać z nim na współ. — Próżniak musi przystać rad nie rad na te warunki, i sieje na współ, a zbierają téż na współ. Niewielka więc dla niego z połowy zbioru obrada. — Myśli więc czegoby się tu jąć, aby mieć pieniądze? I tak sobie mówi: „Sprzedam krowę, a więc i paszy nie będę potrzebował, mogę więc

sprzedać siano i słomę, a znowu będą pieniądze. — Baba płacze za krową, dzieci skwirczą bez kapki mléka, ale próżniak wlecze krowę na jarmark, a żydowi lub w Krakowie sprzedaje słomę i siano. Na jarmarku kupił sobie małe prosię, aby babę pocieszyć; przyodziewę, buty i czapkę, kupił soli, sperki i resztę pieniędzy co nie przepił, przyniósł do domu. W tém przychodzi zapłacić podatek, więc te pieniądze daje. Chwała Bogu, że i to zapłacił, ale cóż, kiedy już niéma ani krowy, ani paszy, ani nawozu. Na wiosnę znowu głodny i bez grosza, niéma nawet czém tego trawska zatrzepać. Trzeba kupić ziarna, ale za co? Trudno, trzeba kawałek gruntu sprzedać na trzy lata albo i na sześć — potém łąkę, potém stodołę aż późniéj chałupę — i już wyszedł na nędzarza gorszego jak dziad, bo staremu dziadowi prędzéj kto da jamużnę, ale nad próżniakiem nikt nie ma litości, i słusznie, bo próżniak sam jest sobie własnego nieszczęścia przyczyną, a dla drugich i dla całéj wsi ciężarem i zgorszeniem. Bogu jest na obrazę, a djabłu na radość.

2. Oszustwo.

Próżniak tak sobie mówi: **„Zkąd wziąść to wziąść!“** a jak sobie tylko człowiek raz tak powie, to bywajże zdrów, już się na wszystko puści. A najprzód zacznie kłamać, to jest ludzi obełgiwać. Z początku jaki taki mu wierzy, dopóki się nie przekona, ale to nie na długo sztuka, bo się rzecz wyda i w żywe oczy kłam mu dowiodą. — Tu pożyczy, tam szarpnie, tego zarwie, tego oszuka, ale tak mu się długo nie uda, bo zaraz zwiedzą się ludzie o takich postępkach i osławią go nie tylko we wsi ale i na ogranicy. Przyjdzie na jarmark, wytykają go palcem, a mówi jeden do drugiego: „widzicie, to ten wykrętacz, ten okpisz, strzeżcie się.“ Czy chce co sprzedać, czy kupić, to każdy się boi mieć do czynienia z niepewnym i podejrzanym człowiekiem. I tak nigdzie czoła pokazać nie może.

3. Upodlenie.

Jak mu już na to przyszło, iż honor postradał, i że ludzie nim gardzą, (tak jak on na to zasługuje), to tedy mówi sobie, kiedy mnie już tyle ludzie osławili, że już nigdzie ani we wsi ani w mieście nie mam dobrego oka, to niechże tam będzie, przecież sobie musze radzić, zkąd wziąść to wziąść byle mieć. Więc co nie wykręci oszustwem, to przysporzy złodziejstwem. To snopek ściągnie, to na cudzym polu ziemniaków ukopie, a czasem i do cudzéj komory zabłądzi.

4. Kryminał.

Złapią na uczynku próżnika, jeśli nie jeden raz to drugi; najprzód go tam we wsi skarcą, a już go nazywają złodziejem albo porwiszem — ale jak tego częściéj, zaprowadzą do sądu, świadków postawią i siedzi próżniak w kryminale. Już mu się téż nic nie należy tylko śmierć. Ale żeby przynajmniéj przed śmiercią mógł się po-

prawić a Boga przebłagać i odpokutować. Bo najgorsza ze wszystkich strat, jest duszę stracić na wieki!

Korzyści z pracy

Aż miło spojrzeć na gospodarstwo pracowitego wieśniaka! Dusza się raduje widzieć ten ład w domu, uprawę w polach, porządek, a bogactwo w bydle, w uprzęży i naczyniu. Zaraz we wsi każdy pozna gdzie mieszka dobry i pracowity gospodarz. Ale mało takich gospodarzy jest dotąd w naszym kraju. Dobry gospodarz, zabiera rano czeladź i dzieci a idzie z niemi w pole i spólnie pracuje. — Własnym przykładem wszędzie swą czeladź zachęca, tak, iż robota idzie jak z płatka a ubywa jéj, aż miło! Żona gotuje żywność dla wszystkich, i nastawia pełne garczki, ale nie stoi ciągle z warzechą przy ogniu, tylko gdy nastawi, wybiegnie nawóz wyrzucić z chlewów, trzodzie zanieść oskrobiny, i kurom

dać jeść. Potém umiecie na około chałupy aby téż było i chędogo. Jak się strawa ugotuje, weźmie koszyki z garczkami i chlebem a nakryje czystą chustą i niesie w pole śniadanie. Zaledwie wróci do domu, a już nastawia obiad, a późniéj gdy już ustroi, nie traci czasu, ale z kopaczką idzie do ogrodu, i okopuje warzywa a plewie z chwastów, gdy zaś sucho to rozsadę i inne zagony podleje. Gdy odgotowała, a pracowniki wracają na południe, wymyje czysto miski i łyżki aż do trzeciéj wody, stół i ławki omiecie i obiad zastawia. Pojedzą wszyscy, Bogu podziękują i znów idą w pole. Żona dopiéro naczynie pomyje i daléjże za nimi śpieszy, aby im w pracy dopomódz, prosząc jakiéj sąsiady dobréj lub sąsiada, aby dali pozór na chałupę. Wcześniéj znowu wraca, aby nagotować wieczerzą — i tak idzie dzień po dniu dopóki się wszystkie roboty nie skończą. Gdy się zaś skończą, dowiaduje się gospodarz czyliby gdzie nie było zarobku, czyto we dworze, czy u chłopa? Jeśli jest, to go chwyta niepytając czy mu dadzą kilka gro-

szy więcéj lub mniéj, bo zanimby się większego zarobku doczekał, to kilka dni straci i nic nie zarobi. Jeżeli zarobek z końmi, to sam gospodarz jedzie, aby sobie swéj chudoby dopilnował, a jeśli z łopatą lub kopaczką to czeladź i dzieci wyśle, a sam ogród swój porządkuje, chałupę poprawia, płoty grodzi, pola od szkody ogania, o sprzężaju pamięta, albo drewka rąbie i pod gruszą porządnie w siąg ustawia.

Niechno kto spojrzy na chałupę rządnego gospodarza jaka jest: oto ze zdrowego drzewa w węgieł postawiona na podmurowaniu, wygląda jakby szlachecki dworek. Komin w niéj murowany, a dwa są do niéj wchody, jeden do sieni, a drugi do kómory. Kómora duża na pół przedzielona, bo w jednéj połowie są sąsieki na ziarno a w drugiéj od brzegu są beczki z kapustą i różne drobiazgi. — Wszędzie są powały na hebel spuszczane i z grubą polepą, a w izbie podłoga. Przy izbie jest téż mała kómora, gdzie dziewki i dziewuchy legają, a parobcy i chłopcy śpią w stajni, aby nie było obra-

zy Bożéj. Przy domu jest buda na psa, który w dzień na łańcuchu przywiązany, w nocy ugania się na około budynków. Na przeciwko chałupy są stajnie i chlewy, z boku jest murowana piwnica pod drzewami, aby był cień, a daléj stodoła obszerna, brożek na siano, a wszystko to wraz z sadem ogrodzone wysokim płotem, a na nim korona z ciernia. Na podwórczyk są wrota lasiane a na podwórczyku porządnie ułożony budulec i pniaki w siąg porąbane. Sad jest zapełniony szczepkami pod sznur porządnie sadzonémi, a między niémi grządki, na których zasiana marchew i wczesne ziemniaki.

W polu uprawa doskonała. Pérzu ani na lekarstwo nie znajdziesz, kąkól z żyta wyplewiony, a płoskonki na czas wyrwane z konopi. Len téż na kilku zagonach gęsto zasiany na cienkie włókno, a na kilku zaś zagonach rzadziéj na ziarno. Jęczmień podsiany koniczyną, a owies, grzywacz węgierski, sypie się jak chorągiewka z dzidy. —Ej aż miło spojrzeć — znać dobrą uprawę, i znać téż, że tam nawóz często tę ziemię zasila.

A zobacz-no bydełko!... To mito bydełko! Krowy dojne to aż okrakiem chodzą, tak je mleko spina, a jałowice, to nieprzymierzając podskakują sobie jakby panny.

Konie znowu grubopłaskie, a obiedwie kobyły z dwoma źrebiętami, a tak w ściérwie, że się aż sierć połyskuje. Nie pokaż im bata, tylko krzyknąć, a idą — czy z ciężarem, to idą; czy pod górę, to idą ani się zatrzymają — tomito poczciwe takie bydło, co tak ciągnie, a nie ustaje. Ha, bo dojada i opatrzone!

W niedzielę gospodarstwo wychodzi z dziatwą i czeladzią na mszą świętą i na kazanie do kościoła. Gospodarz wziął nowe buty tłustem przejęte, koszula na nim z cienkiéj przędzy, kaftan granatowy czerwoném podbity i na tém sukmana nowa, i kapelusz z szeroką aksamitą na sprzążkę spinaną. Gospodyni w wełnianéj spodnicy i gorsecie zielonym, ma na głowie czepiec złocisty, a odziana jest chustką dużą krakowską w czerwone kraty. Koralów ma na

szyi pięć nitek, a te, co są na przedzie czyli na podgarlu, to wielkie jakby nieprzymierzając orzechy. — Dzieci czysto ubrane, umyte, uczesane, idą sobie za rodzicami, a każde ma książeczkę do nabożeństwa pod pachą; w końcu idzie czeladź, a kto ich tylko widzi, mówi do drugiego: „Widzisz, widzisz, jak sobie to szumnie idą do kościoła!“... Na to drugi odpowiada: „Ha, bo bogacze, a przed kilką laty to téż mało mieli tak, jako i my.“ — „Dorobiło się to (rzecze trzeci), bo téż okrutnie cieka za tą pracą, a dogania w polu!“ „Korale, co ma jego baba, to warte ze dwadzieścia pięć dukatów (mówi czwarty).“ „Ej więcéj (rzecze piąty), bo najmniéj ze trzydzieści, a niechby dwadzieścia ośm.“ — „No, proszę (rzecze inny) jak się tam drugiemu człeku szczęści, że przyjdzie do takiego bogactwa?!“ „Szczęści mu się (rzecze stary gospodarz), bo téż nie leni się, ale pracuje, a potém jak jest na polu sucho, to zaniesie na wotywę o dészcz, i zaraz, choćby na drugi dzień, to pada. — A jak znowu ma łąkę siec, to zaniesie o pogodę, i tak corocznie

siano wysuszy, jak rutę. — A potém dał téż na kaplicę, a figurę sam wystawił, i biednego nie opuści, tylko da mu albo grosz, albo chleba, albo łyżkę warzy, więc chcéby niechciał, to mu się składa. — Kiedy on łońskiego roku za żrebię a wziął czterdzieści dukatów tylko bez dwóch talarków, od jakiegoś szlachcica, co mu się upodobało.— Gdzież on ma te piéniądze podziać, ejże gdzie? Tych sierocisków to ma pełno w domu, bo jak kto odemrze, to zaraz na pasterzy to biedactwo zmawia. — O, tak on robi, tak, i wiedzie mu się!... On, choć idzie do dworu, to go winem częstują — wypije tam szklanicę, z Panem pięknie pogada, i wraca do domu grobelką, a do karczmy ani wstąpi. O! już go tam w karczmie nie ujrzysz! — Takici on jest, taki!...“

— Dobrzeby i tak było (rzecze inny), ale najcięższéj się do tego złożyć, bo tam człowiek nie zawsze ma ochotę do pracy!

— A jużci! (rzeknie drugi) ktoby tam już tak ciekawy był do roboty, jak on.

— On nigdy ani grosza podatku nie wi-

nien (rzecze trzeci) i nigdy nie widział jak żyw egzekucarza.

— Kejby tam był winien, kej!... On Cesarzowi z góry jeszcze płaci.

— Miły Boże! (rzekł w końcu czwarty) a człek się nie może i nie może z téj biedy wygramolić!

— Ej, bo co prawda, to nié grzéch, rzecze stary gospodarz, żeśmy się zaopuścili. Trza się będzie jako garnąć! choćby chwycić się jakiego zarobku?!

— Przydałobyć się tam i zarobić, rzecze ostatni, gdyby dobrze zapłacili!!!



Kuba Jarmarczny.

KUBA JARMARCZNY.

Kuba i jego żona.

Kuba. Napójże tu konie Jadwiga! słyszysz? a daj im kłak siana, bo pójdą w drogę, a ja tylko zajrzę do karczmy i prędziuśko wrócę! — Słyszysz?

Żona. Dyć słyszę,.. ale po cóż idziecie do karczmy? po to, aby was znowu żyd Mosiek ocyganił?

Kuba. Głupiaś ty, ani głowa Mośka na to, aby mnie ocyganił, prędzéjbym ja jego ocyganił jak on mnie.

Żona. Takci tam, wybyście żydowi podołali na handlu? jako żywo na świecie chłop żyda nie zmoże.

Kuba. Ej głupiaś ty! co ty znasz? Chyba ten mendel jajek na targu sprzedać i tyla, alboś ty próbant tego? albo wiesz jak co idzie na świecie? A czym ja to nie sprzedał w Alwerni téj dychawicznéj kobyły? gadajże! nie sprzedałem?.. A jeszcze komu? takiemu żydowi roztucharzowi, co na ile lat chce to zębska szkapie wydłubie?

Żona. Sprzedaliście, ale za ila?.. toby wam téż byli i za skórę tyle dali.

Kuba. Nie baj baja, bo ci się jeno dzisiaj baje.

Żona. Ej, bo mi się aż cuda dzieją, kiedy się wy na te kiermasze włóczycie. Ani jednego szczęśliwego dnia nie opuścicie, tylko gonicie a gonicie za onym hanglem, a żydy z was chléb jedzą i cała obrada. Zarobiliście co? przybyło wam co majątku? Gadajcież! Choć ja głupia baba, alebym wolała swego patrzyć w chałupie, jak tym światem ciekać, a świętą ziemię mitrężyć! Ten Mosiek to już was na prawdę omamił, i kiedy ten niewiara do chałupy zajrzy, to aż splunę na urok, bo jest jak nieprzymierzając zmórsko, co was trapi dzień i noc, i nędzi was do ostatka

Kuba. Szczekaj głupia babo, szczekaj, kiedy ci lubuje, ucieszysz się z tém gadaniem dosyć przez cały dzień jak mnie nie będzie, a teraz napój konie, mówię ci, i zarzuć im kłak siana.

Żona. Moglibyście, co prawda, i zajść piechotą na ten jarmark przejęty.

K u b a. Zaszłoby się tam może i na czas, ale kiedym się najął Mośkowi.

Ż o n a. Komużby, jeno temu cyganowi. Nie uwieziecie tych pieniędzy na wozie, co na tym cyganie psim zarobicie.

Jadwiga i Regina (sąsiada), która nadeszła.

R e g i n a. Wiecie wy co Jadwigo? przeszedł tam wasz do karczmy!

J a d w i g a. A wiemci ja, wiem, że poszedł do tego cygana, okpisza żyda, co go znowu zmami. Choćbyś mu co rzekła, to cię zeswarzy, i powie ci: „głupiaś, babo! co ty wiesz!“ i tyla z nim mowy. — Powiadam wam, że co ja się téžto napłakałam i co ja mam turbacyi z tym chłopem, to jak nigdy na świecie! W chałupie mało co zrobi, pola nie dopilnuje, tylko goni a goni za témi kiermaszami i jarmarkami, tak że ani wiedzieć, jaką ma głowę, aby spamiętać, gdzie jest jaki jarmark, albo w jakiém mieście. Jeno świt, a zmówią się ze

żydem i już obydwa hala w drogę! Toć on i teraz poszedł do Mośka, a mnie kazał konie napoić i napaść.

Regina. Patrzajcieno.

Jadwiga. Albo kupi jakie szkapsko do roboty, chocby śwarne, to pojeździ niém tydzień, a drugi najwięcéj, i wlecze znowu na jarmark i sprowadzi inne jakie kobylsko albo źrebię, i tłucze tam niém, dopóki mu się nie uprzykrzy. — I tak zawdy i zawdy, i ani raziczku nie jest na jarmarku, aby czego nie zhandlował. — Co tam za upodobanie takie, to ani wiedzieć!

Regina. Wygrywać on przynajmniéj na handlu?

Jadwiga. Wygrywa ci tam moiściewy, wygrywa! a mało on sięto już swojej i mojéj pracy natérał? mało onto przekiermasił? potrzeba mu to było przedawać krowy i jałówkę? cóż z nich ma? Oto tyla, co na grzbiecie. — Jeszcze została moja krowa i strykowa co ją niby trzymamy z mléka na paszy i ta para cielątek co się w ogródku pasie, to i to byłby Mosiek wywlókł, bo go namawiał żeby sprzedać a

źróbki od niego kupić, ale powiedziałam strykowi, i on téż przyszedł a zapowiedział mu aby się nie ważył, i tak tam jest do dziś dnia. — Ma téż te dwie kobylska, ale jedno stare a drugie słabe i źga niemi dopóki i tych nie przechandluje. — Oj bieda bieda, moja kumosko z takim chłopem!

Regina. A jużci — co zaś nie ma być. — Ale żeby to był mój, tobym się kiedy z nim okrutnie poswarzyła, albobym i zbiła.

Jadwiga. Tak ci tam! Poradzę ja mu to tylemu chłoposku? kéj tam mam poradzić, onby mnie na nic sponiewierał żebym mu tylko jakie słowo marne rzekła. — Tyla tylko co się upłaczę i koniec.

Regina. Tobym poszła do Sołtysa albo do Pana na skargę?

Jadwiga. A trwa on to na Sołtysa a jeszcze gorzéj na Pana? On jak podpije z jarmarku to sobie mówi, ja tak dobry Pan jako i ten co we dworze. O zarobek nie proszę, i przed dworem nie wystawam i nie trwam na nikogo nic. „Co mi kto

zrobi? (prawi) Co mi kto zrobi? Ja na nikogo nie pytam."

Regina. To do Jegomości idźcie, przecież Xiądz! —

Jadwiga. Juźcić któż jak nie Jegomość mógłby, ale kiedy mój taki zuchwały, że na nikogo nie trwa ani zdry.

Regina. Oj Boże, mój Boże, cóż téż to za chłoposko takie zkąd się zaś takie wzieło?

Jadwiga. Mówią ludzie że się na ujka swego podał, bo taki téż był nieboszczyk ujek, co lubiał jeździć na jarmarki.

Regina. Oj tak ci się to czasem poda na przyjacielstwo: a na rodzica ani na matkę się nie poda. No, zostańcież z Bogiem kumosko, bo idę polewać płótno na bieleniu.

Jadwiga. Idźcie z Bogiem moja kumosko!

Kuba i Mosiek w karczmie.

Kuba. Gotowiście Mośku?

Mosiek. Jak nie mam być gotów?

już wielgi czas, a czemuście to tu z furą nie zajechali?

Kuba. Moja tam pasie konie, a ja przyszedł się dowiedzieć.

Mosiek. To tu zajedźcie i zaraz pojedziemy, a za jedną drogą weźmiecie mi woreczek.

Kuba. A cóż macie w tym worku?

Mosiek. Co się tam pytacie! jest tam trochę ziarna i trochę kaszy.

Kuba. Bo jakby za ciężko, toby moje chudaki nieuciągły, wiecie że po samych piaskach jedziemy.

Mosiek. Coby nie miały uciagnąć? Szymek 18 korcy na parę ładuje. Idźcie Jakubie a nie bawcie się bo już czas, zajedźcie prędko tutaj.

Kuba. To wy pójdźcie ze mną, weźmy worek i będzie prędzéj.

Mosiek. Po co to ma być? aby znowu wasza swarzyła? Ja nie chcę się jéj na oczów pokazać, bo taka zła że gdyby nie miała tak dobrego człowieka jak wy, toby często wzięła na pisk i na pleców — niech Bóg broni!

Kuba. Jużcićby tam może i swarzyła, a człek się z babą wadzić nie lubi, to już i tu zajadę.

Mosiek. Napijcie się Jakubie na szczęście.

Kuba. A jużci na szczęście toby się i przydało wypić. Ładujciesz tu co macie, to ja zaraz zajadę, bo słonko już wysoko!!

Kuba w chałupie.

Kuba. Jadwiga! daj mi pieniędzy!

Żona. Z kądżebym wam miała tych pieniędzy brać, daliście mi ich to?

Kuba. Próżno nie gębuj, tylko daj papierki coś wzięła za jajka i masło.

Żona, Ujrzycie czy wam dam? będę wam to dawała ostatnią moją pracę, abyście przejarmarczyli? Kiedyście się Mośkowi najęli, to niech wam życza.

Kuba. Daj, albo ci rozbiję skrzynkę i wszystko zabiorę.

Żona. Rozbijcie kiedy chcecie, ale i tak nic nie najdziecie.

Kuba. Chybaś je gdzieś zadziała?

Żona. Życzałam ich sąsiadzie — życzałam, próżno się na nie nie oglądajcie.

Kuba. Cóż ty komu masz życzać, kiedy mi ich na handel potrzeba?

Żona. Dlatego ich życzałam, abyście ich nie przehandlowali.

Kuba. O bodajże, bodaj — z czémże ja teraz pojadę?

Żona. A z Mośkiem.

Kuba. A jużci. — Pilnujże tu chałupy. — Daj mi bat, co jest w kómorze i zostańcie tu z Bogiem.

Żona. Oj, potrzebna wam ta jazda!.. a tyla roboty w polu!

Kuba. Nie rozdziawiajże próżno gęby, przywiozę ci z jarmarku kukiełkę.

Żona. Obejdę się tam bez waszéj kukiełki.

Kuba (wsiadając na wóz). Wijo! hetta naręcznia! wijo!

Kuba przed karczmą.

Kuba. Arendarzu! Arendarzu! Słyszycie? Siadajcie a prędko!

Mosiek. Co wam się tak spieszy Jakubie, wstąpcie do karczmy, napijcie się na drogę.

Kuba. Nie chcę, bo mi się spieszy, zajedziemy po jarmarku!

Mosiek. Co gadacie, na sam gorący jarmark zajedziemy, zsiadźcie jeno z wozu, co mój żydek worek włoży.

Kuba. Ej, kiedyście zawsze tacy — spieszno wam, a nigdy się was doczekać nie mogę.

Mosiek. O co wam chodzi? to się napijcie piwa, wypoczniecie sobie — bo się naładował jeszcze drugi woreczek trochę grubszy, ale to lekkie, bo to nie żelazo.

Kuba. To chyba piechty pójdziemy, bo moje nie uciągną.

Mosiek. To pójdziemy piechty, a kobyły niech ciągną, od czegoby były? Pójdźcie-no do izby, a ja wam kobyły wymar-

czę, to będziemy wracać jak jakie państwo; wiecie, że Mosiek ma na to głów.

Kuba. Jużci wiem, że wy tam ocudzicie lada kogo, tylko mnie to ocudzić nie umiecie.

Mosiek. Ktoby was Jakóbie oszukał, toby musiał być mądry, wyście lepszy handlirz jak każdy żyd. A pamiętacie, jakeście to tę dychawiczną sprzedali? Ktoby to był zrobił! Jak zaczniecie gadać, toby wam i szlachcic uwierzył. — Pójdźcie prędko do izby, bo już wam piwa naczynili.

Kuba. Jużci pójdę, bo się tam piwem nie upije.

Mosiek i jego sługa przy furze.

Mosiek. Słuchaj Feiwel — połóż mu tam te pięć worków na furze i te dwa worki z kaszą, a worek z pierzem na wierzchu, i skórki cielęce na pierze — a przędzę z konopiów i lnu poutykaj po boków i tę trochę wełny z workiem z tyłu.

Feiwel. A gdzież wy będziecie siedzieć?

Mosiek. Po co mam siedzieć?... ja się uwieszę na dragu, a chłop niech idzie przy koniów. Za darmo on pije piwo, a rano gorzałkę?

Feiwel. A uciągna to konie?

Mosiek. Niech ich djabli wezmą! to ja będę ułomił gałęź w lesie, i niech ciągną. — Co mi do tego?

Kuba i Mosiek.

Mosiek. No jedźmy Jakubie, bo trafimy już ledwie na koniec jarmarkn.

Kuba. Dyć ja wam zaraz mówił! Bodajtéż taką robotę! Ale cóż to na wozie? Czyście ogłupieli, abym ja wam to wszystko brał! Choćbyście mnie najęli, tobym się nie podjął.

Mosiek. O co wam chodzi Jakubie? Albożto wiela tego? Ta torbeczka z wełną i te pare worków, co jak pierze.

Kuba. Nie myślcie sobie przenigdy, abym wam taki ciężar woził, dużobyście mnie znowu chcieli okpić.

Mosiek. Okpić? Jeszcze się ten nie

narodził, coby was mógł okpić. Prędzéj-byście wy stu okpili jak was dziesięciu. Ja to wziąłem tylko po drodze, a i jechać nie miałem na jarmark, bo co mi po jarmarku, tylko jadę gwoli was, aby wam te stare szkapska przechandlować. A jak ludzie zobaczą że tyla na wozie, to jaki taki się złakomi, a będzie powiadał: „Co to za dobre bydlęta tyle ciągnąć towaru"! A za to kupiemy młode ładne kobyłki jak na was patrzy. Chocieście tacy mądrzy to sobie nie umiecie radzić, a głupi żyd, to lepiéj wie jak robić interes.

Kuba. Wiemci ja wiem jak sobie radzić, ale boję się, aby mi się szkapska nie zmęczyły z kretesem.

Mosiek. Co się mają zmęczyć, a jeśli się boicie, to nie siadajcie na furę, i będzie zaraz lżéj, a jak pojedziemy z téj ostréj góry, co to jakby na kark złamać, to i ja pójdę piechtą, aby koniom nie było tak ciężko trzymać na naszelników. — Jedźcie Jakubie, bo późno.

Kuba. Pojadę, ale musicie co zdjąć z fury, bo ani sposobu na to niéma.

Mosiek. To niech i tak będzie, jak chcecie. — Słyszysz Feiwel, weź jedną cielęcą skórkę z fury.

Kuba. Ej, co tam o skórkę, skórka tam nie zaważy.

Mosiek. To niech zostanie, kiedy chcecie, ja na wszyćko przystaję.

Kuba. Ale gorsze worki — to ciężar!

Mosiek. Worki?... One sobie na spodzie leżą, ani konie o nich nie wiedzą. — Wy to wszystko wiecie; inny chłop toby się ani zmiarkował i byłby już milę ujechał. — Spróbujcie-no ruszyć z miejsca!.. Tylko na tę siodłową śmignijcie, bo tępa. Musimy koniecznie te konie wymarczyć, bo to nie są na takiego gospodarza jak wy!.. No wijo! A widzicie jak się samo toczy!

Kuba. Toczyć się tam, bo z góry.

Jarmark.

Mosiek. Widzicie Jakóbie jaki fejny jarmark, dawno takiego nie było! Zostańcie przy furze i będziecie pilnować towaru a ja pójdę na targowisko.

Kuba. Ktoby tam waszego towaru pilnował, pilnujcie go sobie sami, kiedym wam przywiózł — ledwo szkapska dożgały.

Mosiek. Pójdziecie i wy potem, ale niech ja pierwéj zajrzę, bo jakbyście wy poszli, to na nic! Ja wam opatrzę kobyły, co same pójdą, słyszycie?

Kuba. Ej słyszę, ale tak nie będzie, bo ja chcę zażyć jarmarku.

Mosiek. Jeszcze zażyjecie, nie bójcie się, tylko patrzcie, aby kto, niech Bóg broni, skórki z wozu nie zdjął albo worka nie sciągnał.

Kuba. Ja wam tu długo przy wozie siedzieć nie będę, i jak prędziuśko nie wrócicie, to wam zrucę towar i pójdę na targ.

Mosiek. Nie wasza głowa na to, abyście mi tego głupstwa zrobili. Słuchajcieno, musielibyście mi cały towar zapłacić! Nie bójcie się, ja tu wrócę!

Wojtek i Kuba.

Wojtek. Witajcie Jakubie! dawnoście przyjechali?

Kuba. Już chwilkę, ale przywiózłem żyda, a niewiara cieka za swoim handlem i kazał mi towaru pilnować.

Wojtek. Cobyście tam pilnowali, niech se sam pilnuje, a wy pójdźcie do karczmy.

Kuba. Ej, nie pójdę, bo jakby zaś kto wziął co z wozu?!

Wojtek. Niechże tam weźmie; to żydowskie, a nie wasze.

Kuba. Jużci żydowskie, aleby chałasił, a gotówby mnie fantować.

Wojtek. Jakieżto macie teraz niezdarne szkapy!

Kuba. Ej, takie ta, ale ciągną dobrze, bo po takich piaskach, a dowiózłem tylego ciężaru.

Wojtek. A co wy je czynicie?

Kuba. Albo ja wiem, co mam czynić? Wzięłoby się za nie choćby te trzydzieści talarków.

Wojtek. Możebym i kupił, gdybyście mądre słowo rzekli.

Kuba. A jakie mam rzec? czy wam to dużo czynię?

Wojtek. Jużci wiela czynicie, za dwie stare marszyny trzydzieści talarków! Mówcież przecie, od czego ich nie dacie?

Kuba. To wam talarka puszczę.

Wojtek. Dziesięć puścicie gospodarzu i będzie zgoda.

Kuba. Oj, nie będzie nic z téj zgody. Najwięcéj jakbym wam ćwiartkę wyrzucił. Przecie za narącznią dawał mi Pan ze dwora dwadzieścia talarków i pięć, a nie chciałem jako żywo!

Wojtek. Trza było brać, kiedy dawał — na jarmarku tego nie weźmiecie.

Kuba. Niechże tam!... Ale i tak jéj Pan nie pozyskał, bom ją cenił trzydzieści i pięć talarków, a on dawał dwadzieścia pięć. Ale żyd mi odradził i dopowiedział mi, aby z niémi jechać na jarmark, a on mi je wymarczy na źrebice, na młodsze.

Wojtek. Nic z tego, nic, mój sąsiedzie; młodzizny nikt nie da za stare.

Kuba. Żyd tam temu potrafi.

Wojtek. Jako żywo, nigdy; tylko was tak cudzi — Gadajcież, czy uderzycie?

Kuba. Za ila?

W o j t e k. Jakem wam powiedział.

K u b a. Nie będzie, nie, ani za ośm dwadzieścia.

W o j t e k. To pójdę kej indziéj szukać.

K u b a. Z Panem Bogiem mój Wojciechu.

W o j t e k. To zostańcie z Bogiem Jakubie. —

Szlachcic i Kuba.

S z l a c h c i c. A czyjeto kobyły gospodarzu u tego wozu?

K u b a. Najprzód Boskie.

S z l a c h c i c. Czy na sprzedaż?

K u b a. Możeby się tam i sprzedały, gdyby kto zapłacił.

S z l a c h c i c. A wiele je cenicie?

K u b a. Pięćdziesiąt talarków.

S z l a c h c i c. A zmiłujcież się człowieku, wszakżeto stare szkapy, jedna nie ma rejestru.

K u b a. Jedna ma ośm lat, a druga dziewięć; to córka, a to matka.

S z l a c h c i c. Co wy zaś gadacie go-

spodarzu, przecież źrebica w pierwszym roku źrebięcia mieć nie może.

Kuba. A takie ony są wcześliwe, takie, a choćby tam o ten kwartał, to nie więcéj.

Szlachcic. Czyto waszego chowu?

Kuba. A czyjegożby były? mój Jegomość. Zaświarczą nawet ludzie, bo wiedzą, kiedym je kupował.

Szlachcic. Kiedyście je kupowali, to już nie są waszego chowu.

Kuba. To niechże tam! ale nie będą inaczéj, jak pięćdziesiąt talarków.

Szlachcic. Dam mam trzydzieści.

Kuba. Nie wezmę, nie.

Szlachcic. Dam wam trzydzieści pięć, a wreszcie trzydzieści ośm.

Kuba. Nie wezmę, tylko równe pięćdziesiąt.

Kuba i Mosiek.

Mosiek. No, jedźcie Jakubie, co złożycie worki.

Kuba. A kejż mam jechać?

Mosiek. Nie daleko, do młyna za miastem, bo już ziarno sprzedałem.

Kuba. Nie pojadę, nie, tylko pójdę na targowisko.

Mosiek. Jakiście wy głupi! Nie chcecie jechać, a młynarz u was te szkapska chce kupić.

Kuba. Kupić on ta, kupi! — Możeby kupił, ale za darmo, a szlachcic mi tu jakiś dawał czterdzieści talarków.

Mosiek. Co tam szlachcic, gdzieby on wam dawał! On sobie tylko tak z was kpił. — Zkądby on wziął czterdzieści talarków? Ja wiem, który. — Taki, co ma surdut i taka czapkę.

Kuba. Nie, bo był w kapelusie.

Mosiek. Ten sam — wiem, znam go dobrze, w kapelusie i miał butów.

Kuba. Jużci jakżeby boso chodził po jarmarku! — A możeć i ten sam, co go znacie. Bógże tam wie!

Mosiek. To on nie ma nic, tylko długów i dzieci. — Jak ja wam każę sprzedać, to sprzedacie. Słuchajcie mnie: Na podcieniu jest tu leśniczy, co ma kobyłę,

ale to kobyła czysta, jakiéjście nie widzieli, tylko ma troszki kurzą ślepotę, i jak dzień, to nie widzi, tylko tak sobie patrzy. Ale co chcecie? Niech ona sobie patrzy, to wam nic nie wadzi. Chce za nią pięćdziesiąt pięć talarki, ale jak zacząłem go prosić, i dałem mu miodu, to mi ją spuścił za równe pięćdziesiąt. Ale to kobyła czysta! Ja mu powiedziałem, że tu jest gospodarz, niby wy, co ma dwie kobyły, a chce za nie sześćdziesiąt talarków, więc dalibyście kobyły i wzięlibyście jeszcze dziesięć talarków, tobyśmy się podzielili.

Kuba. Takci tam, tak! dać dwie kobyły za jednego ślepaka.

Mosiek. Coto jest, ślepaka? Żebym ja tak zdrów był, jak ona więcéj uciągnie, jak wasze dwie.

Kuba. Cóż tam, kiedy ślepa!

Mosiek. Ona nie potrzebuje widzieć. Albo ją to kupujecie na jakie czytanie? A do ciągu, po co ma mieć oczy! Co wam z tego przyjdzie? Jak nie widzi, to chodzi, gdzie jéj każecie; a jak widzi, to zobaczy żyto i wlezie w żyto, ujrzy pszenicę, idzie

w pszenicę, zobaczy łąkę, to pójdzie i do łąki. —

Kuba. Ej, nie chcę, wolę sprzedać młynarzowi, a kupić młodziznę.

Mosiek. No, niech tak będzie, jak chcecie — jedźcież prędzéj, aby innych nie kupił. —

Kuba i Mosiek u młynarza.

Mosiek. Jakubie, znoście worki a spieszcie się.

Kuba. Nie będę znosił; niech znosi, kto kupił.

Mosiek. Ale kiedyście wy przywieźli. to na was patrzy znosić, a co się po próżnicy mają konie mordować z ciężarem.

Kuba. Nie mordują się, bo stoją.

Mosiek. Cóż, że stoją, ale worki leżą — niech lepiéj kobyły leżą, a worki w młynie niech sobie stoją.

Kuba. Cóż mi dacie młynarzu za konie?

Młynarz. Cóżbym wam miał dawać? ktoby tam takie zdechlaki kupował!

Kuba. Jać się was z niémi nie proszę, jeno mi Mosiek powiedział, że je chcecie kupić.

Mosiek. Coby nie miał kupić? Co on może mieć z kilka tysiąców! — a co koni i bydła!! to poszukać takiego młynarza!

Kuba. Niech tam ma, to ma sobie, a moich koni niech nie przezywa, boto moja, a nie jego praca.

Mosiek. Czego się macie gniewać Jakubie, nawróćcie i stańcie sobie w ulicy, a ja pójdę na rynek i prędziuśko przyjdę.

Kuba. Jadę prosto na targowisko, to was tam poczekam.

Mosiek. Coście wy za głupi Jakubie, wy widzę nie chcecie dzisiaj tych koni sprzedać, ani młodych kobyłków kupić. Ja muszę iść pierwéj na przezieranie.

Szlachcic i Mosiek na targowisku.

Mosiek. Proszę bez urazy Wielmożnego Pana, czy Pan te kobyły w wozie u chłopa chciał kupić?

Szlachcic. Ja chciałem kupić i da-

wałem mu trzydzieści sześć talarków, a jakże wy o tém wiecie?

M o s i e k. Bo z przeproszeniem Wgo Pana, to ja je sprzedaję. Co tam chłop, to głupi, łajdak, to jest gałgan, co mi winien, a ja się zaraz zgodzę na dwa słowa. Ja wezmę za nie tylko cztérdzieści talarki i zaraz je tu przyprowadzę.

S z l a c h c i c. Dam trzydzieści ośm, jeśli chcesz, i więcéj ani grosza.

M o s i e k. Niech i tak będzie — ja się spuszczam na delikatne słowo Wielmożnego Jaśnie Pana.

S z l a c h c i c. Więc je przyprowadź — czekam!

M o s i e k. Niech Wielmożny Pan będzie łaskaw stać na tamtém podcieniu — ja zaraz przyjdę.

Mosiek i Kuba.

M o s i e k. Widzicie Jakubie, jaki jato dla was grzeczny!

K u b a. A z czego jesteście grzeczni? daliście mito co, albo poczęstowaliście mnie

na jarmarku za to, żem wam odwiózł ziarno?

Mosiek. Nie o to, tylko żem się tak zgniewał na tego młynarza, co nazwał wasze kobyły zdechlaki. — On jest gałgan, cygan, bo nie ma prawa przezywać zudzéj pracy. Kiedy on nie chce kupić, to ja u was na złość młynarzowi kupię i dam wam dwadzieścia pięć talarków.

Kuba. Nie wezmę, mój Mośku, oj nie wezmę jako żywo!

Mosiek. A wieleż chcecie?

Kuba. Tyle, ilem chciał od chłopa, trzydzieści talarków.

Mosiek. Życzcie mi Jakubie — dam wam dwadzieścia ośm.

Kuba. Nie będzie, tylko dwadzieścia dziewięć!

Mosiek. Niech będzie dwadzieścia dziewięć, to wam zaraz wyliczę. — Wyprzęgajcie konie i pilnujcie fury. — To macie dwadzieścia dziewięć talarki czyli złotych polskich 174 — a teraz wyrzućcie na szczęście i zdrowie, aby się darzyły.

Kuba. A gdzież wy je wiedziecie?

Mosiek. Co się pytacie?! Macie pieniądze a schowajcie dobrze do trzosa.—Ja tu zaraz po was wrócę i pójdziemy inne kupować. Zaczekajcież tu na mnie.

Kuba i Wojtek.

Wojtek. Sprzedaliścieto już kobyły, gospodarzu?

Kuba. Sprzedałemci, sprzedał żydowi.

Wojtek. Nie woleliścieto mnie życzyć, jak żydowi? On tam na nich zarobi.

Kuba. Niechże tam! ale i ja na nim zarobię, bo mi inne narai.

Wojtek. I jabym wam był naraił śwarne źróbki.

Kuba. Ej, poczekam na Mośka.

Wojtek. A jak się zaś okpicie? — Nie wiécieto, że każdy żyd oszukaniec?

Kuba. Ten tam nie oszuka, bo jest wsiowy, a my zawsze z sobą handlujemy.— Oj, nie jego głowa na to, aby mnie zdołał oszukać! — Mam ja mój rozum — a potém, albo mito pierwsza na jarmarku?

Mosiek i Kuba.

Mosiek. Spieszcież się Gospodarzu, bo się już jarmark kończy, pójdziemy konie kupować.

Kuba. A nie naczekałem ja się to na was? i teraz mnie wołacie, kiedy już bydlęta powybierane, a zostały same braki.

Mosiek. Jacyście wy niemądrzy! to najlepiéj, przy końcu, bo taniéj dostanie. Ja tu wiem kobyłkę czystą, ale nalega na nogę.

Kuba. Cóż mi tam po koślawéj.

Mosiek. Ale oko ma czyste i będzie na przyszły rok źrebna, jak ją odstanowicie u cesarskich ogierów. Za samo źrebie weźmiecie choćby 40 dukatów.

Kuba. Ej nie chce, kiedy kulawa.

Mosiek. Przecież nie kula na wszystkie cztery nóg, tylko na jednę a ma trzy zdrowe! Wiecie wy co! to tak zrobiemy, że chłopu za tę kulawą nogę odtrącimy talarka, a tylko za trzy zapłaciemy. Będzie tak dobrze?

Kuba. A uszłoby i tak — to pójdźmy, abym ją ujźrał. —

Szymek, Kuba, Mosiek.

Mosiek. Szymonie, przyśliśmy tu po kobyłkę co ją cenicie 20 talarków, co mówicie że będzie źrebna na przyszły rok bo ten gospodarz chce ją kupić, ale wam tyle nie da, bo źrebica na nogę nalega.

Szymek. Stoi tam u płotu, to niech ją sobie opatrzy.

Mosiek. (po cichu do Szymka) Trzymajcie się w cenie, a mnie dacie po dwa czeskie od talarka faktornego, (po cichu do Kuby). Możecie dać 18 talarków na oślep. — Idźmy ją zobaczyć.

Kuba. Ej, jakieś niezdarne i naddarta w piersiach.

Mosiek. Co zaś mówicie! Ona się podbiła na kamieniów co szła bez okucia. Jak wyto konia próbujecie? Czyście zapomnieli? Co wy mu patrzycie na nogi?

Kuba. No jakże będę próbował, jeno tak jak próbuję?

Mosiek. Weźcie ją za ogon. — A jak w ogonie mocna, to się ani pytajcie tylko płaćcie. — Dajcie no! niech ja ją

wezmę za ogon. — Oj, ogon jak żelazo. — Sciśnijcie ją za gardziel! Zduście dobrze! Parsknęła — güt — powiedzcie jéj na zdrowie!

Mosiek. No zgódźcie się Gospodarzu! damy wam 15 talarków.

Szymek. Nie będzie jeno dwadzieścia.

Mosiek. Co wy gadacie dwadzieścia! Jak świat światem tego nie weźmiecie,— damy wam ostatnim targiem 16. Chcecie brać? bierzcie, a jak nie' to nie.

Szymek. Opuszczę wam talarka, a inaczéj nie będzie.

Mosiek. Opuścicie talarka, a my wytraciemy za jedne nogę talarka, co na niéj dolega i będzie zgoda.

Szymek. Co macie wytracać, kiedy ona wyzdrowieje.

Mosiek. To jego szczęście jak wyzdrowieje. — No zgódźcie się na początek. — Trąćcież lekko — trąćcież jeszcze z raz — a teraz do góry reków, aby rosła. — Płaćcie Jakóbie, albo dajcie mi 18 talarków, weźcie kobyłę i zaprzągajcie, a ja mu tu wypłacę i pójdziemy po drugą a potém na litku.

Mosiek i Szymek.

Mosiek. To było fain, co mówicie Szymku! Mosiek ma rozum! — Słuchajcież teraz: 36 czeskich to 7 złotych i czeski. — Daję wam 16 talarków i dwie ćwiartki a będzie prawie.

Szymek. Kiedy mi więcéj wypada o kilka czeskich.

Mosiek. Co tam o te parę czeskich. Sprzedaliście ja tak, że gdyby król kupił, toby wam ani 10 talarków nie dał, to skrzypce, koślawizna — to prawie na skórę. No bądźcie zdrowi, a nie zdajcie mnie.

Mosiek i Kuba.

Mosiek. Mam dla was kobyłkę tę od leśniczego, jak szkło, ale co ja się natargował, naupierał, to niech Bóg broni — pójdźcie prędko aby jéj nie kupił Okumon, co ja targuje, a daje za nia 40 talarków.

Kuba. Kiedy ja już nie mam tylko jedynaście talarków.

Mosiek. Słuchajcieno Jakóbie! Ja wam tak życzę jakby rodzonemu Ojcu —

kiedy wy nie macie, to ja wam dam, a wy mi będziecie tylko płacić po 6 groszy od talarka na tydzień — a jak na ś. Michał nie będziecie mieli oddać, to wezmę u was tę płowa krowę, tę stara, tę duża kalembę za 19 talarków, a jak będziecie mieć, to dacie pieniądze i te 6 groszy od talarka.

Kuba. Ej, cóżtam kiedy ślepe kobylsko.

Mosiek. Dziękujcie Panu Bogu, że ona ślepa a nie wy. Gorzéj jak to te dziady co wrzeszcza, a sa ślepy bardziéj jak kobyła.

Kuba. Ale wam krowy nie dam, boby Baba nigdy nie dozwoliła i zarazby leciała do opiekuna, co jest jéj Stryk,

Mosiek. To mi dacie trzy korce żyta, dwa korce jęczmienia, dwa korce owsa i furkę siana.

Kuba. Kiedy to więcéj wyniesie, ho! o ila więcéj!!

Mosiek. Co wyniesie? nic nie wyniesie! Przecież nie kupicie, tylko dacie ze sasieka — to się nie kopie jak srebro albo miedź, tylko rodzi na wierzchu. — Spiesz-

cie się bo pilno. — 3 korce żyta, 2 jęczmienia, 2 owsa i furkę siana — pamiętajcie, a potém podpiszecie się w karczmie jak pójdziemy pić litku.

Kuba. Ja się tam nie będę na nic podpisował.

Mosiek. A jakbyście broń Boże umarli, toby mi przepadło, kiedy się podpisować niechcecie, to wam życzyć nie będę.

Kuba. Kiedyście tacy niewierny, to się tam może i podpiszę ale tylko pół fury siana.

Mosiek. Niech i tak będzie jak wy chcecie!

Leśniczy, Kuba, Mosiek.

Mosiek. Jeszcze nie widziałem z przeproszeniem tak twardego człowieka jak pan leśniczy.

Leśniczy. Bo wy się już od rana targujecie i niekupujecie, a kobyła już prawie sprzedana — poszli po zadatek.

Mosiek. Jak to sprzedana? co to jest? i jak to ma być? Ja ja dawniej ku-

pił! Kuba, weź kobyłę i zaprzęgaj a jedźmy. Jabym zaraz do Pana Burmistrza skarżył gdyby kto wział kobyłę. Dajcie Jakóbie 11 talarków a ja resztę zapłacę, i niech będzie koniec. Kto przyjdzie to już kobyły nie będzie. Mógł Okomon pierwéj zapłacić.

Kuba. Ej Mośku, bo ona nic nie widzi na oczy ta kobyła.

Mosiek. Kiedy nie chcecie to nie bierzcie, a zaraz ja Ekonom zapłaci, a jeszcze mi da odstępnego — kiedy mi nie wierzycie to ja ją sam kupię dla siebie. Panie Leśniczy, ja kobyłę kupuję a nie ten gospodarz.

Kuba. Co macie kupować Mośku, kiedy ja ją wezmę.

Mosiek. To weźcie, a ja wam odstąpię — ja tak robię jak chcecie.

Mosiek i Leśniczy.

Mosiek. No, już wział. — Ale co ja się z tym łaidakiem natargowałem, to warte

więcéj jak te 10 talarków. Ma tu Pan 11 a 19 to trzydzieści — równe pieniądze.

Leśniczy. Dużoś mnie ocyganił, wziąść zaś od jednego konia 10 talarków.

Mosiek. A wiele ta kobyła warta?.. Jabym za nią nie dał i 10 talarków.

Leśniczy. Tęga ona do pracy — za dwie obstoi, i jest w ścierwie bo się ciągle na porębach pasie a ma siana po sam brzuch, bo cóż mnie tam siano pańskie kosztuje?

Mosiek. Straci ona to ścierwo u tego chłopa i będzie jak hak, prawie na skórę — kłaniam się Panu a jakby w zimie, to będę bardzo pięknie prosił o parę porcyj siana, tobym tam zajechał z furkiem, a ja odsłużę.

Karczma.

Zła. Mosiek. Pijcież Jakóbie, ja zapłacę, na was przypada dać litku bo wyście przehanglowali.

an. Oj tęgi chandel zrobił, bo dał

dwie zdrowe kobyły za dwie kaléki i jeszcze dopłacił.

Mosiek. Takeście madrzy Janie, żeście aż łońskiego roku kupili nosatego konia.

Jan. Bom kupił od żyda cygana takiego jak i wy. — Tego kubę to wy na nic stéracie. — Szkoda baby i dzieci.

Kuba. Nie żałujcie mnie, bo ja was o to nie prosze, ani nosa nie wściubiajcie w cudze interesa — ja się was o wasz majatek nie pytam.

Mosiek. Pochlibca, co sprzedał Panu do dwora byczka, a ja mu dawał 15 talarków a mnie nie sprzedał, tylko z powrozem Panu zaprowadził. — Jak Jakób ma co sprzedać, to wyprowadzi na jarmark między ludzi a nie do dworu jak wy!

Jan. Bo ja wolę naszemu Panu życzyć, bo się we wsi zostanie a lada kiej i dla drugich będzie pożytek, i mam pieniadze równe — a jak wam co sprzedać, to zawsze ocyganicie. Dacie tam téj czarnéj soli z ziemia, wódki roztwarzanéj, téj tam kaszy zatęchniętéj i wnet się wykwitujecie i jeszcze sobie każecie dopła tó

Oj, na nic dobrego nie wychodzą te żydowskie pieniądze, nie! — Z Panem to się zgodzimy na dwa słowa i nie mogę sobie krzywdować. — Sprzedałem mu gontów, zapłacił mi — Szprzedałem mu byczka, zapłacił mi. — Szprzedałem mu słomy, sam sobie po nią pojechał i pięknie wyliczył papierki same reńskowe. I zawsze mu sprzedam bo uczciwy człowiek, a przecież Boga się boi, jako jest naszéj wiary i szlachcić, toby go było wstyd chłopa cyganić.

Mosiek. Co wy Kuba słuchacie tego pochlibce, tego dworaka. co trzyma z Panem a nie z gromadą! to jest zdrajca, to jest nieprzyjaciel on chce Sołtysem zostać.

Kuba. Z tego nic, jako żywo, nigdy nie zostanie, bo ja sam się w gromadzie sprzeciwię.

Mosiek. No, pijcie prędzéj Kuba, bo pojedziemy, ja mam dużo w domu do roboty, a przyjechałem tutaj gwoli was tylko, i trza nam wracać przed wieczorem. —dujcie prędko.

Kuba i Mosiek wracają do domu.

Kuba. Oj, kulejesz téżto ta kobyła, kuleje, ani jéj uźgać.

Mosiek. Wykuleje ona się jak postoi, a poddacie jéj trochę owsa, trochę koniczyny i siana.

Kuba. Kéj się tam wykuleje, kiedy ona widzę naddarta.

Mosiek. Jakby się niewykulała ona, to jéj źrobek nie będzie kulać, a czysty téż to będzie źróbek!

Kuba. Kiedy ona nie źrebna.

Mosiek. To lepiéj że tego roku nie źrebna, bo jak będzie źrebna, to będzie źrebie o rok młodsze, a zawsze za młodego konia więcéj płacą.

Kuba. Pru, prru!! stójże bestyja!! Widzic.e ta ślepa do rowu ciągnie, nie biedato! kiedy powiadam!

Mosiek. To nie ona krzywa tylko wy, co na nia nie patrzycie, targajcież hetta - hetta, jeszcze! — widzicie, jakem wam to

doradził. Kuba! zjedźcież tu ksobie, co wstąpimy tu o ćwierć milki po baryłkę z wódką na szynk.

Kuba. Ej, nie zjadę, tylko prosto pojadę do chałupy. Już tego wam nie zrobię.

Mosiek. Po co chcecie jechać do chałupy, aby was żona zwrzeszczała, żeście znowu konie przehandlowali? Jak przyjedziemy wieczorkiem, to się nie zmiarkuje.

Kuba. Jużci to prawda, ale jutro będzie wrzeszczeć.

Mosiek. O jutro fraszka, bo wy tymczasem się wyśpicie i spoczniecie, a raniuśko przyjdziecie do mnie, to ja téż złość za ten czas ominie.

Kuba. A dalekoto chcecie jechać.

Mosiek. Tu o ćwierć milkę za górką i przez ten las, a tam jest wieś.

Kuba. To będzie tego mila albo więcéj.

Mosiek. Kto ją tam mierzył! jak pojedziemy to się zmierzy. No, jedźcie k'sobie, tak — prosto teraz między pola! — Weźmiemy baryłkę wódki, to będziecie ją pić w propinacyi. Wszyćko jest dla was,

a mnie na tym szynku to trza stracić; co pan tak w górę wyciągnął.

Kuba. Dla czegożeście się na to podpisali?

Mosiek. Co miałem robić? Ja taki miękki jestem człowiek i taki uczciwy, co niech Bóg broni, — ja jak dziecko!

Kuba. Ja byłbym tyla nie dał i kwita! Niechże sobie tam sam szynkuje.

Mosiek. Ale kiedy ja mam takie serce, co nie mogę wam powiedzieć, a dziedzic taki twardy, taki zuchwały. A z takim krzykiem do mnie powiedział: „Albo płać albo cię wypędzę“. A ma takich lokajów, co są z goralów, to oni za nim trzymają, i zaraz wypycha za drzwi. To nie żartować z takim interesem!

Kuba. Ja tam do dworu ani zajźre, ani do nijakiéj roboty, ani po nic, a nawet jak spotkam Pana, to mu się i nie pokłonię. Bo co mi tam! tak ja dobry jak i on.

Mosiek. No, poco się macie kłaniać? na co się kłaniać? Niech on się téż kłania.

Kuba. A czemuż wy mu się kłaniacie?

Mosiek. Ja się tylko kłaniam jedną

czapką, ale niebem to mu się nie kłaniam.

Kuba. Jabym się tam i jedną nie kłaniał.

Mosiek. Jabym się téż nie kłaniał, ale żyd to się każdego boi, bo on ma Okomona, i ma tych lokajów, i kij z siekierkiem, a jak idzie na polowanie, to ma długi piscelet co strzeli. On jest jak jaki król i tak sobie stąpi górą, a tak na koniu w dyrdy jedzie, że mógłby broń Boże człowieka ztratować. Ja nie wiem co jest, ale ja się go boję. Ja się i was boję Jakubie, bo żyd to się wszystkiego boi.

Kuba. Mnie się tam nie bójcie, bo ja wam nijakiéj krzywdy nie zrobię. — Ale to daleko jakoś, kéj my jedziemy?

Mosiek. Nie daleko, bo za górą i za lasem, a potém pole i pagórek, prosta droga het! tylko popędzajcie.

Kuba. Popędzajta kulawą — jakże popędzać kiedy ona ledwo lezie.

Mosiek. Lepiéj ją popędzać aby się rozchodziła.

Pisarz, Kuba i Mosiek przed Browarem.

Mosiek. Niech pan pisarz z łaskiem swoim każe mi wytoczyć wódkę z okowita co kupowałem.

Pisarz. Zmieścicieto na ten wóz?

Mosiek. Coby nie miał śmieścić, taki szeroki wóz.

Kuba. Ani się ważcie ładować bo wam nie wezmę. Mówiliście że baryłeczka, a to kufa co w niéj 200 garcy.

Mosiek. Jakiście wy nie madry mój Jakóbie, czyby to warto było jechać z drogi półtory mili po baryłkę? czybyto nie była wasza krzywda pędzić taką drogę po pięć garcy wódki.

Kuba. Chyba mi zapłacicie, to wezmę.

Mosiek. A czy ja wam to niezapłacił, com się fatygował cały dzień za waszym interesem? Dałem wam dwa razy wódki i raz piwa — dałem wam chleba przekąsać — z młynarzem się o was pogniewałem, a mnie więcéj na rok ten młynarz uczyni, jak was sto i dwieście. Bierz-

cie jeno Jakóbie, bierzcie prędzéj, tylko dźwignijcie sobie drągiem — Ja wam pomogę i przytrzymam wam koni, a chłopi z gorzelni z wami dźwigna. Widzicie już jest. — Siadajcie na wóz i jedźiemy.

Kuba. Czy bis nadał z taką robotą. Szkapska się zbiédzą i tyla.

Mosiek. Dacie im koniczyny jak przyjedziecie.

Kuba w domu.

Żona. Czyście cały jarmark zakupili, coście aż o północku przyjechali?

Kuba. Tak się tam zabawiło, bom się targował do ostatniego, zanim te szkapy kupiłem, co je mam.

Żona. Już znowu macie inne?

Kuba. A po cóżbym na jarmark jeździł, tylko po to.

Żona. A założyliście im siana?

Kuba. Zabaczyłem założyć, ale ja im tam założę — założę.

Żona. Nie muszą one tam być bardzo szumne, kiedy o nich nie baczycie.

Kuba. Ulézą tem, tylko jedna mi się podbiła, a druga w oczy źgnęła w lesie, bo jest od leśniczego.

Żona. Widzicie! a nie powiadałam wam, że was ten niewiara żyd ocygani: to cygan, okpisz, to gorsze żydosko od porwisza.

Kuba. Gadasz, a sama nie wiesz co. Żebyć każdy był tak poczciwy, jak on.

Żona. Żebym była tak poczciwa, jak ten żyd, tobym prościuśko do piekła po śmierci poszła.

Kuba. Śpij, śpij, a na raniu będziesz inak gadać.

Sąsiedzi i Kuba na drugi dzień po jarmarku.

Grześ. Przyszedłem téż obejrzeć wasz jarmark, Jakóbie.... Czegóż ta jedna tak nogę wystawia?.... Cieńczyzna.... wązka w zadzie... na wysokich a cienkich badelach... kiepska będzie do roboty! A druga? Jużci ta grubszéj kości, w ścierwie, z pośladka szeroka, noga krótka.... Jeśli nie ma

co do siebie, to setna marszyna!.... Ale czegóż ona tak maca pyskiem po żłobie?.. Czyby łykawa?.. Ej, dyć ona ślepa!.. Jużci ślepa na oba oczy!.. Czemużeście zaś ślepą kupili? Cóż wam było za niewola ślepe szkapska kupować? — Wieleżeście za nie dali? Ze dwadzieścia i pięć talarków, a może i nie?

Kuba. Co tam gadacie, co? Alboście wyto bywalec na jarmarku? Albo wy wiecie, jak drogo konie płacą?.. Pięćdziesiąt i ośm talarków dałem za obie, i to mnie jeszcze chcieli ludzie podkupić; aż Mosiek miał już iść do burmistrza skarżyć.

Grześ. A komużeście wasze sprzedali?

Kuba. Mosiek ich kupił, ale je tam komuś ledwie zbył.

Grześ. A za wielaście sprzedali?

Kuba. Za trzydzieści talarków jeno bez jednego.

Grześ. I jeszczeście do waszych dołożyli wiela? czekajcie... dziewiętnaście talarków?... A przecie wasze były lepsze, hola, choćby o te cztérdzieści złotych, bo i oczy miały i wszyćkie nogi. — Oj okpił

was ten żyd pies okpił, choćby o te trzydzieści talarków!

Żona. A nie mówiłam ci, że ten cygan, to jest jakby nieszczęście, co cię męczy, dopóki krwi z ciebie do ostatka nie wytoczy. Dawał ci Pan za jednę kobyłę dwadzieścia pięć talarków, a obiedwie temu złodziejowi sprzedałeś za 29!

Kuba. Bom Panu nie chciał sprzedać!

Grześ. A czemu?... Niech kupi Pan, Xiądz, *żyd*, chłop, byle zapłacił.

Kuba. Toć mi szlachcic przecież wczoraj dawał trzydzieści talarków i sześć a nie chciałem, boby był może nie zapłacił.

Grześ. Mosiek wam musiał odradzić na waszą zgubę.

Kuba. Niechże tam, ale mi żyd jest na wszystko posłuszny. — On wczoraj nie miał interesu a ze mną pojechał.

Żona. Oj mój Boże, mój Boże! co też to za żydowsko zatracone, co się na naszą duszę zauwział.

Grześ. Kiedy mi Jakóbie nie wierzycie, to się pytajcie Maćka, to przecież

stary roztucharz a z wami w przyjacielstwie. — Cóż wy mówicie Macieju?

Maciéj. Co ja mówię? A to, ja nic nie mówię! jeno jak tego żyda scapię, to go tak złoję, iz mu parchy zleza ze skóry.

Kuba. Nie ważcie się, bo on więcéj mi świarczy jak wy, chocieście mój przyjaciel.

Maciéj. Swiarczy ci tam, świarczy, aż cię z kijem po wsi puści, to hycel żyd, psiawiara!! Żal mi oto, waszéj baby i dzieci. Jedna noga u waszych kobył więcéj była warta jak te dwie wywłoki. Jabym za obie ani dziesięciu talarków nie dał Jedno ślepe a drugie kulawe — to nie patrzy, a tamto nie chodzi. — Oj głupi, głupi chłopie, garnkami wam handlować, a nie końmi!

Może wy lepiéj umiecie jak ja? Spytajcie się Mośka to wam powie, że nie ma roztucharza lepszego na cały świat jak ja.

Maciéj. Co, wy?... Wy się zaledwo poznacie, czy koń, czy kobyła. Pójdźmy Grzesiu! co tam z głupim!.

Kuba u Mośka w karczmie.

Kuba. Nasłuchał ja się o was, nasłuchał od samego rana.

Mosiek. Cóżeście Jakóbie takiego słuchali?

Kuba. Oto, żeście mnie na szkapach okpili.

Mosiek. Ja was okpił?.. Albo wy się to lepiéj odemnie nieznacie? A któż wam to gadał?

Kuba. A Grześ i stary Maciek!

Mosiek. Te cygany, te okpisze, co wam zazdroszcza, i co we dworze u kamienia zarabiają. Oniby chcieli za darmo u was te kobyły kupić i panu siągi wozić. Może wam dają za obie 50 talarków.

Kuba. Gdzie tam, ani dwudziestu nie dają.

Mosiek. A widzicie, jakie to przyjacielstwo, żeby u was za nic wycyganić. Ja wiem że oni mnie nie lubią przez to, iż ja z wami trzymam a nie z niemi. Maciek to mnie już o was chciał bić. To chłop jak zbój, a zazdrości wam każdéj rzeczy,

i chciałby wszystko dla waszéj baby, a przecież z was jest cały majątek a nie z waszéj.

Kuba. Juźci to prawda co mówicie.

Mosiek. Ja zawsze prawdę gadam, a życzę wam jak rodzonemu Ojcu. — Kuba! napijcie się półkwaterek — ja nie chcę zapłaty, dacie mi z miarkę prosa na kaszę.

Kuba. Ej, o proso tam fracha, bo jest dziękować Bogu w sąsieku. Ale gorsza co to kobylsko kula a cienkie.

Mosiek. Gdyby ona nie kulała, toby wart sto talarków dla wielkiego Pana, na wierzchowego — a jak przestanie kuleć to co mi dacie? Ja jeno chcę połowę 25 alarków, a dla was, to i 15 wezmę.

Kuba. A jak nie przestanie?

Mosiek. Jak nie przestanie, to będziecie kulawą jeździć, co za wielkie rzeczy? — a jak kto nie ma kulawéj, to musi piechty chodzić, a jak nie ma i butów to chodzi boso.

Kuba. A ta ślepa?

Mosiek. Dziękujcie Panu Bogu że ona ślepa, — bo gdyby nie była ślepa, toby

ja był leśniczy nie sprzedał — alboby ja był zbył jakiemu Hrabiemu co jest na kilku folwarkach.

Kuba. Jużci to prawda. — Jak wy gadacie, to się zaraz dobrze składa, nie tak jak ten cygan Grześ, - albo choćby i stary Maciéj.

Mosiek. Bo co oni znają! — Oni nawet takiéj mowy nie znają jaką wy wyrozumiecie. Wy macie rozum większy jak oni, o wiela?.. O sto razy!

Kuba. No, zostańcież z Bogiem Mośku!

Mosiek. Jdźcie z bogiem Jakóbie. — A jeśli nie będziecie konteci z tych koni. to będzie jarmark pojutrze, to możemy jechać i kupimy dwie źrebice czyste, co będą miały i oczów i nogi — i niech potem Grześ patrzy, a my się będziemy śmiać i zarobimy drugie tyla.

Kuba. A to dobrze — możebym tam i pojechał, jeśli wy będziecie czasowi.

Mosiek. Dla was, to wszyćko porzucę, a na swoim postawię, abyście wy raz doświadczyli jak ja wam życzę, lepiéj od waszych przyjaciełów.

Co o Kubie na wsi mówią?

J ę d r e k. Na nic tego Kubę żyd stéra — włóczy go dzień w dzień po jarmarkach, a pole leży. — Mój Boże, jaka téż to szkoda takiej roli! w całéj wsi nie ma takiéj. — Babsko tam zabiega jak może, ale cóż baba poradzi, kiedy chłop wszystko marni.

P i o t r. Szkoda go, bo dobry człowiek, ani pijak, ani złodziéj, tylko tak do tego handlu ciekawy. Chocby o północku to wyjdzie jak się dowie o jakim jarmarku.

M a g d a. Jak i teraz Maciéj powiadali, że te dwie kobyły to i 10 talarków nie warte a dał za nie 58 i jeszcze żydowi zboże darmo woził i beczkę wódki przywiózł.

J a n k o w a. Ej, ja więcéj wiem, bo się u Mośka zafantował.

J ę d r e k. Coby zaś nie miał: onby gotów duszę zastawić jak jest na jarmarku, takiéj on natury. — Ej, to kiep chłoposko, już z niego nic nie będzie; on wszystko zatraci. — Mosiek mu niedługutko i na rolę wlezie.

Maciéj Co wy tam gwarzycie sąsiedzi?

Jędrek. A o tym waszym przyjacielu — o tym handlirzu co dał zdrowe szkapska za zdechlaki i dopłacił.

Maciéj. Ej co mu tam poradzi! Już mu nikt nie poradzi, bo go żyd urzekł, i czary mu podłożył, albo mu dał z wódką wypić. Onby w ogień skoczył za onym złodziejem Mośkiem. Trzebaby Jegomości powiedzieć, żeby mu jako poradził, a odpędził od niego urok toby dopiero tak było. — A jak nie, to mu już nic nie pomoże.

Kasper. Jużci tak jest że czary, bo go ma żyd pod mocą i co chce z nim, potrafi — a tak z nim kręci, tak cygani, coby się lada głupie dziecko poznało, a on nic, jeno wierzy. — Mówił ten leśniczy co mu kobyłę ślepą sprzedał, przed naszym okomunem, że mu tylko żyd dał 20 talarków, to już psia-noga 10 talarków zwędziła.

Maciéj. Próżno o nim i gadać: łajdaczysko i tyla!

Jędrek. A jużci.

Piotr. Tak wypada, tak!

Jankowa. Mój Boże, tyle zmarnić majątku i babę stérać!

Cóż się z Kubą stało?

Długoby to było opowiadać jak ten Mosiek wodził Kubę po jarmarkach, a zawsze na nim co zyskiwał. Dość, iż po dwóch latach Kuba już nie miał ani jednego konia, a z bydła zostało mu się tylko jedno ciele. Rolę zaniedbał, co miał to ztérał, aże raz przychodzi do niego Mosiek i tak mu mówi. Słuchajcie-no Kuba, ja u was rolą kupię i dobrze wam zapłacę. — Kuba na to: Ej, dajcie mi tam pokój boście się mnie dość nacyganili. — A Mosiek co wiedział, że na Kubowéj roli jest porcelanowa glinka i co już za to wziął od zagranicznych kupców sto reńskich faktornego, tak mówi do Kuby. „Za wszystko coście stracili, teraz zyskacie, bo bo wam samemi pruskiemi talarami zapłacą na rękę i pięć ról sobie kupicie. Pójdźcie

zemną tu na górę do Bazylego, a tam są kupcy, i uczęstują was i dadzą wam taką wieczerzą, jakiejście nigdy nie jedli, a wy się tylko podpiszecie.

Usłuchał Kuba jako głupi namowy Mośka, do czego się téż i Bazyli przyczynił, (bo także był spekulant) i Kuba roli się pozbył, pieniądze przejadł a potém wyszedł na wielką biedę, i kto inny na téj roli wielki majątek zrobił. Mosiek wyszedł w innéj wsi na arędarza, Bazyli zbił pieniądze. A jakób z zarośniętą brodą stojąc pod drzwiami Bazylego, prosił się o grosz jałmużny, mówiąc: „Doprasza się téż ubogi dziadek o Opatrzność Boską“. Tak bywa tym wszystkim, co zamiast roli pilnować, za tym handlem ciekają a po jarmarkach się włóczą a diabłu duszę, żydowi zaś swoje sumienie i zaufanie oddają. — Tak bywa tym, co chcieliby psim swędem przyjść do zarobku, a na kawałek chleba w chałupie i we wsi nie pracują. — Tak bywa tym, którzy ani rady Xiędza Proboszcza ani starszych nie słuchają, ale wolą iść za namową oszustów i dają się na złe rzeczy

i zdradę naprowadzać. Dla tego jeżeli nieszczęście Kuby może być dla was i przestrogą i przykładem, to usłuchajcie rady jaką wam daję, a unikniecie takiego losu, jaki biednego Kubę spotkał, którego ja co to piszę wspólnie z wami żałuję.

Rady o tych Jarmarkach i Kiermaszach.

1. Kiedy ci Bóg dał bydlątko, to go chowaj i opatruj jako dar Boży, paś, głaskaj i szanuj, bo i to stworzenie Boskie, które ci dane jest na pożytek i ulgę w pracy i w potrzebie. Krowa daje ci mléko, abyś miał czém strawę okrasić, przychowasz od niéj ciołka na to, abyś miał czém św. ziemię uprawić. Koń ciagnie ci w wozie i pługu a chodzi i w bronie i z lasu ci przywiezie patyk czyto na gaty, czy na pal, czy téż na budowlą. On się umęczy; a ty sobie przy nim idziesz luzem, tylko poganiasz. — Owca daje ci wełnę na sukmanę — wieprzek omastę, kura jaja, gołębie

oddają ci własne swoje dzieci, abyś sprzedawszy je, miał za co soli kupić!

A ty jak robisz?... Oto robisz jak Kuba. Chociaż masz krówkę dojną, to ci się już kalemba uprzykrzyła. Już cię djabeł albo zły człowiek podmawia abyś ją wywlókł na jarmark. Powiadasz że chcesz lepszéj — albo to ludzie głupi żeby lepszą na targ wodzili? Sprzedasz lepszą, kupisz gorszą, i wiedziesz na postronku do chałupy. Siada baba pod krową i doi. Jużci na wieczór da ci więcéj, bo mleko przytrzymane. Z razu pasiesz ją dobrze, to jéj rzucisz trawy z ogrodu, to siana, jeszcze siano, jako tako; ale jak wyjdzie na ugór, albo jak ją na postronku po miedzach pasiesz, to krówsko mało co daje mléka. jakby jaka przysuszka. Chodzisz do wróża, kréślisz srebrnym pieniądzem, a kalemba jak nie doi, tak i nie doi. Widzisz gospodarzu! Przegrałeś żeś swoje bydlę sprzedał; nie trzeba było chodzić na jarmark a swoje trzymać. Dopiero, gdyby już twoja krowa była stara i straciła zęby albo była furczasta, a gdybyś od niéj miał jedne lud dwie krowy i jałówki,

wtenczas byś ją sprzedał a pieniądze schował do skrzyni. Tak byś wygrał, boby byłv i młode krowy i jałówki i ciołki i pieniądze.

Albo naprzykład, cożeś zyskał żeś sprzedał tę źrebicę, co jéj tylko rok a była po ogierach z Cesarskiéj stajni? Wieleżeś za nią wziął?.. Te kiepskie 11 talarków i ćwiartkę! Nie wartoż-to było chować a wyprowadzić na wystawę rolniczą do Krakowa? Byłbyś wziął za rok albo za dwa ze 150 reńskich. — Albo na ten przykład i tę siwą coś sprzedał?.. Dował ci Pan 200 Złotych... nie chciałeś. — A za ileś ją sprzedał na jarku? Za 144 Złote. Teraz sobie porachuj coś stracił. — Najprzód dzień — potem wódkę na litku, na kukiełki, na schab, (co same w nim były kości). Na rogatkę, na targowe i wieleż ci zostało? — Widzisz!... gdybyś był na jarmark nie chodził byłoby ci zostało przeszło 70 Złotych zarobku. Ale mniéjsza o to! Lecz powiedz mi, gdzież są te pieniądze?.. "Rozeszły ci się„ powiadasz Rozeszły ci się pieniądze i rozszedłeś się i ty z kobyłą, a czemże teraz będziesz robił w polu? Innéj kobyły, nie ma za co kupić!..

Najmować do roboty? to drogo!.. Trzeba będzie mniéj siać — a jak mniéj zasiejesz to i mniéj zbierzesz. — A jak mało zbierzesz, to ani podatku nie zapłacisz ani się nie wyżywisz. — Otóż widzisz, że nie trzeba było na jarmark kobyły wywłóczyć.

2. Pocóż ci się nieraz spieszy na jarmark? Oto, boby trzeba soli kupić (powiadasz). — Baba garczki wytłukła, nie ma w czem jeść warzyć! a więc trzeba iść po garnki. — Możeby się tam i osełka kupiła bo do kosy w domu potrzebna. — Kolce też do pługa trzeba sprawić. — Poczekajże, abyśmy o tem pogwarzyli. — Idziesz po sól na jarmark i kupujesz funt soli za 7 gr. czyli kr. 3½. Sprzedają ci sól ze stragi potłuczoną w stępie a ważą na małą wagę i ledwo téj soli masz za 5 groszy. — Straciłeś cały dzień, który możesz rachować złoty. — Wypiłeś nie jeden kubek wódki, zdarłeś bóty· naswarzyłeś się nie z jednym. — W chałupie u ciebie nieład, czeladź próżnuje. — Nachodziłeś się tam i nazad ze dwie mile; nożyska cię bolą. — Rozbestwiłeś się na jarmarku i na drugi dzień pracować ci się nie

chce, tylko idziesz do karczmy rozpowiadać sasiadom różne plotki, i znowu drugi dzień tracisz. — Tam przy kwaterce znowu się zmawiacie na inny jarmark, bo ci się zdaje, że tam taniéj kupisz niecki i kosisko, tak przynajmniéj sam i siebie i żonę oszukujesz taka potrzeba. Oto zbisisz się na tych jarmarczyskach i już ci uczciwa praca w roli i w chałupie zbrzydnie — wyjdzież na włóczęgę, próżniaka, handlerza i zuchwalca, bo tam nie Xiądz proboszcz ale djabeł w karczmie kazania do was prawi. — Otóż masz jarmarki!! A potrzeba ci to tego?.. Nie potrzeba! — Bo złóżcie się z jednym albo drugim sąsiadem i kupcie sobie cetnar soli. Wypadnie wam taniéj w jednym okruchu i masz sól czystą. Podzielcie między siebie; a na każdym funcie, będziecie mieć po 3 grosze zarobku, i dnia nie stracisz i pala dopilnujesz i butów nie zedrzesz i Pana Boga nie obrazisz. A wreszcie: w każdéj wsi jest solarz, co sól sprzedaje; lepiéj swojemu dać ten grosz zarobić. — Garnki i smołę rozwożą po wsiach, a ja sam słyszę jak krzyczą ogłaszając swój to-

war. — Niecki zrobisz sobie ze staréj wierzby. — Kosisko lada kto zrobi. Więc to nie prawda, abyś ty szedł z potrzeby na jarmark tylko idziesz z rozpusty i próżniactwa, i dla tego że ci się sposobność natrafia upić się, kłócić się i bajek nasłuchać. — Jak wracasz z jarmarku to jesteś pijany tak, że ci każda droga wązka i taczasz się od rowu do rowu, aż upadniesz i śpisz w błocie jakby nieprzymierzając nierogacizna. Nie raz czapkę zgubisz, z pieniędzy cię obierą, a trafiało się, że i wóz z końmi ukradną.

Otóż widzicie, że:

Jak na dziada wyszedł Kuba,
Tak też pewna wasza zguba
Z tych kiermaszów i jarmarków
I z tych z żydami frymarków.
A teraz wam w innéj księdze,
Pijanicy skreślę nędze.



Franek Pijanica.

3

FRANEK PIJANICA.

Byłoby tam i nie złe chłopowsko, tylko tyla, że tej pary za wiele zażywa.

Zdanie gromady o Franku

Sołtys i Franek. (na nawsiu).

Sołtys. Mówiłem wam już tyla razy o ten kamień na gościniec, a wy się jeno wódka zabawiacie.

Franek. No, i o cóż?

Sołtys. No, jużci o to, co wam powiadam! Czyście jeszcze od wczoraj nie wytrzéźwieli, co nie rozumiecie?

Franek. Właśnie! po téj kwaterce nie miałem wytrzeźwieć!

Sołtys. Abobyście wy sie to obeszli kwaterka?... Dla was kwaterka na nic Wy i kwarte zniewolicie, a wnetbyście i garncowi podołali, gdyby wam kto kupił.

Franek. Nie kupi tam teraz nikt. Prędzéj ja komu kupię jak mnie kto. — Oto pójdźcie Sołtysie, wypijemy po kubeczku i ugadamy się trochę o téj mojéj biedzie z ta macocha, co już takie babsko swarliwe, że mi się już obces bić chwytała, żem jéj gruntu przeczył.

Sołtys. Nie pójdę do karczmy, ani

pić z wami nie będę, tylko jak macie mi co powiedzieć to gadajcie.

Franek. Tak się nie da wypowiedzieć mój Sołtysie, ani też tak sprawy nierozsądzicie, tylko wstąpiemy na chwilkę a długo się nie zabawiemy, jeno aby się trochę ucieszyć.

Sołtys. Ja pić nie będę, bom się wyrzekł na zawdy.

Franek. O bodajże cię! pocóż się było wyrzekać mój Sołtysie, że mówię po co? — Ja się zaś nie wyrzekał, anim nie przysięgał, bo zawsze dobrze zażyć trochę téj pary choćby w trafunku jakim, albo przy ciężkiéj robocie. — A cóżby robili Arendarze, żebyśmy się wszyscy wyrzekali?...

Sołtys. Co wy się tam o arendarzy frasujecie, a o siebie się nie frasujecie?

Franek. Nie przepiłem tam nic mój Sołtysie, bo co mam, to nie z ojczyzny tylko z dorobku i z moich dziesięciu palców. Jak mnie odumarł nieboszczyk ojciec, to nas zostało troje przy macosze, a sam drobiazg. — Otóż nieboszczyk odkazał

wszystko na macochę, choć było po nim a nie po niéj. I tak tam było, dopókiśmy nie dorośli do lat. Potem domagaliśmy się, jakoście wy sami świadomi, ale kéj tam z babą? Jak zcapiła tak i trzyma. — Poszedłem w służbę, przysiewałem, i ożeniłem się też z krową i jałówką i czterma morgami, com kupił za jéj spłackę od sierót, i tak źgam i źgam, a roli nie opuszczę i na zarobek wyjadę, i podolę choćby jakiéj robocie. Ałe was też bardzo pięknie proszę mój Sołtysie, abym ja się mógł jako dostać do mojéj ojczyzny, która patrzy na mnie i na moich braci.

Sołtys. To sobie dajcie napisać u profesora a podajcie do Urzędu, a ja przypieczętuję jako jest prawda. — Jeno piérwéj ten kamień zawieźcie na gościniec, bo się Wny Naczelnik bardzo gniewa, i zfukał mnie straszecznie na sessyi.

Franek. Ej co tam o kamień, jabym i jutro odwiózł ze trzy kupki, gdybyście mnie wysłuchali o macosze, a wstąpili choćby na essencyą, albo na jeden al-

bo i drugi kieliszek araku. Przecieście tylko na samą wódkę przysięgali.

Sołtys. Bóg wam zapłać, ale nie pójdę!

Franek. To choć szklaneczkę piwa, albo miodu, bo żyd miód sprowadził, a zgodne żydowsko i podaje się na dobrego człowieka.

Sołtys. Czego się macie dla mnie Franciszku szkodować, kiedy wy sam na siebie dosyć się wyszkodujecie.

Franek. Nie gardźcież Sołtysie, kiedy was pięknie proszę, nie zabawimy się tylko pacierz.

Sołtys. To tam i pójdę, ale mnie długo nie zabawiajcie, bo nie mam czasu.

Karczma.

Franek. Przyśliśmy się tu do was zabawić Arendarzu ze Sołtysem, dajcie nam kwartę miodu.

Mosiek. Cóż to? miód chcecie pić Franciszku? Co to na was taki trunek?

Franek. Nie o mnie gadanie A-

rendarzu ale o Sołtysie, bo on się wyrzekł na cały żywot.

Mosiek. Na co się miał wyrzekać, co mu z tego? Miód jeszcze drogszy, a co go trza wypić, aby poczuć?

Franek. Jużci i ja tak mówię, że zawsze para lepiéj obstoi, ale on jéj pić nie będzie, choćbyście go niewiedzieć jak niewolili. — Dajcież kwartę miodu.

Mosiek. Niech będzie i miód! Ale dajcie dwa złote to przyniosę.

Franek. Cichoinoście mój Mośku, tylko dajcie a ja wam wieczorkiem przyniosę jak parobek z pańskiego wróci, a we dworze mu zapłacą. — Będę miał całe dwa reńskie, to ich do domu nie zaniosę tylko u was zostaną.

Mosiek. A jak nie zapłacicie, to co będzie?

Franek. Kiedy was uręczam, że zapłacę, chowałbym ja to pieniądze? Wy wiecie że jak co zarobię, to się też lubię u was ucieszyć. Tyla mego.

Sołtys. Wypijmyż mali wypić Franciszku, i pójdźmy.

F r a n e k. Kiedy tam żydosko nieskorne, paćka się długo z tym miodem, i dopiero poszedł niewiara utoczyć.

J ó z e k. Witajcie Gopodarze! zabawiacie się to tutaj? Sołtysa trefuniem tylko ujrzyć w karczmie!

S o ł t y s. Ej, bo ja tam tego nie ciekawy, tylko mnie Franek zniewolił.

J ó z e k. On bo tam próbant temu, i choćby cały dzień to przesiedzi u żyda.

F r a n e k. I wy tam Józku tą blachą nie pogardzicie.

J ó z e k. Nie do tego się mówi, bo i ja wypiję, ale nie bałamucę jako wy.

F r a n e k A nie leżeliście-to u Pana na grobli, po kiermaszu? co? nie leżeliście?

J ó z e k. Nie łżyj próżno, kiedyś nie widział! — Wyświadczą mnie wszyscy jako nigdy na świecie nie leżałem jako ty, co nieprzymierzając leżysz w błocie jak świnia.

F r a n e k. Co mnie ty masz do świni przykładać! świniaś ty sam świniarzu, a kiedy ci nic nie mówię, to mnie nie napastuj, bo cię udrę aż zobaczysz.

J ó z e k. Co? ty mnie udrzesz? Ty

pijaku urwisie, coś przepił pół korca węgla, jakeś zwoził na najem do dworu; coś zastawił pańskie worki z owsa, a mówiłeś, że ci z wozu wypadły; coś półsiążki przehandlował. Ty mnie udrzesz?

Franek. Sameś złodziéj złodzieju! a na mnie nie wygaduj, bobym ci tu prędziuśko odrzekł, a to przy Sołtysie jako przy Urzędzie.

Józek. To gadaj, co wiesz? szczekaj zaraz co chcesz szczekać.

Franek. Będę gadał, a tego się nie zaprzecie; żeście kradli pańskie żyto na garściach! A znowu wnocy koniczynę co na ziarno Ekonom zostawił? A także żerdzi około pola? Któż kradł jak nie wy? A kto siągi pańskiego kamienia srprzedawał do obcéj wsi na gościniec? — Kto, nie wy?

Józek. Co tam o to! kamienia w górze nie braknie, a koniczyny to jeszcze sprzedali. A potem, jeźlim wziął to na potrzebę, a nie na wódkę jako ty łajdaku.

Sołtys. Czego macie na siebie wywoływać? Było się zdawać w czasie a nie

teraz. Nie wadźcie się po próżnicy ale pijcie albo się rozejdźmy i kwita.

Franek. Jużci pijmy, ale czegóż mnie ma naśladować?

Maciek. O cóż wy się swarzycie gospodarze?

Franek. Bo Józek się upił, i robi mnie złodziejem.

Józek. Boś złodziéj!

Franek. I tyś złodziéj jeszcze gorszy.

Maciek. Ej, co tam o lada kiepską rzecz się wadzicie, co tam o to.

Mosiek. Nie kłóćcie się Gospodarze, bo macie miód to pijcie.

Maciek. Dawnom téż miodu nie kosztował, aż w Krakowie, jakem zboże na targ odwoził, bo mnie żyd poczęstował co mu sprzedałem nadmiarek. Ej, co téż to już targów nie ma na tym Kleparzu! — Co tam bywało fur słyszycie, to aniby był człowiek nie porachował. Mało tam i pilnowali, tylko jak się w drodze przenica skropiła, to się zawsze przymierzyło.

Sołtys. Coby nie!..

Janek. Jać wiem, bom przecież służył za fornala.

Franek. I trunek był tańszy, tak powiedzieć jak o połowę, bo za 4 grosze miałeś kwaterkę.

Sołtys. Coby nie? Zawdy dostał za 4 grosze.

Józek. A ja wiem, że żaden z was tyle nie pozyskował, co ja, kiedy byłem przy browarze, a robiliśmy na takim garncu, co się nazywała marszyna, i szła z niéj okowita do léjka, a baryłka była za kratką zamykana na kłodkę. — Pisarz był stary i grzał się tam przy kotle, a ja, jakem się położył na brzuchu a cywkę z bzu wraziłem do lejka, tom ssał parę z baryłki, jakby nieprzymierzając ciele co krowę ciągnie. — To takem się co dzień upił, takem się spił moiściewy, że ledwie się raz we mnie gorzałka nie zapaliła. — Pisarz ani miał na to zmysłu aby wiedzieć jak ja piję, a ja mu się wymawiał, że mnie zaduch z pary tak marzy. I tak było aż do końca. Oj, były też-to czasy!..

Franek. Ej, byłyćto mój Boże! Pijcież Sołtysie!

Sołtys (pije). Dobry miód, ale lepszy w Krakowie u Tomaszka. Tam to miód jakby smoła, aże głowa od niego boli. Choć ja com się wódki zaprzysiągł, jak pokosztuję kwartę miodu albo więcéj, to tak się spocę żeby koszulę wyzuł, i choć zimno to w kaftanie jadę do chałupy.

Franek. Napijcież się i wy Macieju!

Maciéj. A nie poczęstujecie to i Józka na zgodę? kiedyśma w kompanii.

Franek. Ja mu tam nie żałuję, ale czegóż ma na mnie wywoływać.

Maciéj. Ej głupstwo, co tam o to, przecież po wsi nie kradnie, ani jeden ani drugi, a że tam tyla nie wiela kto podniesie wele drogi, to z tego nic.

Józek. Oni sobie tam teraz krzywdy we dworze nie dadzą zrobić, bo okrutnie pilnują. Nieboszczyk to siedział sobie we dworze, a jak człek Okumonowi zaniósł pocztę, to popasł bydle choćby gdzie — ale ten młody to doziera, a tak już cieka za onym snopkiem, że aż ci na garszć patrzy

czyś mu nie wziął, i choć pięknie do człeka gada, na to mówiąc: Panie Sąsiedzie, albo tam inak, to już próżno się o co do niego zapędzać. „Myśmy teraz Sąsiedzi“ prawi, „każdy sobie“ prawi.

Maciek. A jakże!... Spotkał mnie kiedysik na drodze, com wracał z pola i mówi: „Jak się macie Panie Sąsiedzie“. Jak wola Boska odpowiedziałem. — Cożeście w polu robili? (prawi). — Orałem téż sobie pod groch rzeknę, ale nie mam ziarna, więc żeby mnie to Pan Wielgomożny zaratował, rzeknę. — A on na to: „Wyście teraz bogatsi (prawi) odemnie. — Ej kéj tam, rzeknę, zawsze co Pan to Pan. — A on: „niema teraz Panów tylko posiadacze, sąsiedzi“ — i takeśmy się rozeszli, — i nic tam więcéj nie rzekł.

Józek. Takici on jest, taki. Zapłacić bo i zapłaci, jak mu wyjedziesz albo poślesz do żniwa, albo z łopatą, ale nieboszczyk nie był taki harny jak on i prędzéj się go urwało.

Franek. Pijcież Sołtysie druga, a ja gorzałki pokosztuję, bo mnie ten miód mgli.

Pijcież i wy Macieju, a i wy téż Józefie, chociaż na mnie walczycie. Ja zaś taki człowiek, że na nikogo nie walczę tylko swego patrzę, a jak téż mam jaka turbacya to idę do karczmy i tak mi się zaraziczek ulży. Jak i teraz, to już mam taka zagłobę z ta macochą, że mi ni nocy ni dnia. Co téż to i za babsko takie przejęte kiedy powiadam, i świergoli mi nad głowa i świergoli, a gruntu oddać nie chce.

Maciéj. A o cóż się wadzicie?

Franek. A o tęć rola, co na mnie patrzy po nieboszczyku Ojcu. Jak sobie ja przywłasczyła widzicie, tak i obsiewa i pożytkuje a jak jéj co powiesz, to cię zeswarzy i tyla wszystkiego.

Józek. A dacie się to babie, jeszcze macosze kiedy nie wasza matka?

Franek. Udarł ja ja ta już z kila razy i zwłóczyłem za łeb, ale nic nie pomogło i ani to umiera ani roli nie puszcza, tylko siedzi i chléb pożywa z mojego gruntu.

Maciek. Ale bo téż po sprawiedliwości, to z niéj miał nieboszczyk.

Franek. Jako na życie nigdy, bo z niego było.

Maciek. Ale z niéj a nie z niego, ja przecież służyłem za parobka u starego Bartka jak się wasz rodzic żenił.

Franek (popijając wódki). Nieprawda, bo nie tak było, jeno rola była po Stryku, co był na niego spadek, a ten Stryk miał syna co mu było Józek, więc ten Józek był znowu memu Ojcu od Ciotki — i tak było.

Maciek (popijając). Nigdy na świecie! bo wasz ojciec ożenił się z gdową, a ona miała pierwszego chłopa co mu było Kasper, a młynarzowa siostra to jéj była ciotka, i tak na nią spadło, Gotówem na to przysięgać.

Franek. Nie będziesz przysięgał, bo na fałsz, tylko ja będę przysięgał na moją pracę. Ja będę przysięgał, a tobie nosa nie wściubiać. Niech i Sołtys powiedzą za kim świarczą?

Sołtys. Ja mówię, że tego nikt nie zgadnie jak nie Profesor, bo widzicie, że, ona siedzi a onby rad tę rolę objąć, jako

jest gospodarz i nie mogą się tam pogodzić, tylko się swarzą. Ktoby chciał to najłepiéj iść do Profesora.

Maciek. Na nic Profesór, tylko najlepszy organista. On jak osądzi, to tak będzie prawo. Choć będzie najbardziéj pijany to tak ci wypowie gdzie i tak jest napisano i jakiego roku, że komu chce to przysądzi. Ma on setny rozum, choć człowiek malućki.

Sołtys. Niema co powiedzieć, i organista mądry, ale jeszcze lepszy profesor bo każdą mowę wyrozumi, i choć z żołnierzami na kwaterze co byli z Italii, to się prędziuśko zmówił, tak i tak, tak i tak i zaraz się zrozumieli.

Franek. To posłać po organistę, bo prędzéj téż z nami wypije a wyrozumi.

Józef. Nie trza tam i organisty, jak temu potrafi Bazyli co się to ożenił z córką prepinatorki. On tak kręcić umie, jakby żyd jaki; najprędzéj on wam to wykręci. On taki do tego pisma, że od razu napisał skargę i siostrze na brata i bratu na siostrę i tak ich powadził, że oni zmarnieli a

on wszystko pozyskował. Lada kogo poburzy, i choćby tam człowiek nie miał nijakiego pomysłu, to on wnet ma sposób co zajdą w prawo; i wjakie jeszcze!.. Podobno się teraz i z dziedzicem kłóci, ale nie wiem jak tam z sobą zrobią, bo się jeden na drugiego odkazuje.

Sołtys. On tam taki człek zwadliwy, że każdemu wlezie za skórę, i całą wieśby poburzył.

Józek. Nie gadajcie, bo on zawdy za gromadą trzyma.

Sołtys. *Ej pleć* baja, onby za trzy grosze całą gromadę sprzedał.

Maciek. Dobrze mówią Sołtys, boby i sprzedał lada komu, choćby i panu.

Franek. (napiwszy się gorzałki). Słuchajcie Sołtysie, niech ja też gadam. Otóż wam powiem po sprawiedliwości że jak wy nas z macochą nie rozsądzicie, to ja babę na śmierć zbiję.

Sołtys. Nie taka idzie Franku, bobyście byli w odpowieści, a onaby i tak z roli zbierała, tylko tak jakem wam powiedział, żeby nauczyciel wypisał, i dopié-

ro zaniesiecie do powiatu. Tak teraz nastało.

F r a n e k. Ja tracić na pismo nie będę, tylko wam się pięknie opowiadam, jako babę bić będę a swojego nie opuszczę.

M a c i e k. Przegracie Franciszku, bo choćby jak, to jéj przysadzą, bo na wdowę spada.

F r a n e k. Jako żywo, nie na wdowę, tylko na syna. Gadajcież Sołtysie.

S o ł t y s. Jużcić się patrzy na syna, ale jak jest wdowa a siedzi, to cóż jéj tam zrobisz?

J ó z e k. Jabym tam nie dał ladajakiéj babie zbierać.

S o ł t y s. Jużci do tego się nie mówi, boby przecież baba przez moc nie powinna pożytkować.

F r a n e k. Napijcież się Sołtysie!.... Mosiek daj drugą kwartę a mnie téż moją porcyją.

M o s i e k. Ja poślę do waszego parobka, aby przyniósł te dwa reńskie co zarobicie, bo poco je ma waszéj oddawać, ona by ich gdzie zadziała albo schowała,

a wybyście na tém stracili. Pieniądze to najlepiéj u mnie zamikać w szufladziech.

Franek. Jacyżeście wy niewierni Mośku, kiedy ja wam dam i te dwa reńskie co dziś zarobię, i na te też napiję co się zaś jutro zarobi.

Mosiek. Niech tak będzie, ja wam wierzę, jenobym chciał i waszego parobka poczęstować, niechby i on wypił kubek wódki.

Regina (żona Franka wchodząc do karczmy). Cóż to za przeklęte pijaczysko! bezkurcya choć i chłop taki, i siedzi w téj karczmie i siedzi od świtu do saméj nocy.

Franek (z oczywszy żonę). Regina! pójdźże tu, co się też napijesz... pójdźże!

Regina. Nie pójdę, ani nie będę piła, tylkom po was przyszła, pijaku zatracony, bo pijesz od rana a w chałupie nie ma kto co zrobić. Parobek na pańskiém, pasterka pasie, a ja się tylko sama nautykam koło wszystkiego gospodaastwa a z dzieciskami mam wieczna zagłobę. Pójdźże pijaku pójdź do chałupy! — Słyszysz! pójdź-

że od razu, kiedy ci mówię! bo cię tak wypęcam *), że dopiero uwidzisz!

F r a n e k. Czegóż ty babo będziesz nademną tarantowała? Czy ja to nie za swoje piję, albo nie za moją pracę? com się jéj dorobił jako świadomo ludziom. Cóżeś mi dała jakem cię pojął? coś mi dała? gadaj!! tę tam głupią spłackę?

R e g i n a. Toś mnie mógł nie pojmować, bo by się obeszło; ja ci się tam nie wrażała, tylko tyś mi się wrażał**), a gadałeś mi że twoja rola po *Stryku*, *że* twoje wszystko, a *dzisiaj tyle* masz co parobek na ciebie zarobi, albo co ja uskładam. Kto inny pożytkuje z téj roli, a ty pijaku i to przepijesz coś zarobił za młodu i pójdziemy na dziadów, i nie długo temu czekać.

F r a n e k. Ja tu nie piję dla gorzałki tylko dla sprawy z urzędem, a ty głupia ani na to głowa twoja, bo przenigdy macocha nie może pozyskować, choćby niewiedzieć gdzie jakie prawo, ale ja się z nią

---

*) **Wypęcać**, jezt to pięścią po karku wybić.

) **Nastręczać.

prawować nie będę, tylko zbije za swoja pracę, i pić będę gorzałkę póki życia. Napijże się Regina!... pokosztujże!

Regina. Nie będę kosztowała, ani pić nie będę, tylko żydowi zapowiem aby wam nie dawał, bo ja płaciła za was nie będę. — To sobie Mośku pamiętajcie, żebyście temu pijakowi na próżno nie borgowali, bo na nic!

Mosiek. Jak to jest? co wy do tego macie? alboto wy gospodarz a nie on? co to jest kobieta? kobieta to jest baba, a chłop to jest gospodarz! Jakby chciał cała beczkę wypić, to niech pije, niech mu będzie na zdrowie i szczęście! — Jak chce miodu? pije miodu! Chce gorzałki to pije gorzałki, a jak wy chcecie pić wody? to pijcie wody... jak wam nie bronię! Co mi do was!

Regina. A to nie prawda, bo on wam nie ślubował, jeno mnie ślubował.

Mosiek. Co to ślubował? abo ja chcę aby mi ślubował? — niech on sobie pije a niech będzie zdrów, to jeszcze pozyskacie te role co u macochy; a będzie

miał za co pić, a i wam nie braknie i będziecie gospodyni. Zmówicie sobie od roku dziewkę, ona będzie robić a wy będziecie chodzić kole gospodarstwo. No! jacyście wy?... wolelibyście i wy wypić, jak jemu samemu dać tyla wypić.

Parobek Franka (wchodząc). Pocoście mnie wołali Mośku?...

Mosiek. To gospodarz was wołał a nie ja, Franek kazał wam zawołać abyście dali te dwa reńskie coście ze dworu odebrali, bo ja ich tu życzałem Frankowi.

Regina. Pocoś tu przyszedł Pietrku?

Parobek. Bo mi kazali Arendarz czy tam Gospodarz o te dwa reńskie com zarobił końmi we dworze.

Regina. Żebyś mi się dawać nie ważył.... Słyszysz!! mnie pieniądze oddaj!

Mosiek. Jak to? moje pieniądze, moja praca! dawaj mi pieniądzów Pietrek, ja ci dam kubek wódki!

Regina. Ani się waż! moja praca nie na przepicie. — Jakbyś dał, tobym cię z domu wygnała bez wieczerzy.

Pietrek (oddając pieniądze). To sobie

weźcie, co mi tam, albo to moje? mnie tam wszystko jedno.

Mosiek (wyrywając pieniądze). Co wy jesteście? rabuś! moje pieniądze zabierać, co to jest?

Regina. Moje pieniądze, moja praca, a nie twoje niewiaro żydzie.

Mosiek. Gospodarze, Gospodarze!! — Panie Wójcie, Sołtys! niech będzie łaska tę babę musić, aby mi oddała moich dwóch ryńskich, com życzał Frankowi. Ona tu wlazła jak nie wiem co, i przeszkadza i gada i hałasi, jak nie przymierzając pies co szczeka i na męża i na was, a mnie napastuje, i porwała mi moje dwa reńskie, a włożyła za zanadrze. — Jak ja tam mam szukać? mnie się nie godzi u nich szukać, tam gdzie się nie patrzy. — A ona ma pod pachem, i nie chce oddawać.

Sołtys. To było ibrać pierwéj, a teraz ja na to nie poradzę! Będę ja to babę cudzą tłamsił o wasze dwa reńskie? Niech tam Franek sprawiedliwość zrobi.

Franek (pijany). A czegóż to?... Ja wam powiadam Sołtysie, że ja tę babę

jako i macochę, to ja na nic zbiję, a swojego dokonam. — O moją krzywdę jako mnie wyświarczy każdy, a tego Maćkowi nie daruję, że on za nią trzyma. — Regina! naści wódki!... pij!.. Bo ta rola najprzód Boska a potem moja — a Maciek przeczy! Czego on ma przeczyć? Abo ja to kradał jako on, co z złodziejstwa żyje?... — Ja ze dwora nie pożytkowałem, jeno tyle co zarobię, to mi pięknie zapłacą! — Pietrek! Pietrek! słyszysz! Pietrek! pójdź tu i napij się wódki! Pij!.. no, pijże!.. Nigdy nie będzie ona zbierać macocha! Pietrek! pijże kiedy ci mówię.

Parobek. Ej nie będę tam pił — pójdźcie do domu Gospodarzu boście pijani.

Franek. Ja nie pijany, bo łżesz... ja z Urzędem na tem stoję, aby ona nie pożytkowała... a ten Maciek to zdrajca... i on z nią trzyma.

Regina. Pójdźże pijaku do chałupy.

Mosiek. Nie pójdzie, póki nie zapłaci, ja was obedrę jak nie zapłacicie. — (Żyd zdziera Reginie chustkę z głowy).

Parobek. Co ty będziesz hyclu moją

Gospodynią obdzierał! Oddaj zaraz, albo ci kłaki ze łba obedrę.

Mosiek. Co to jest? rabuś, zbójnik,— gwałt! Panie Wójcie, zabierzcie go do haresztu — niech on tam zagnije!

Parobek. Ja ci nic nie ukradł złodzieju żydzie, żebyś mnie ty haresztował (wali żyda w łeb pięścią). — Masz psia wiaro, i szmatę oddaj.

Sołtys. Nie róbcież próżnych breweryi, bośmy tu nie przyszli aby się bić, ale aby się zabawić.

Parobek. To niech odda szmatę co zdarł ze łba gospodyni.

Mosiek. To niech mi odda moje dwa reńskie.

Regina. Nie oddam, bo są moje a nie twoje. A ty ludzi nie obdzieraj z cudzéj pracy.

Parobek. Oddasz chustkę, czy nie? gadaj żydzie! bo ja cię tu zaraz zwalczę.

Mosiek. Kiedy mię prosicie to oddam, ale jutro będę was skarżył u p. Adjunkta za moją krzywdę, jako mnie chciał parobek zabić na prawdę — a Regina por-

wała moich pieniądzów, a Franek wypił na bórg wódkę i miodu i nie chce płacić.

Franek (w pół żywy). Wódki!.. Ejże mówie... przecież na mnie a nie na macochę ta rola patrzy!.. Daj tam połkwaterek... żydzie... słyszycie!..

Mosiek. Niech cię djabli wezma pijaku, za moja pracę... Ja jutro jak złapę ciele, to przyharestuję, i nie puszczę aż mi zapłaca.

Maciek. No, pójdźmy Sołtysie! — co tam z pijakiem!

Sołtys. Jużci pójdźmy! bo i już na mnie czas.

Regina (do parobka). Jędrek, bierzmy tego pijaka a pchajmy go do chałupy.

Parobek (podnoszac Franka pod pachy). A jużci, nieco tylko bierzmy!.. Gospodarzu, dyć wstajcie a idźcie z nami do domu.

Franek. Co ty mnie naśladujesz?!.. Chocby niewiedzieć jak, to rola ta nie na macochę! jeno na mnie...

Drugi dzień.

Franek (w chałupie:. Spieszta się Jędrku, a brony załaduj, co pojedzisz włóczyć na pańskim bom sie podjął.

Parobek. Czegóż będę wyjeżdżał, kiedy. fornale dotąd nie wyjechali.

Franek. A za wczorajsze oranie dali ci we dworze?

Parobek. Zapłacił mi Pan dwa Reńskie, ale dałem waszéj, boście byli tak strasznie pijany, żeśmy was z gospodynią ledwo do chałupy dowlekli, coście nam się kładli po drodze.

Franek. Ej, o to tam nic, bośmy się z Sołtysem pięknie zabawili, ale pocóżeś mojéj oddawał zarobek? Bodajże! z czemże ja teraz pójdę?

Parobek. A kejżeto chcecie chodzić?

Franek. Miałem tam wstąpić za moim interesem, bo jako ta rola na nas patrzy.

Parobek. A przecież w Karczmie tego nie wyprawujecie, tylko u Urzędu.

Franek. Jużci wiem, że nie wypra-

wuję. — Ale chciałem albo po dobrości z macochą się pojednać, albo się jéj chwycić. — Pożyczże mi Pietrku pieniędzy, to ci oddam, albo ci spuszczę co gruntu na obsiew?

Parobek. Nie pożyczę wam Gospodarzu na picie, boby na mnie wasza swarzyła. — Chciała mnie wczoraj przez wieczerzy wyścigać z chałupy.

Franek. Nie potrafi ona temu, bo ty nie u niéj służysz jeno u mnie.

Parobek. A choćby i tak, to nie mam pieniędzy, tom kożuch kupił od Wojtka.

Franek. Cóż ci było na lato kożuch kupować, kiedybym ci był z nowego zapłacił.

Parobek. Bo tańszy kożuch na lato jak go kto kupi. A wybyście mi nie byli kupili.

Franek. Jako żywo! kupiłbym i kupię, tylko mi życzaj twego kożucha co go zastawię na pieniądze.

Parobek. A na co macie zastawiać? — niema to wasza pieniędzy? to jéj mówcie.

Franek. Choć tam ma, da to?.. nie da przejęta baba!.. Co ja se też za zagłobę zrobił z taka baba. — Ni ja jakiéj uciechy, ni co, a wszystko na siebie zgarnia i na te próżniaki choćby i na dzieci, a mnie nic i muszę się życzać. — Ha trudno! trzeba se jako radzić.

Franek (we dworze).

PAN I FRANEK.

Pan. Cóż powiecie sąsiedzie?

Franek. Oto najprzód powiem Wemu Panu, żeby się dała ta rola sprzeczyć, a potem dopiero w dłóżki włoczyć, bo gdyby była pierw radlona, to niechby tam było jak chciało, ale kiedy nie radlona, toby ja trzeba sprzeczyć.

Pan. Którato rola? ta co ją w czoraj wasz parobek orał?

Franek. A tać Wielmożny Panie.

Pan. Kiedy tak myślicie Franciszku, to was i posłucham.

Franek. O takci Wlny Panie, tak trzeba zrobić, bo inakby nie było, — Ja tam i dzisiaj wysłałem nie wymawiający mojego parobka, a tak mu naprzykazowałem aby jak najlepiéj robił, bo ja sam nie lubię kiepskiéj roboty w polu, a pójdę teraz i zajrzę na niego, aby pięknie sprzeczył.

Pan. Dziękuję wam sąsiedzie, a wiem żeście poczciwy i przychylny człowiek, tylko ta jedna wódka co wam wiele przeszkadza, gdyby nie to, tobyśmy się na wszystko zgodzili.

Franek. Ej, gdzie tam Wlny Panie i ta wódka to nie prawda. Wypije tam człowiek téj pary przy ciężkiéj robocie, ale nie zawdy. — Oto mam turbacyą z tą moją macochą, co siedzi na moim gruncie i ustąpić się nie chce. — Gdyby mi to Wlny Pan jako dopomógł.

Pan. Mój Franciszku! Już żadne takie sprawy do mnie nie należą, jesteście teraz sąsiadami mojemi, ale sądzić was nie mogę. Udajcie się do Władzy powiatowéj, a jeżeli macie słuszność to pewne wam przysądzą.

Franek. Kiedy ja wiem, iż gdyby Wlny Pan tylko słowo rzekł, toby ona ustąpiła.

Pan. Nie mogę się w to mieszać mój sąsiedzie — macie Sołtysa we wsi.

Franek. Ej, co ona tam trwa na Sołtysa, kiedy ona mu jest po dziadku, niby od brata dziadkowego jedna wnuczka a on po drugim bracie drugi wnuk *), a tak też jest wsiowy jak i ona. — Więcéjby na słowo Pana Wlgo haprendowała.

Pan. Żałuję bardzo mój Franciszku iż wam nie dopomogę, ale przedewszystkiem idzie posłuszeństwo prawu, a prawo nie przyznaje mi wpływu na wasze sprawy. Macie od tego Urząd powiatowy.

Franek. To jużcić, dziękuję Wlmu Panu. — Ale miałem jeszcze coś rzec: oto: że tam mój parobek dzisiaj włóczy, a ja pójdę do Urzędu; czyliby nie była łaska Wlgo Pana zapłacić mi teraz za dzień, bo wieczór nie będę we dworze, a trzeba mi pieniędzy na sprawę. — Ja i jutro

*) wnęk wnuk

przyjadę do włóczki, co jak dzisiaj się sprzeczy to się jutro będzie w dłużki odrazu pod siew włóczyć, a na wieczór toby trzeba siać aby rola nie oschła, bo najgorzéj jak oschnie.

Pan. Mniejsza o to, kiedy wam potrzeba, to wam zapłacę te dwa reńskie tylko ich nie przepijcie.

Franek. O dziękuję bardzo pięknie Wlmu Panu. — Wyjadę ja i jutro, bo wolę u Pana zarobić jak na ograniczu. — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Pan. Na wieki wieków Amen.

Franek w karczmie.

Mosiek. Znowu to przychodzicie Franku! może aby wam zborgować, jak wczoraj, na to aby mnie wasza z parobkiem biła co do dziś takim chory, że moja żona od wieczora płacze, co my się dostali między takich zbójców i rabuśników.

Franek. Jako żywo, nic o tem nie słucham, aby was kto bił. — Miałem wam

wczoraj zapłacić, aleśmy się zabawili, i tak mnie po tym miodzie zemgliło, bom tego nie próbant. — Choćbym tyle wódki wypił, tobym ją nie poczuł. — Wieleż wam się patrzy za trunek?

Mosiek. Albo wy to nie wiecie, wiela się patrzy? Nie wiecie to coście pili? a było was kilku, wszystkich wyście traktowali.

Franek. Kéj tam mam wiedzieć, kiedy mnie ten miód straszecznie mglił na wnętrzu.

Mosiek. Kiedy nie wiecie to wam powiem. — Za miód zwey mahl zweye macht viere, — to macie sześć złotych — Brandwein, ein, und nachdem zwej macht draje — to macie znowu cztery, to razem dziesięć złotych.

Franek. Ej Mośku, nie było tyla, kajżeby miało być? kiedy za dwie kwarty miodu to patrzy 4 złote, a za wódkę niechby ten złoty albo dwa, to wielaż będzie?..

Mosiek. Jak to dwie kwarty miodu? A nie pamiętacie coście częstowali Maćka i Józka, a potem wołaliście na waszą i potem jak parobek przyszedł to i jego chcie-

liście częstować. — A mówiliście pij! pij! A nie pamiętacie, jak się ja to za wami do Sołtysa przyczyniał o tę role co ja trzyma macocha, a wyście wołali aby dać miodu i potem wódki i znowu wódki, i zawszeście wołali a tak nagle, żem aż się w piwnicy ledwo nie zabił na schodów. Porachujcież to wszystko to co do grosza znaczy 10 złotych.

Franek. Dam wam ośm złotych a dwa to tam jak zarobię, ale mi zborgujcie wódki.

Mosiek. No dajcie! — niech i tak będzie: tylko pamiętajcie żeście mi dwa złote winni, a teraz jakiejże chcecie? czy z anyżem czy też prostuchy?

Franek. Dajcie mi téj drugiéj bo kwardsza *). — Naczyńcie mi kwartę to sobie reszte wezme do chałupy.

Mosiek. Dobrze, jeno mi flaszkę oddajcie.

Franek. Nie turbujcie się. — Oddam wam, jeśli jéj tu nie wypiję. Ej, mój Boże, żebym ja to mógł jako z tą maco-

*) Kwardsza — twardsza, czyli mocniejsza.

cha poradzić, tobyście i wy na prepinacyi nie stracili. — Choćby ją tu zawołać i po dobroci z nią pomówić.

Mosiek. Najlepiéj tak jak powiadacie, — bo prędzéj po dobroci swoje wydobędziecie. — Spuście się tylko na mnie a ja was wnetki pogodzę.

Franek. To się ta na was zdaje z kretesem mój Mośku, a po nią poślijcie coby tu przyszła.

Mosiek. Nie bójcie się gospodarzu, ja to zrobię — ale nie trzeba jéj powiadać, żeście są tutaj, tylko że z innéj wsi, ktoś ją woła, a jak ona przyjdzie, to ja będę sądził. — A teraz nalewajcie sobie — Feiwel bring nyr a gläserle. — Coście wy za dobry człowiek Franciszku, to drugiego niema na świecie, ale po co wy takiego zbójnika parobka trzymacie, co więcéj świarczy waszéj jak wam? oni zbiorą majątek a wy się ani ucieszycie.

Franek. On tam do roboty ujdzie i każdéj robocie w polu podoli, a o bydlęta dba, tylko takie tam skąpe chłoposko jak i moja baba.

Mosiek. To wam nic po takim, bo onby chciał być gospodarzem i przewodzić nad wami — a jak z gospodynią będzie trzymał, to on będzie miał większy garczek a wy mniéjszy. — Co on się tu wczoraj na was nawałczył, to niech Bóg broni — a jak ja się za wami ujął, to mnie tak uderżył w pisk całem rękem, iż mi się widziało, iż mnie już zabił. — A wasza tak wrzeszczała, że aż ludzie z karczmy powichodzili, a ja na tém mam wielką stratę. — Na wiela?.. najmniéj na 5 reńskich. — Ja się z wami nie chcę prawować, ale co prawda miałem pisać skargę.

Franek. Ej co wam tam Mośku! kiedy was inak nie ukrzywdził, to mu tam wybaczcie.

Franek, Mosiek, Macocha.

Macocha. Pocóżeście mnie wołali harendarzu? któż tam chciał się zemną obaczyć!

Mosiek. To wasz swak co idzie do szewca, on tu zaraz będzie przychodzić, a

teraz siadajcie, i napijcie się kieliszek assencyi.

Macocha. Nie będę piła, — obejdę ja się bez tego picia, tylko poczekam przed karczmą!

Mosiek. Po co macie stać przed karczmą? — siedźcie sobie na ławie. — Kiedy wy nie chcecie pić, to ja będę do was pił. — Feivel bring nyr essencyes und kleine gläeser. — To ja będę pić, za wasze zdrowie i szczęście, abyście byli zdrowi i mieli wielki majątek.

Macocha. Takci tam majątek, z takim pasierbem co jak zbójnik i co mnie poprał że mi na kilka lat zdrowia ujął.

Franek (popijając). Przecieżem wam kości nie połamał, kiedy jeszcze chodzicie i z mojéj roli chleb zjadacie. — Ale już dłużéj nie będziecie pożytkować bo wszystko opiszę do urzędu, jako co jest.

Macocha. Opisz — opisz tam, to Urząd raz między nami sprawiedliwość zrobi, a ja będę przysięgać na mój dożywotek nie jeden raz ale choćby i sto razy,

jako nieboszczyczek zrobił przed notareuszem, iż moje wszystko co jeno patrzy.

Mosiek. Słuchajcieno! nie kłóćcie się — niech ja będe wam powiedział, a wnet się pogodzicie. Rola jest Frankowa, to niech będzie Frankowa: a dożywotek wasz, to niech będzie wasz. — Jak Franek umrze, to wy będziecie żyć, a jak wy umrzecie, to Franek będzie żyć, a jak wy oboje umrzecie, to ani wy ani Franek nie będzie na roli. O co wam się kłócić? O co wam ma chodzić?

Franek. Kiedy ona na uwziątek roli przeczy!

Mosiek. A wy jéj to nie przeczycie dożywotku?

Macocha. Jużci mi przeczycie! Ja mu nie przeczę roli, byle mi nie przeczył dożywotku.

Franek. Ja wam nie przeczę dożywotku, ale rola moja a nie wasza.

Macocha. To se ja weźcie po mojéj śmierci.

Franek. Ktoby się tam doczekał, a wy dziś pożytkujecie.

Mosiek. To wszyćko jedno, bo jak ona pomrze, to już nie będzie pożytkować a wy będziecie.

Franek. Jużci prawda, to się tam i kłócić nie mamy o co. —

Macocha. Jać wam zawsze tak gadała, a was tylko ludzie burzyli po próżnicy.

Franek. To wybaczcież matko, i siedźcież sobie, byle rola była najprzód Boska a potem moja.

Macocha. A zabierę ja ją to z sobą do świętéj ziemi? albo czy ja wam odbieram na zawdy?

Franek. To się téż ze mną napijcie, a nie swarzmy się o lada co?

Macocha. Pij do mnie synu z Bogiem, bo ja nie gardzę ani tobą ani twoją pracą ani twoją wódką, byleś miał miłosierdzie nademną starą wdową co ci byłam jakby matką (płacze).

Franek. (płacząc). Nie lamentujcież, na mnie matko, jeno używajcie zdrowo do woli Pana Jezusa.

Macocha. (pijąc płacze). Com cię

od małego wychowała Franku, a tyś mnie téż za łeb zwłóczył.

Franek (skłaniając się do nóg macosze). Nie pamiętajcie mi tego matko, bom był pijany a ludzie mnie na was zburzyli.

Macocha. Anim ci na przyodziwę nie żałowała, i wyleżałeś się w cieple jako i w chałupie, a tyś na starość takeś mi się wywdzięczył.

Franek. Przebaczcież matko, a wypijcież jeszcze drugi półkwaterek, bo ja broń Boże nie chcę waszéj krzywdy, tylkom się téż o swoje upominał, ale co i nie warto było, raziczek was też tylko udarłem, i to nie byłem trzeźwy.

Macocha. Niechże tam, to sobie już nie pamiętajmy byle was ludzie nie burzyli. Przyjdźże do mnie do chałupy Franku, to ci dam ćwierć żyta na odmianę, i dam ci półwozie po ojcu i dąbka na przycieś.

Franek. Przydałoćby się i to, ale żebyście mi to chcieli życzać choćby 20 złotych na podatek.

Macocha. Z kądżebym ci ich wzięła, ejże z kąd?

Mosiek. To ja dam, jak wy poręczycie.

Macocha. Ma to zaś baba za chłopem ręczyć? biedna wdowa jak ja? Przecieć lepsza wiara gospodarzowi jak mnie— on tu co dzień bywa, a ja ledwo raz w rok.

Mosiek. On bywa, to wyda, a wy nie bywacie to schowacie.

Macocha. Niechże tam, to i poręczę. — Dajcież Frankowi na ten podatek, kiéj się nie ma z kąd wziąść.

Franek. Napijcież się matko na tę święta naszą zgodę jeszcze jeden.

Macocha. Oj nie będę już piła, bobym się upiła. Dopieroby się ludzie ze mnie śmiali a rozgadaliby po wsi. Pijcież z Bogiem. Ja już pójdę do chałupy.

Franek (pijąc śpiewa.

Oj dada, dadada, dada, dada dana,
Mam się za co upić, bo robię u Pana.
Daj Mosiek wódki.

Mosiek. Wiecie wy co Franek, trzeba najprzód zrachować. Mam u was dwa złote a przypiliście dwa, a teraz wołacie wódki i na jutro wam téż trzeba, to będzie wszystkiego siedem, a macocha ręczyła za was na dwadzieścia, to jeszcze możecie przepić 13 złotych, co wynosi na reńskie 3 i kr. 15.

Franek. To mi dajcie te dwadzieścia złotych, bo mi się zdadzą na podatek a ja wam zapłacę jutro jak mój parobek zarobi.

Mosiek. Poco tak ma być? aby i ja wam dawał i wyście mi dawali? najlepiéj niech jeden daje a drugi bierze. — Wy mi dajcie pieniędzy a ja będę brał. Ja wam dam wódki a wy będzieci pić.

Franek. Jużci i tak dobrze. (śpiewa.)

Na tę moje biedę
Do karczmy se idę
I choć się upłaczę
Wnet wszystko zabaczę — hou!

Że téż to tę Macochę tak za łeb zwłóczyłem? a po próżnicy! przez ludzkie namowy! (płacze). A ona gdyby mi matka,

dwaścia złotych za mną poręczyła, a moja baba nie byłaby nigdy poręczyła — (śpiewa).

Oj wy głupie baby
Jakby w wodzie żaby
Wódki niepijacie
Mamońsko zbieracie.

Mosiek, Franek, Organista.

Organista. Już dwa razy dziś u was byłem Franciszku w chałupie, jako mi jest przez Maćka Słomę powiedziano, iż mam was sądzić z macochą, która sobie ojczyznę po ojcu waszym przyswoiła, jako nigdy do tego prawa mieć nie może i nie będzie, a wy wszystką fortunę po rodzicu pozyskacie.

Mosiek. Ja już cały sąd zrobił i już się pogodzili, a macocha rolę Frankowi podarowała i żyto i pniaczka i pięć reńskich — a gadali tak pięknie i wódki do siebie pili.

Organista. To na nic! bo się bez

pisma i wyrozumiałości nie obejdzie. Choćby jak był mądry żyd, albo na to mówiąc arendarz, to on kiep przy mnie. Bo co ja potrafię, to nie potrafi lada kto! Najprzód trzeba wyciągnąć zaświadczenie urodzenia i śmierci nieboszczyka i mentrykę Frankową na steplu kr. 15. i potem mentrykę gdowy i ślubu jako była za pierwszym i drugim chłopem. Dopiero świadectwo jako nieboszczyk umarł a dziecko się narodziło będąc ochrzczone w parafii i z tego trzeba napisać prośby, jako niezawodnie ta rola jest przynależyta Frankowi niby synowi płci męzkiéj i jako nie ma żadnego na to prawa wdowa za drugim chłopem, który miał rolą bez potomstwa nijakiego, czego na dowód świadkowie z gromady obstoją. Teraz gadajcie czyliby to żyd wydystylował? —

F r a n e k. Ja tam już na to głupi jak powiedzieć? bo szkoda téj roli co z niéj macocha pożytkuje. — W wasze ręce panie Organisto!

O r g a n i s t a (spluwając). Pijcie z Bogiem gospodarzu.

Franek. Jak napiszecie do urzędu, to niech będzie tak napisano, jako na mnie spada, i że ja się o to dopominam po dobrości, bo ja broń Boże ani pragnę cudzéj pracy zażywać, ani téż na niczyja krzywdę nie patrzę. Jestem sobie gospodarz podufały, a na imie mi Franciszek a po ojcu Gumuła, a mój brat co jest niby u państwa za lokaja, to mu na imie Jan a po ojcu Gumulski (tak się pisze), bo ze szlachta traktuje i nie jest jako ja wiéjski, ale jest zwyczajnie dworski.

Organista. (pijac). Wasze zdrowie! To będzie wypisane wszystko dokumentnie, że się nie jeden zadziwi.

Organista, Mosiek, Franck, Macocha.

Macocha (wchodząc). Jesteście to tu jeszcze Franku? Dobrze żeście tu dotąd, bom wam przyniosła te pięć reńskich na podatek coście mnie o nie prosili.

Franek. A to je dajcie, bo mi się téż przydadzą.

M o s i e k. Jak wy chcecie zrobić? kiedyście je już u mnie wzięli, bo Tekla tylko poręczyła, a ja wam aże do grosza wypłacił? To mnie się patrzą tę pieniądze!

M a c o c h a. Niechcę tam ręczyć — bo kto ręczy to go djabeł męczy. — Miałam na ostatnią potrzebę schowane pieniądze, to mu daję jako synowi od męża.

F r a n e k. Co tam o te dwadzieścia złotych, to tam nic, ale wy mi musicie rolą oddać — bo p. Organista na tem chce obstać w urzędzie, jako się mnie wszystko przynależy.

O r g a n i s t a (zmieszany). Ja się tam w to nie wrażam, ale mnie ludzie w ten interes wrazili — wy sobie tam zróbcie jako chcecie i kiedy matka ma dożywotek, to się z nią pogódźcie. Cóż wam tam potem? albo to nie macie dość gruntu?

F r a n e k. A więc pocóżeście mnie burzyli, kiedy teraz inak gadacie?

O r g a n i s t a. Łżesz chamie, bo ja cię nie burzył, tylko tyś mi się bez Macieja Słomę prosił, abym ci skargę napisał.

Macocha. A pięknie to tak na kościelnego człowieka, aby syna na matkę burzył? Pójdę zaraz do Jegomości i wszystko opowiem.

Organista. Myślisz głupia, ze ci się boję? Cóż mi Jegomość zrobi?... Albo ja to poddany Jegomości albo jego parobek?... Jegomość nie zaśpiewa jak ja mu nie zagram, ani bezemnie choćby jaki to się pogrzeb nie obejdzie. Żeby mi Pan Bóg dał doczekać jak wy pomrzecie, to niech wam śpiewa kto chce, a ja nie będę.

Macocha. Będziecie śpiewać jak zapłacę, bo wam każą.

Organista. Kto mi każą? nikt mi nie każe, jak nie zechcę!

Macocha. Jegomość wam każę i musicie mi śpiewać.

Organista. Choćby jak Jegomość kazał to nie będę, bo zrobię dziurę w miechach, to na nich i z Krakowa organista nie zagra.

Macocha. Téj mi tam wzgardy Organisto niezrobicie, i wolę was poczę-

stować, jakbyście mi po śmierci mieli na despet robić. Mośku dajcie nam kwaterkę.

Organista. Nie będę pił gorzałki tylko essencyą — chłopostwo niech pije prostuchę, ale na mnie nie wypada bo nawet nie honor.

Macocha. To przynieście i essencyi Mośku, ale mnie téż nie zdzierajcie.

Mosiek. To macie całą flaszkę, co wypijecie to zapłacicie, a co zostanie to wam się porachuje.

Macocha (do siebie). Zostanieci tam, zostanie miły Boże! *ma ci ta co po Organiście zostać?* (do Organisty) pijcież Panie Organisto — ale mi téż zaśpiéwacie po śmierci.

Organista (pijąc). Po przyjaźni to i dłużéj zaśpiewam a nawet taką pieśń za duszyczki czyszcowe co mało który organista potrafi wygrać — ale przez złość to nicbyście ze mną nie wskórali. — Pijcież i wy matko, a i wy Franku.

Franek. Jak to teraz Organisto umiecie basować, jak wam moja macocha smyczka posmarowała.

Organista, Franek, Mosiek, Macocha, Bazyli.

Bazyli wchodzi.

Macocha (na boku) Jeszcze téż tego pokuśnika brakowało! musiał zwąchać prawo i ciągnie na rajcę.

Bazyli. Patrzajcie się — patrzajcie się — moiście wy, jak Franek kompani z macochą, aże pięknie tak uwidzić, co się już nie kłócą, ale piją z sobą jak zwyczajnie syn z matką. — Witajcie panie Organisto, rozsądziliście to już sprawę?

Organista. Pogodziłem ich tam już aby nie było obrazy Bożéj, i teraz się téż zabawiamy, prosimy do kompanii.

Bazyli. Ciekawość jakeście ich pogodzili? bo jak nie jest dokumentnie wyłuszczono jaka parcella wedle Urbareusza to na nic!... Ja mam spisaną każdą parcellę jaka była na konwissyi, bo choć nie jestem Sołtysem, a to przez zdradziectwo co zrobili, a drugie przez nagłość, to wszystko lepiéj wiem jak Sołtys. Wypowiedźcież mi jakoście ich pogodzili?... Bo ta parcella

co jest przeczką od Wojtkowego a ma Numer 183, to nie była i nie jest po nieboszczyku Kacprze, ale ona patrzy do Jacentowéj roli, i lada kiéj będzie o nią prawo — a znowu ta druga co na niéj grochto o tém nic nie mówię, ale o stajanku na górach, to jak świat światem nie należy tylko do Wicka Kozyrka, co się ożenił z Jankową siostrą. — Jak po sprawiedliwości to z téj całéj roli, to nie będzie jak mórg, a niechby te 200 prętów więcéj, to tyla wszystkiego co jéj niby gdowie patrzy w dożywotku, a resztę to ludzie porozbierają jako ich jest oczywiśnie.

Macocha. Czego wy się będziecie za kogo upominać, kiedy się nikt za się nieupomina. Wy do każdego interesu lubicie się wściubiać.

Bazyli. Wy matko na mnie gęby nierozdziawiajcie, bobym ja wam tu wkrótce pokazał taką sztukę, coby z całego majątku nie zostało wam jeno droga przez wieś. Nawet jako prawda, to oni mi za to potraw cały odstąpili co go śiec będę na téj łące która nie wam patrzy ale im.

Macocha. A dałabym ja wam to siec? Wolałabym całéj roli i dożywotku Frankowi ustąpić i być u nich komorą, jak wam kręciarzu dać z mojéj pracy pożytkować.

Bazyli. No dobrze, — to bardzo dobrze — niech i tak będzie, a zobaczycie czy przezemnie wy czy Franek na tém gruncie się utrzymacie. Mnie będzie wiara a nie wam, bo ja ani Wicka ani Jacentego nie dam krzywdzić. Ja całą gromadę przyzwę na świadki i zaraz w urzędzie haresztuję łąki a i grochu zbierać nie będziecie

Tydzień później.

Woźny sądowy w chałupie u Franka.

Woźny. Macie się gospodarzu stawić u Sadu od tego wtorku za tydzień, w sprawie gruntu małoletnich.

Franek. O cóż-to? przecie ja rolę zapłacił.

Woźny. To się w sadzie wytłuma-

czycie, mnie nic do tego, tylko wam wręczam pozew i kwita.

Franek. Nie bieda to z tém?... Nikt, jak nie Bazyli z tém broi, o cóż téż to za przejęte chłoposko — co ja mu krzyw? Nie pójdę tam do sądu ani nikaj nie pójdę — rola jest moja, bom ją zapłacił i odebrać jéj sobie nie dam.

Woźny. To dekret zaoczny wypadnie i przegracie.

Franek. Niechże tam, to i tak roli nie oddam.

Woźny. Sąd was się tam prosić nie będzie tylko odbierze. Zostańcie z Bogiem a papier sobie schowajcie albo dajcie komu przeczytać.

Franek we dworze.

Franek. Dopraszam się téż Wielmożnego Pana aby mi przeczytał co tu jest na tém papierze?

Pan (czytając). Oto macie pozew, abyście się na 12 t. m. stawili do Sądu,

dla wytłómaczenia nieprawnego nabycia gruntu małoletnich.

Franek. Ej, gdyby téż to była łaska Wlgo Pana aby temu zaradził. Jużbym darmo cały tydzień wyjechał orać na ugorze. — Bo to nikt tego nie burzy jak Bazyli co całą gromadę kłóci, a sam z tego korzystuje.

Pan. Mój człowieku, mnie się do tych spraw mieszać nie wolno: jeżeli macie słuszność, to *Bazyli* nic na to nie pomoże i Sąd wam przysądzi, ale ja wam w tem nic dopomódz nie mogę.

Franek. Cóż ja téż teraz pocznę, kiedy się Wlny pan od tego uchyla?

Pan. Jdźcie do Sołtysa.

Franek. A no! to dziękuję Wielmożnemu Panu za poradę.

Franek u Sołtysa.

Franek. Patrzajcież się Sołtysie, zaledwie com się z macochą pogodził, a znowu na moją pracę jakieś złe się uwzięło.

Był od sądu woźny i przyniósł mi papier na wtorek za tydzień, o mój grunt com go kupił, jako że to małoletnich.

Sołtys. A kiedy przecież opiekunowie na to przyzwolili.

Franek. Jużci że przystali, to mi też poradzicie. — Pan mnie tu do was odsyła jako do Urzędu.

Sołtys. Co on was ma do mnie odsyłać, kiedy się przecież lepiéj zna na piśmie, toby wam on jeden na to poradził.

Franek. Ani chce słyszeć o sprawach w gromadzie.

Sołtys. A bo jużci tak teraz nastało. — Idźcie do pana Profesora.

Franek u Nauczyciela.

Franek. Proszę też bardzo pięknie Wlgo Nauczyciela, aby mi też na to pisanie co poradził.

Nauczyciel (przeczytawszy). Mój człowieku, macie pozew do stawiennictwa przed sądami za nieprawne nabycie gruntu małoletnich. — Ja za was stawać nie mogę.

Franek. Ha! to dziękuję Wlmu Nauczycielowi za poradę.

Franek u Organisty.

Franek. Przychodzę tu do was panie Organisto, prosić was bardzo pięknie, abyście mi co doradzili, bo ani p. Nauczyciel na to głowy niema.

Organista (czyta długo). To jest tak mój Franciszku. Że choćbym i poradził toby nic złego nie było, bo tu sąd wyraźnie pisze, jako ten grunt nie na was patrzy, ale macie się z niego usuwać, a chałupę przestawić i to we wtorek — rozumiécie?

Franek. A jużci rozumiem, ale inak czytali Pan i Nauczyciel.

Organista. Tak jest dokumentnie jak ja wam czytam, i tyla całéj rady.

Franek u Mośka.

Mosiek. Jakąż będziecie pić Franciszku? macie jeszcze siedem złotych do prze-

picia co wam u mnie zostało. — Nie bójcie się, ja was nie oszukam.

Franek. O to, bo tam i nic, ale na tę turbacyą to się i reszta przepije, ale co ja też mam za zagłobę o ten mój grunt, com go kupił, a teraz mi Urząd przeczy, jako jest małoletnich. Dziś mi woźny przyniósł papier na wtorek.

Mosiek. Patrzajcie? To gorzéj będzie jak z macochą! a wiecie kto wam tego narobił? Nie kto tylko Bazyli, bo się na was odgrażał.

Franek. To mi radźcie jako Mośku!

Mosiek. Macie tu flaszkę z wódką i pijcie sobie, jest w niéj kwarta, bo choć mała ale bierna, a ja pójdę na waszym interesie.

Mosiek u Bazylego.

Mosiek. Słuchajcie Bazyli, jest tu dobry interes co możemy obydwa pozyskować, jeżeli chcecie zemną być na wspólnika.

Bazyli. Dla czego nie, i owszem, ja nie jestem nigdy od tego, i jak macie

dobry interes, to możemy na współ uczynić! —

Mosiek. Oto, Franek, ten pijak, łajdak, dostał papier od Sądu na Wtorek i w wielgéj jest turbacyi. — On jest głupi i ani sobie rady jakiéj nie da, a jakbyście wy mogli ten interes skręcić, coby on nie stawał, tobyśmy oba mieli pieniądzów, bo Frankowa uskładała dobry worek.

Bazyli. Na co ja mam z wami być wspólnikiem, kiedy ja sam wszystko pozyskam, bo ja całe prawo robię, i na mnie wszystko obstoi. — Ja potrafię sam go zniszczyć bez was.

Mosiek. Nie potraficie, bo znowu Wojtek chce go bronić, a skarżyć was o tę rolę, coście wy zcyganili. To będzie gorzéj.

Bazyli. Kiedy tak to was tam może i przypuszczę do jednéj części, byleście Wojtkowi nie pozwolili pisać skargi.

Mosiek. No, to pójdźcie do mnie, bo Franek tam pije w karczmie.

Karczma.

Franek, Bazyli, Mosiek.

Bazyli. Witajcież Franciszku! Dowiedziałem się od Mośka że macie jakąś turbacya.

Franek. Z waszéj to przyczyny krętaczu, z waszéj a nie z czyjéj bo ludzi burzycie.

Bazyli. Jako żywo, to nie jest nigdy prawda — sam urząd uczynił sąd a mnie o tém ani wiedzieć.

Franek. Aleście wy to zrobili zdrajco co świat cyganicie.

Bazyli. No patrzajcież się, moiście wy? co ten sąsiad chce odemnie.

Mosiek. Kto winien, niech będzie winien, ale wy Bazyli bez wasz rozum temu poradzicie.

Bazyli. No, może by się poradziło, ale na to trzeba dużo pieniędzy, a ja ich rexpensować nie będę. Trzeba na to ze sto śrebra.

Franek. To i rola moja tyle nie

warta, z kądbym wam tych pieniędzy wziął, z kąd?

Bazyli. To i prawda że nie warta boście ją drogo kupili, więc na mnie rolą przepiszcie a ja wam za chałupę dam sześć dukatów, i złożę samemi papierkami tu u Mośka.

Franek. A za rolą bym ja to nic nie wziął?

Bazyli. Za cóż macie wziąść, kiedy przecież macie od sądu wypisane, jako nie wasz grunt tylko małoletnich? ale żeby nie było waszéj krzywdy, to wam dam za rolą drugie sześć dukatów i dwa garnce wódki.

Franek. Nie będzie tak, nie, bo mało. — Dużabym stracił.

Bazyli. To dobrze, to bardzo dobrze — przystaję na to, tylko pamiętajcie we wtorek do sądu się dostawić.

Franek (pijąc). Aniby ja teraz roli, aniby ja chałupy! Gdzieżby ja się podział z dzieciskami?

Bazyli. Kiedy z panem trzymacie, to idźcie do dworu w służbę za fornala, a jeszcze się dorobicie dużego majątku.

Franek. Na toć przyjdzie, ale i wy z mojéj krzywdy się niedorobicie, bedy was przeklinał.

Bazyli. Co wy mnie macie przeklinać, kiedy ja wam nic nie biorę przez gwałt, jeno co mi z ochoty dajecie? Dacie mi piędziesiat srebra to sprawę wygracie.

Franek. Ale z kąd wam ich wezmę? ejże z kąd;

Bazyli. To rolę i chałupę u Mośka za 100 ryńskich przed Notareuszem zastawcie. On mi da piędziesiąt srebra a u niego 50 przepijecie i tak będzie po sprawie, bo ani ja się od małoletnich nie dostawię ani wy się nie dostawicie.

Franek. A jużci tak będzie lepiéj, bo przecież tyle za rolę wezmę ilem za nią dał, a o chałupę niechżeby tam było jak chciało.

W rok późniéj.

Magda i Frankowa.

Frankowa. Oj takci jest tak, moiście wy, poszedł pijaczysko na flis aże do

Warszawy, a mnie z dzieciskami zostawił i tyle mam ile we dworze zarobimy. Ja toczę stawiarkę a dzieciska proso plewią.

Magda. A jakże z tą chałupą?

Frankowa. I chałupę z kretesem wyprawował ten zdrajca Bazyli z Mośkiem, bo mój sprzedał przed Notareuszem jak nie wypłaci na czas.

Magda. I wy teraz komorą siedzicie?

Frankowa. A kómorać, kómorą u Macochy, co nas z miłosierdzia przyjęła, i dzieci nam ogarnęła i da tam i łyżkę warzy.

Magda. A wasz dawniéj to tak na nią tarantował, a ona i tak na was dobra.

Frankowa. Ktoby się tam na to spodział, że taka będzie?

W dwa lata późniéj.

Janek (na nawsiu). Gdzież wy to idziecie sąsiady w takich niedzielnych szatach czy na wesele Pietrka?

Kaśka. Ej, kéjta na wesele jeno na pogrzeb Reginy co umarła.

Janek. Jako świat, nie wiedziałem, że to jéj dzwonili.

Kaśka. A komuż jak nie jéj — w niedzielę był ksiądz u niéj a w poniedziałek umarła.

Janek. Ciekawość co się teraz z rolą i chałupą zrobi?

Kaśka. Wszystko przykazała na dzieci Frankowe, a im to tylko zapisała dożywotek.

Janek. Patrzajcie! patrzajcie! to znowu wyjdzie Franek na gospodarza — gdyby nie chciał przepić.

Kaśka. A wyjdzieć, wyjdzie i jeszcze na jakiego. — Mówili ludzie że przysięgał na wódkę u proboszcza i że się wyrzekł.

Janek. To tam może i będzie jeszcze co z niego.

W pięć lat późniéj.

Franek u Sołtysa.

Franek. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Zdrowiście Sołtysie?

Sołtys. Zdrów dziękować Bogu. — Czy macie jaki interes?

Franek. Miałbym tam i interes, bo chcę dokupić roli po tym cyganie Bazylim. a sprzedałem teraz dwa woły za dwadzieścia dukatów i cztéry, i uskładałem sobie téż 200 srebra, to lepiéj świętéj ziemi kupić jak pieniądze dla złodzieja chować.

Sołtys. A bo i prawda!

Franek. Więc téż pójdźcie na świadka.

Sołtys. A kajże, czy do karczmy?

Franek. Przecież wiecie Sołtysie, że mnie od dawna w karczmie ani ujrzyć. Wyrzekłem się na zawdy i przed Księdzem i u Pana we dworze. Pójdźcie do chałupy, to się ila tyla wina napijecie, chociaż tam i tego trunku rzadko zażywam.

Co na wsi o Franku mówią?

Magda. Mój Boże, ktoby się to był spodział, że Franek na takiego bogacza wyjdzie, i po tym cyganie Bazylim cały grunt zakupi?

Maciéj. Nie dziwota, bo się chłop

ustatkował i wyrzekł się wódki, a Pan go tam zapomógł i tak się zrobiło.

Józek. Przez to się stało, że chociaż pił, to tam był zawsze we dworze wysłużny, i dźwigali go tam do czasu aż się dorobił.

Magda. Ale i ten Bazyli na tyla majątku, a skapiało to na nic.

Józek. Dobrze tak i krętowi, bo téż to się nie jednego nakrzywdził a ludzi nakłucił. Ale ciekawość co z tym Mośkiem?

Magda. Ej, Mosiek na jakiéjś tam małéj karczmie siedzi, ale zbiedniało żydowsko, i on narzeka na Bazylego, bo i jego chociaż żyda to ocyganił.

Józek. Dobrać to rzecz téj pary dużo nie zażywać, bo się prędzéj człek dorobi. —

Magda. Prawdę gadacie, bo najlepsze przekonanie na Franku co już był takie łajdaczysko a dziś jak się wyrzekł, to nie jednegoby zapłacił.

Maciéj. Z miarą to tam można, byle nie nadto.

Magda. A jużci!



Druk w Litog. CZASU.

Wsiowy złodziej.

4

WSIOWI ZŁODZIEJE

I

SZKODNIKI.

Zmowa na polnéj drodze.

Wojtek i Sylwester.

Wojtek. Jednał mię tam za parobka Wawrzek, ale po cóż mi służyć, kiedy mi tak lepiéj wypada, a nie na pracuje się tyla człowiek, jeno to, co się nie wyśpi. Oj, trzebać się téż to mój Szwaku naślipiać i nawartować przez cała noc, a czasem i przez dwie, zanim sobie człowiek upatrzy sposób jaki. Bo to nie tak idzie, wleźć do chałupy i zcapić chaby albo tam mieszek i hala! To się czasem zapędzi raz i drugi, a na nic, a znowu się trafi, że od razu pozyskujesz.

Sylwester. O ślipianie toby tam człek zdołał, tylko się straszecznie boję, aby mnie kto nie zcapił, albo się trafunkiem nie dowiedział.

Wojtek. Dowiedzieć, toby się tam nie dowiedział, bo jak już masz w garści, to podasz choćby na trzecia wieś, ale najgorsze psy, co ciapia i ciapia koło chałupy.

Sylwester. A znowu te wartowniki, co chodzą i pilnują.

Wojtek. O wartowników to nic, bo oni tam pobuczą z wieczora i potem idą spać do chałupy — ale gorzéj nieprzezpieczne żandary, co się włóczą po drogach, a jak, uchowaj Boże złapią, to im się nie uprosisz, tylko dostaną z kalety taką kłoteczkę na palec, jak kajdanki nieprzymierzając, i jużci cię zamkną, co ani dychniesz. Co tam i za wymysł taki!...

Sylwester. A na cóżby drogą chodzić, jeno lepiéj na przełaj przez pola. —

Wojtek. To gorzéj widzicie, bo jak żandary widzą, że kto idzie przez pola, to się przyczają byle kaj za krzakiem, co ani się człek spodzieje, a potém obces wypadnie na ciebie, i zaraz tak cię wyiska około ciebie, i za pazuchą, że choćbyś kéj schował, to znajdzie. — I pięciu lat niema, jak to nastało z żandarami: bo dawniéj, to ani słychać o nich było, tylko byli lansdragany, ale spokojni ludzie, i nic ci tam nie mówili, choć cię który spotkał.

Sylwester. A zcapili was téż kiej?

Wojtek. Ej, nigdy tam dziękować Bogu nie byłem w nijakiém nieszczęściu; tylko téż raz o malućko się nie popśniło, a przez zdradziectwo sąsiada, co mnie chciał sprzedać. — Zginęły Jóżkowi dwie gęsi, a co prawda, to ja mu te gęsi zwędził nad samém ranem, bo jeszcze słonko nie wschodziło, ale je wyniósłem w krzaki i powiesiłem na brzózce. — Baba daléj szukać gęsi po wsi i pytać się, czyli ich kto nie widział. Nie znaleźli ich nikaj, a Józek mówią do swojéj: Nikt tam tych gęsi nie skręcił, jak Wojtek. „On i on“ (powiada). Baba do sołtysa, sołtys przyszedł na rewizyą szuka po komorze i po beczkach, po strychu i w chlewie, a nic nie znalazł. Już Sołtys wracał, a drugi sąsiad mówi mu: po próżnicy sołtysie szukacie gęsi w chałupie, bo jakem rano z paszy wracał z końmi, to już Wojtek szedł z lasa, więc je tam musiał zadziać, albo drugiemu podać. — Już zmartwiałem, bo sobie mówię, jak zaś sołtys pójdą szukać do lasa, a były gęsi na brzeżku, to je może znajdą. —

Ale sołtys kiwnał ręką i mówi: „kajby tam z gęsiami do lasa chodził!“

Sylwester. A jakeście jałówkę ukradli, to jakże to było?

Wojtek. O tę ta jałówkę, to i nie warto, bo to był roczniaczek, com tylko za Wisłą za nią dostał siedem śrebra, a kupił ją żyd na rzeź i zabił, więc tam o niéj ani śladu, ale ja za to tylko głupi, żem krowy nie wyprowadził, ale się jakoś wagowałem, bo miesiączek świecił. — I tam za górą widzicie napotkałem Macka, a on mi się pyta: „Tylato tylko kalembe wiedziecie? to i pracy za to nie wartało.“ A ja rzeknę: Idźcież kiedyście tacy mądrzy, dyć tam jeszcze chlew otwarty a ludzie śpią, to wywiedźcież krowę! A on na to: „co ja mam wsród wsi chodzić, kiedy mi się na okrajku lepiéj trafia, i widzicie Szwaku, że wyprowadził szkapsko tak delikatnie co nawet ani się kto spodział.

Sylwester. Dobraćto rzecz, jak się uda! boby człek długo musiał pracować, nimby zarobił, co tu przez jednę noc, ale jak téż zcapią, to wszystko przepadnie, a

jeszcze człowiek i zdrowiem i żywotem musi przypłacić, jak na to mowiąc i Błażek, co z kapiał w kryminale. —

Wojtek. Jużci ma Bóg wszędzie człowieka pod mocą i lada gdzie może nieszczęście trafić, ale ja się tak spodziewam, że my babie te korale skręcimy, co ani się zmiarkuje. — Ale na to trzeba, abyście wy Szwaku, tak zrobili na pierwszą wyćwikę, że wy będzieci stać pod ścianą, a ja po was wlezę na strzechę, i jak udrę snopków, to podważę deszczkę z powały, spuszczę się do komory — potém, to już tam!!

Sylwester. Ej, kiedy ja się strasznie waguję, bo jakby kto ujrzał!

Wojtek. A dyć obces nie pójdziemy, tylko wszystko się wymiarkuje, zanim się do téj 'roboty człek zabierze. — Jakeście to do lasu majster, a do chałupy nie majster. Nie boicie się choć i leśnego, jak z lasu nosicie?

Sylwester. Ej co tam o las! w lesie tom próbant, bo traktuję tém od maluśkiego! Oj wyniósł ja już tego lasu, ma-

ło powiem za kilka złotych, — a w tamtym tygodniu, to skręciłem takich sześć krokiew, com je ledwo uniósł. — I Kanty to téż jest lasowy złodziej, jakiego poszukać, a na wsiowego złodzieja to kiep, i przenigdy odważyć się nie może. —

W o j t e k. Bo tam taka natura jest w jednym człowieku, co taki będzie miętki na sumieniu.

S y l w e s t e r. Toćtéżto! — Ale ja to nie o miękkość, tylko żem się jeszcze na chałupy nie odważył.

W o j t e k. Ze mną to się nie macie co bać, bo ja na wszystkie prześpiegi próbant, ale się tylko zmówmy o czas, aby się zejść w téj hain przerwie na Jędrkowym polu — najlepiéj przed północkiem, zanim kur zapieje.

S y l w e s t e r. To tam i przyjdę, ale jak skręcimy, to kajże schować?

W o j t e k. Wrazimy tam jednéj żydówce, co ja znam od dawna — a pewna kobieta i nie jest nijaki oszukaniec. Trza nam się teraz rozejść, bo ja muszę jeszcze gwoździa zakrzywić do skrzynki, a wy

Szwaku weźcie z sobą dłutko jakby trzeba podważyć.

Sylwester. Mniejsza o dłutko, bo mam takie w chałupie, tylko jakby nas kto ujrzał?

Wojtek. Ej, baj baja! ktoby tam na ciebie patrzał? Babsko będzie spało i ani się obudzi.

Grzesik *(pasterz)* u Sołtysa.

Grzesik. Słuchajcieno Sołtysie, co wam coś rzeknę, ale mnie téż nie zdajcie, boby mnie na śmierć zabili bez mściwość!!

Sołtys. No i cóż? Gadajże, a nie bój się. Czegoż ty tak dygoczesz?

Grzesik. Ej, mój Sołtysie, bo się strasznie boję, abyście mnie zaś nie zdali.

Sołtys. Głupiś, co cię mam zdawać, albo i dla czego?

Grzesik. Oto wam powiem o złodziejach, co się zbierają okraść wdowę Koziczkę téj nocy. —

Sołtys. Którzy? i kéj? Gadajże!

Grzesik. Widzicie: ja pasł krowy na

ugorze, a takie było zimno, bom tylko miał płachtę, więc usiadłem sobie w jamie, kéj glinę kopią, i siedzę, a tu przyszedł Wojtek z Sylwestrem, i gadają do siebie tak i tak, tak i owak.

Sołtys. I cóż gadali? Musisz prawdę pówiedzieć przed urzędem, bo to wielki grzech, jak kto zaraz nie powie, co jak wie o kradzieży albo o złodziejstwie, i nie zda porwisiów, co drugich krzywdzą.

Grzesik. To ja wam téż gadam, bo i Ksiądz to co niedziela tarantuje, jak jeden drugiemu, broń Boże, krzywdę robi, albo porwie choćby źdźbło, a nie tyla krowę albo jeszcze korale. — Otoż Wojtek z Sylwestrem chcą do zdry obrać Koziczkę téj nocy zanim kur zapieje. — Wojtek chcą wleść przez strzechę do komory, a Sylwester wartować. A to ciele, co było Frankowi zgineło, i te gęsi Józkowe, to Wojtek wziął, a tego konia, co zginął Onufremu, to Maciek wywlókł z chlewa, a te gęsi to Wojtek na brzózce w lesie powiesił na samym kraiczku, a jałówkę het za Wisłą

sprzedał Żydowi, ale nie wiem za wiela, tylko utyskował, że nie za wiela, i wolałby krowę wziąść jak ciele.

Sołtys. A Sylwester czy także kradł?

Grzesik. Ej, co tam, Sylwester to tam dobry, bo się tam wymawiał, że on tylko lasowy a nie wsiowy. — To tam o las niechby tam było! — przecieżto tam mniejszy grzech z lasu albo z pola, jak z komory albo z chlewa. — Choć tam i mój ojczym to czasem z lasu porwie, a jak nikt nie widzi, to obrobią na materyą i wywiozą het do miasta.

Sołtys. Zostańże tu u mnie, chłopiec, i ani się rusz, a z nikim o tém nie gadaj — a ja pójdę po Żandarów, co dopiero przeszli drogą do góry. —

Żandarmi u Sołtysa.

Sołtys. Otóż, proszę Panów Żandarmów, ten tu chłopiec ich wytyka, jako przed północkiem mają okraść Koziczkę. —

Podoficer. Dobrze chłopiec zrobiłeś, żeś zeznał przed gromadzkim urzędem,

bo jakbyś zatail złodziejstwo, tobyś był karany jako wspólnik kradieży. —

Grzesik. (Kłaniając się do nóg żandarmów z płaczem) jużci ja wiem, ale będę téżto nieszczęśliwy, jak się dowiedzą, bo oni mnie gotowi zabić, iżem ich zdał. —

Podoficer. Nie bój się, chłopcze, bo władza czuwa nad bezpieczeństwem każdego, a złodzieje tak będą schowani, że ich nie prędko kto we wsi zobaczy. —

Tego dnia przed północą.

(Złodzieje u wdowy Koziczki.)

Wojtek. Stójże tu Szwaku, a ja wlezę na strzechę.

Sylwester. Jużeście tam, Wojtku?

Wojtek. Jużci — już, ale cicho, nic się nie odzywaj, a podaj mi dłutko, bo powała kołkami przybita. —

Sywester (po chwili). Czy mnie wołacie?

Wojtek. A jużci, bo ci będę podawał. — Bierzże karale i chustkę — a tu

jakaś przyjaciołka, — i szmaty,... a są téż i pieniądze w téj łoptuszy. — Trzymasz tam?

Sylwester. Trymamci — trzymam — jeno zabierajcie resztę, a spieszcie się, bo mi jakiś strach. —

Wojtek. Ej głupstwo! całąby chałupę zabrał, a byłoby bez nijakiéj kozery.

Żandarmi, sołtys, radni i stróże z pałkami.

Podoficer. Halt! wer da?!..

Sylwester. O gwałtu, Panie Jezus! cóż téż to?

Podoficer. (Łapiąc za kark Sylwestra). Mam ptaszka! Daléj ludzie, otoczyć cały dom i nikogo nie wypuszczać. Zaświecić latarnią!

Wojtek. (W komorze. A cóż tam wrzeszczysz, Szwaku?

Podoficer, Jest tam widzę drugi ptak w komorze, obudzić gospodynią, aby nam otworzyła. —

Koziczka. (Dygocząc.) O Najświę-

tsza Panno! cóż się to zaś dzieje? czegoż Panowie szukają? ja tu sama baba, nikogo tu nie ma!

Podoficer. Sołtysie! każcie jéj otworzyć do komory, a niech wartowniki zewnątrz pilnują. —

Koziczka. W komorze tylko mam skrzynkę i trochę téż tam ziarna i przędzy, com urobiła. —

Podoficer. (W chodząc do komory z latarnią.) Aha jesteśto tu? Czegożeś się tak skrył w kącik? pójdźno tu do nas, abyśmy ci się *przypatrzyli.* —

Wojtek. (Skłaniając się do nóg podoficera.) Ja wielmożny Panie tylko tak się chciałem przenocować i takem tam niewinnie wlazł jakby nie przymierzając z trafunku!

Podoficer. To dobrze, będziesz się tłumaczył przed sądem, żeś tak niewinnie kradł: a teraz pokażno rączki, co ci dam pierścionek, skoro już masz korąle — nie wstydź się, nie, tylko daj tu łapy.

Wojtek. Ej mój wielmożny Panie, kiedy ja się téż bardzo pięknie proszę, bo

mnie wyświarczy i gromada, jako nie ma poczciwszego nademnie choćby i w całej wsi. —

Drugi żandarm. No słyszyś, daj tu palce... tak — dobrze... Teraz toś już nasz, a weźmiemy się znowu do twego braciszka. — Pójdźno tu pomocniku, pokaż nam i ty twoje paluszki!... no prędzéj, bo nie mamy czasu!

Sylwester. (Dygocząc.) Ejże téžto nieszczęście na człowieka, a mówiłem, mu że jak nas zaś zcapią?

Podoficer. Dalej teraz naprzód, marsz!!

Wojtek. Ej, mój wielmożny Panie!!

Podoficer. Dobrze, dobrze, tylko idź na przód a późniéj to będziesz gadał.

Sołtys. Samiście sobie winnni... nie pracowaćto było we wsi na kawek chleba, tylko żyć z krzywdy ludzkiéj?!

Wojtek. Oj, już ja nigdy nie będę, mój sołtysie, byleście też za mną prosili, coby mnie wielmożny żandar ten raziczek puścił. —

Żandarm. Dobrze, dobrze, tylko się

nie ociągaj, bobym cię musiał popędzić. — Tak, idźcie sobie obaj równo, jak dwaj bracia i przespijcie się u sołtysa w areszcie, aż się znowu z sobą jutro zobaczymy. —

Żandarmi i Sołtys oraz wartowniki w domu Maćka.

Sołtys. Maciek!! otwierajcie, bo mam potrzebę.

Maćkowa. Ktoż tam?

Sołtys. Ej to ja, přzychodzę do Maćka aby jutro wyszedł do gościńca.

Maćkowa. Nie ma gospodarza w domu, nie ma, poszedł na zarobek, tam aż za Kraków.

Sołtys. Otwórzcież jeno, a prędzéj, bośmy tu w kompanii jest nas tu kilku, co się mamy rozmówić.

Maćkowa. Nie otworzę tam, bo nie ma gospodarza.

Podoficer. Jak nie otworzycie żandarmeryi, to każę drzwi gwałem wybić, a ciebie powiązać.

Maćkowa. A jużci, kiedy Panom, to otworzę, ale o cóż? —

Podoficer. (Wchodząc z sołtysem). Wartowniki niech siedzą w komorze i ani się ruszą, a my tu pogadamy z panią Maciejową. — Gdzie jest twój mąż?

Maćkowa. Oj, nie wiem Panowie, gdzie jest, ani słycham, poszedł tam kajś, ale nie wiem kaj!

Podoficer. Mówiłaś, że poszedł za Kraków. —

Maćkowa. A jużci tak będzie, kiedym tak mówiła. —

Podoficer. Dobrze więc to my go poczekamy, a ty ani się rusz z za pieca, i ani słowa piśnij, bobym cię bagnetem kolnął. — Światło pogasić i nie rozmawiać. —

W godzinę potem.

Maciek. Baśka otworzże!

Maćkowa. Mój idzie, to mu otworzę.

Podoficer. Cicho małpo, nie waż się ani gadać, ani ruszyć.

Maciek. (Bijąc we drzwi.) Baśka, czy śpisz? to ja, otwieraj!

Podoficer. (Wychodząc, otwiera i wpuszcza Maćka do chałupy.)

Maciek. A któż tutaj, czy ty Wojtku? Ozwijże się! Któż jest?... Baśka! kajżeś jest?.. Któż haw łazi?

Żandarm. Pójdźno ze mną braciszku, to się oba poznamy. — Chłopy weźcie go, jest i on do kompanii.

Maciek. (Broniąc się i chcąc uciekać.) A cóżto zaś?

Podoficer. Nie uciekaj kochanku, aż się rozmówimy o tym koniku, coś pożyczył u Onufrego. —

Maciek. O jakim?.. to nie prawda, ja o niczém nie wiem. Co zaś ci Panowie chcą ze mną zrobić, kiedy ja ani słycham. —

Podoficer. (Do drugiego żandarma.) Przybilż tu latarnią, a daj mu rękawiczki, aby mu było cieplej, bo mu zimno, gdyż biedak po całych nocach pracuje. —

Maciek. Cóż Panowie mnie macie siepać, kiedy ja nic nie krzyw.

Podoficer. A zkąd to zboże, coś przyniósł?

Maciek. Życzałem sobie od sąsiada — moja żona zaświarczy.

Maćkowa. A juźci przyniósł od sąsiada!

Podoficer. Jak się nazywa ten sąsiad, co w nocy zboża pożycza?

Maciek. Kiedym sobie zabaczył. — Jakoś mu tak dziwnie, co go i nie spamiętać.

Podoficer. Może twoja żona spamięta?

Maćkowa. Juźci ja go znam, ale nie baczę, jak się nazywa.

Podoficer. To sobie późniéj przypomnicie, a teraz, kiedy już Maciek ma rękawiczki, to z nami pójdzie, a Maćkowa zostanie pod dozorem urzędu gromadzkiego.

Maciek. Ja się tam niczego nie boję, bo się nikt o niczem na mnie nie dokona. Może tam kto inny kradał, ale ja nie kradał.

Sołtys. Próżno się wymawiacie, bo

ja sam widziałem kobyli łeb na waszym płocie.

Maciek. Tom go na kołek wraził od wróbli, a nie na to, co wy myślicie. —

Sołtys. Próżno się nie wypieraj, bo ja przecież wiem, jaka u was moda. *) A z Wojtkiem to nie trzymałeś?

Maciek. Albo ja to znam jakiego Wojtka, albo co? po próżnicy we mnie nie wpierajcie, sołtysie, bobyście mieli okrutny grzech, a jabym was całe życie przeklinał!

Co nazajutrz we wsi o tem mówiono.

Antek, Jakób, Stach, Jadwiga, Katarzyna Magda przed chałupą kowala Derdaka.

Antek. Broili, broili, aże przecie na nich przyszło. Tak ich pięknie żandarmy zmietli, żeby się ani kto spodział.

---

*) Złodzieje z rzemiosła kościotrup ze łba końskiego na znak braterstwa na płot wtykają i drogę sobie tak od wsi do wsi wyznaczają. —

J a k ó b. Ja słyszałem po północku jak coś szło wedle mojéj chałupy, ale ani miałem pomyślenia o tém. —

S t a c h. Jest ich tu więcéj takich, a może jeszcze gorszych porwisiów, bo mają role i po kilka morgów gruntu, a odważają się na to. — Co téżto za natura albo i sumienie w takim człowieku! Jabym wolał nie wiedzieć jak zarobić, albo uprosić, jak tego próbować. —

J a k ó b. Takto tam już zwydrzone do tego. Niechce się temu pracować, a chciałoby dobrze jeść i na to się poda.

A n t e k. Ale téż będzie im teraz bieda bo starszy od żandamów mówił do radnego: „Nie uwidzicie ich tu tak prędko we wsi, bo pójdą do kryminału.“

S t a c h. Coby nie; a gdzieżby pośli, jak nie do ciupy!

M a g d a. Mój Boże! musi téż tam być okropa w tym kryminale!... Jakem kiejś szła z jajkami do miasta około Mi-

chała*), tom się tak strasznie wylękła, żem tak uciekała. żeby mnie zaś kto nie zcapił a nie zawarł.

Jakób. Ej głupstwo, coby kogo mieli zawierać, jak kto nic nie winien.

Jadwiga. Choćby kto nie winien, a jakby go kto zdał przez złość, toby go i tak wsadzili.

Stach. A to nie prawda. — Bo tak przecie z dobréj woli nikogo nie zawrą, dopiero jak sędziowie zciągną świadków i spiszą na papier jak to było, to wtedy hałom z nim a posadzą na ziemi złodzieja i włożą mu na nogi kajdany, co ich będzie ze dwadzieścia funtów albo i więcéj i potém biją co piątek, a czasem to i we wtorek i łeb ostrzygą, dadzą tam taki kaftan a jeść tylko tyla, żeby żyć. Jak tak zamkną, to już się prędko z ciupy nie wydobędzie.

---

*) **Kościół św. Michała w Krakowie, przy którym jest więzienie kryminalne, nazywa lud** ***Michałem.***

Kaśka. Oj mój Boże, aż okropa bierze, powiadam!

Antek. Ale jak się żandarmy o nich zwiedzieli? to ciekawość! —

Stach. Musiał ich kto zdać, albo jeden drugiego potępił. —

Antek. Nigdy na świecie złodziéj złodzieja nie zda. Prędzéj tam jeszcze polny złodziéj zda wsiowego, albo na to mówiąc, leśny; ale co wsiowy, co po chałupach krada, albo co na drodze obdziera, to swego wspólnika nie zda, bo oni na współ traktują.

Antek. To bo i prawda. — Pamiętam, jak mojemu ojcu nieboszczykowi zginęła kobyła, ta siwa, coście ją znali, to poszedł do wróża aż za Wisłę, a wróż im tak rzekł: „Jest tam u was człowiek, co będzie przy jego chałupie stodoła, a przy stodole dwie wierzby takrok sadzone, a będzie znowu płot około obórki, otóż ten człowiek wie o złodzieju, który ukradł.“ Więc téż Tatuś schodził całą wieś, aże znalazł chałupę i stodołkę i wierzby, co Janek takrok sadził. A co się go téż na-

prosił, aby wydał, a on się wypierał, że ani słychał, i tak powiedział; „Ja nie wiem, bo ja nie na konie traktuje, tylko na ten patyk w lesie, kiedy się da znaleść.... Prędzéj wam to Froncek powie.“ Poszli Tatuś do Froncka, a on mówi, że ani słycha, i nic się nie wydało; a Tatuś dał samemu wróżowi ćwiartkę, bo sobie tyle kazał zapłacić!

Magda. To i te żandary, to muszą mieć wróżów, bo kejby oni tak trafili? A zawszeć tam kogo zcapią.

Antek. Jużci mają — coby nie mieli mieć, od tego są, aby się zwiadywali o złych ludziach. — Ale i tak nie podolą wszystkim złodziejom! Jak i ten Franek, co kradał Jegomości indyki, albo ten Jędrek, co się dobijał do pańskiego szpichlerza i kłotkę ukręcił, a potém okradł piwnice. Albo i te snopki, co na polu pokradli.

Stach. Albo Jegomościną przenicę, tę Maryankę, co kradli fornale, i owies, co sprzedali na wieś. —

Jakób. Najśmieszniéj było, jakto Pan

we dworze swój owies, co przy siewie ukradli, odkupował. — Jużteżto było tyla śmiechu, powiadam!! polowy kradł a podawał swemu ujkowi, a ten znowu nosił do dworu i sprzedawał Panu, a przychwalał. — Wziął za ten owies więcéj jak czterdzieści złotych, bo go było dziewięć ćwierci, a i tak się nie wydało.

Antek. Choć się tam nie wydało, to się wyda, bo lada kiéj się dowiedzą albo zmiarkują. — Kradzież nie przepadnie, bo to dziwy, że choćby jak ukryć, to się musi wydać. A na to mówiąc, że się o tym owsie albo o Jegomościnych indykach nie wydało, to tylko przez to, iż tam księdza i Pana nikt nie żałuje, i choćby widział, to nie zda. — Ale téż oni mają na to sposoby, i jak zcapią, to pogadają tylko z urzędem i całą rzecz opowiedzą, a zaraz hala do kryminału. Jabym tam i we dworze nie kradał, bobym się bał.

— Kaśka. To też to o ten strach jeno!....

— Jakób. Do szpichlerza, tobym

się tam i ja nie zapędził, ale na polu, albo tam patyk jaki, tobym tam! . . .

— Stach. Ej, jabym się na nic nie ważył, bo przecież grzéch i krzywda. Miałby mnie tam kto pomstować, niechcie tam licho! . . . Wolę zapracować!

— Magda. A jużci lepiéj kto zdoli zarobić. Dobrze by i tak!

Kowal Derdak. (wracając do chałupy). Cóż wy to za gromadę robicie, przed moja chałupa?

Antek. Takeśmy tu sobie stanęli na pogwarkę o tych złodziejach.

Kowal. Oho! już ich zapędzili do powiatu — widziałem ich, jak ich wiedli. Okóli ich w takie kajdanki, a jeden żandarm szedł naprzód z fuzyją, a drugi z tyłu, a po boku chłopi. Będzie im téż tam. będzie! Mówił Bazyli com go spotkał, że ich powiesza, jeśli się nie zdołają wykręcić.

Jakób. On, boby się tam umiał wykręcić, bo ma setną głowę na to kręciarstwo, ale Wojtek się nie wykręci, ani téż Sylwester co głupie chłopowsko, ani na złodzieja nie podane.

M a g d a. To tak mówili Bazyli, że ich może i powieszą?... Oj, aże cała martwieję z téj okropy!!..

S t a c h. Powiesić, bo tam może i nie powieszą?... ale co bić to będą, i wsadzą do lochu, co ani słonka widzieć. —

J a k ó b. A jakby się nie przyznali?...

S t a c h. Ej, co tam o nieprzyznanie!... Przyznają oni się tam, a wreszcie są świadki, a urząd ma na to rozum i sposoby. Każdy sędzia, to ma od Cesarza taką książkę z Numerami, co zaraz zgadnie po numerze. *Jeżli tak*, to *tyla* siedzieć, a jak znowu tak, to wedle numeru, taka kara. — Oni się tam nie omylą bo mają wszystko dokumentnie spisane. I sędzią widzicie nie będzie, aże się tego w szkole nauczy, niby tego Cesarskiego prawa, a jeszcze mu nie wierzą tylko doświadczają. I najstarszy między niemi to się nazywa Prezes. Jak on już co podpisze, to tak jak Amen w pacierzu, już na to nijakiego niema sposobu.

S o ł t y s (przechodząc). Nie widzieliście tu kej radnego?

S t a c h. Niewidzieliśmy go nikéj, a o cóż?

S o ł t y s. Mam do niego potrzebę, ale kiedy go niema, to pójdźjeno kowalu, co mi się przydacie.

K o w a l. A po cóż?...

S o ł t y s. Nie pytajcie się jeno pójdźcie, bo się coś znaczy. Wyiskamy wieś z tych porwisiów!

A n t e k. Czy wy Sołtysie po wsi obławę dzisiaj robicie, czy co? Dopieroście trzech wydali, i znowu ciekacie za drugiemi, jakby wam co z tego przyszło?

S t a c h. Dobrze Sołtys robią, ktoby tam porwisia żałował!

M a g d a. Mnie ich tam strasznie żal.

K a ś k a. Jabym ich tam nie wydała, wolałabym ich we wsi ukarać, jak ich do urzędu oddawać.

J a d w i g a. Jużci szkoda choć i chłopa!

S o ł t y s. Co wy tu macie baby utyskować, albo ujmować się za kradziestwem. Idźcie każda do chałupy, a próżniaków po wsi nie roznoście, bobym was tu jeszcze ztarantował, albo i co gorzéj! Babom się

do tego nie wrażać, ani nosa nie wściubiać, bo urząd od tego jest aby robił sprawiedliwość. Spieszcie się kowalu, bo niema na to ociągania, pójdźcież i wy Antku.

Antek. Ja tam nie pójdę, bo co ma potem kto na mnie pomstować.

Sołtys. To pójdźcież wy Jakóbie!

Jakób. I ja też niemam czasu, bo muszę pójść do chałupy zajrzyć co tam moja robi? A potem co mi do tego, jeszcze by się byle kéj na mnie mściło.

Sołtys. To pójdźże ty Stachu!

Stach. Ja pójdę z wami, bo tym złodziejom tom strasznie nie rad, a pomsty się nijakiéj za sprawiedliwość nie boję. Niech nie kradnie, to mu nikt w drogę nie w lezie, ale kiedy cudzéj pracy patrzy, a swojéj niecha, to mi go tam i nieżal. Poczekajcież tylko Sołtysie, co sobie kołka z płota ułamię, bo tak bez niczego to i nie zdarnie iść na szukanie. No, pojdźcie, kowalu! pojdźcież kiedy wam Sołtys nakazują!

Maćkowa z Kundą.

(na podwórzu).

Kunda. I kiedyż waszego wzięli?

Maćkowa. Jakoś zaraz po północku, bo było jeszcze ze trzy godziny do dnia. Wpadli Żandarmi z Sołtysem i chłopami, zasadzili się w chałupie. On nieborak wracał po nieświadomemu do chałupy, a Żandarm otworzył i za łeb go obces złapił, a potem go powiązali i halom! Com się też nawrzeszczała moiściewy, com się naprosiła a nic i nic, jeszcze mnie starszy zfukał.

Kunda. Ją się tam i o mojego boję, aby się zaś nie wydało, albo aby go Maciek niepociągnał.

Maćkowa. Nie pociagnie on go tam, nie, bo on twardego sumienia. Dawniéj jak to byli jeszcze Wójcia gminni to mu Wójt dał piętnaście batów na leżączki, a nie zdał spólnika.

Kunda. Ej, gorzéj teraz jak dawniéj bo tam pachołek od Wójta jak kogo znał,

to i nie dokładał, ale teraz to biją pomałuśko a oblewano; nie zdoli człek przecież pięć wytrzymać. —

Maćkowa. Wy się niemacie o co bać, bo wasz jeszcze nie krada jak się patrzy, tylko tyle że po polach paskuduje albo czasem i w lesie, ale nie wiem czy kiedy zajrzał do komory lub do czyjego chlewa? A oni teraz na wsiowych i jarmarcznych najgorzéj się zawzięli.

Kunda. Nie jest on choć i mój taki już dokumentny, ale jakby z innym toby i komorze podołał, bo mu tam i to nie dziwota.

Maćkowa. Ale co ja teraz będę biedna sierota robić!? (płacze) ktoż też na mnie zapracuje, kiedy mojego wzięli? Dawniej to lada kéj w nocy wybiegł i przywlókł coś do chałupy, czy ziarna czy tam spérki, albo i grosz jaki szmatę, a teraz z kądże się wezmę? przyjdzie saméj iść na zarobek albo kéj uprosić.

Kunda. Może téż waszego puszczą?

Maćkowa. Ej kéj tam puszczą, kiedy wiedzą o kobyle i złapali go z ziarnem' co mu fornal wydał ze szpichlerza dworskiego. —

Walek i Pasterka.

(na obórce.)

Walek. Słyszysz Margośka! weź krowę na powróz, jak ją powiedziesz koło dworu, a jak wypędzisz na pole, to ją spuść z postronka, niech się tam popasie na pańskiéj łące. Tylko się oglądaj aby ci kto niezcapił a bydlęcia nie zajął. —

Margośka. Kiedy widzicie gospodarzu że się boję, bo włóczą na pańskiem niedaleko łąki, a polowy przy *nich* stoi toby mnie ujrzał.

Walek. O polowego to tam nic bom się z nim zmówił i on ci nic nie rzeknie, tylko Okumon, albo ten od cesarskich co nie dawno nastał, to ten najgorszy. —

Margośka. A może lepiéj wypadnie zapędzić do wyki za górkę bo tam nikt 'nie patrzy, a prędzéj się jeszcze napasie, jak na łące.

Walek. A jużci że prędzéj: to tam zażeń, a udrzyj też i do doju, a jak uzbierasz to złóż na chłopskiéj miedzy to sa-

mem wieczorkiem przywleczesz do chałupy. Weź sobie łoptuszę, a sierp w nią owiń coby się kto nie spodział.

Margośka. Nikt się tam nie spodzieje bo ja tam ani zasnę ani nawet nie legnę przy waszéj pracy, tylko ślipiam aby niebyło jakiego przypadku. Kiejś, tom pasła krowę i wieprzka, a puściłam go w pańskie ziemniaki, to się tak parch nażarł, że wieczór to ani spojrzał na krążankę w cebrzyku, choć mu gospodyni ozdobili oskrobinami. Ale coś miałem rzec: oto że od Janka pastuch, to tak stratował końmi pański owies, że szkody mało na dwie kopy, a to i krzywda, bo jeszcze zielony. Wolałby zeżąć jakby już dojrzał. Co się téż nadochodzili i napytali kto i kto? a nie dowiedzieli się i ani mają pomysłu na Jankowego pastuchę.

Walek. Jużci szkoda, i nam było najbliżéj korzystować jakby zabielał, bo i my tylko przez drogę mamy owies, toby się jeno przerzuciło. Co też to i za bestyja taka chłopak: wypasać choć i z tej

strony. Gdyby z drugiéj, toby tam prędzéj, bo od pańskiego.

Margośka. Ja mu też mówiła, a on powiedział. Zostanie tam i dla was, bom przecież wszystkiego nie zmiętosił, a czemże miałem konie popaść, kiedy się gospodarz najął żydowi jechać do dnia? A potem tam gdzie mi kazali tom tam pasł, i ja temu nie krzyw, tylko gospodarz, co mi kazał zagnać konie do pańskiego owsa.

Margośka i dworski dozorca,

(na polu.)

Dozorca. Przecież cię raz złapałem szkodnico! długom się też zasadzał. Weź krowę na powróz i pędź do dworu. —

Margośka. Oj, mój panie ja temu nic nie krzywa, bo się krowa jęła gzić i zaleciała na wykę. Com się jéj nagoniła, a niemogłam jéj nijak zegnać.

Dozorca (oglądając wykę). No proszę? co tu szkody! Ale widzę że i sierpem

wyżęta. Gdzie podziałaś złodziejko to coś wyżęła?

Margośka. Ja nic nie wyżęła, tylko mam na sobie łoptuszę, bo mi téż zimno.

Dozorca. (Trzymając dziewczynę za rękaw i upatrując). A cóżto za kópka w chłopskiej bróździe?

Margośka. To coś musiało spaskudować, ale nie ja.

Dozorca. Pokaż łoptuszę, rozwiń ją!... A widzisz że masz sierp jeszcze na nim świeża wyka! ty łajdaczko!

Margośka Tom też tylko tak sierpa próbowała, bo był u kowala co go naprawiał, i kazali mi spróbować czy będzie dobrze rżnał jak panowie zawołają żąć do dworu.

Dozorca. To dopiero z ciebie będzie złodziej, kiedy tak młodą będąc a już umiesz kręcić i wyłgiewać się. Musiałaś już być w tęgiej wyćwice. Zabieraj zaraz tę pożętą wykę i krowę pędź do dworu.

Margośka. O mój panie, ja też bardzo pięknie pana proszę; bo ja też temu nic nie krzywa, iż mi się krowa za-

gnała, gzi się przejęte Kalembsko i potem z tego turbacyja.

Dozorca. Pędź mówię ci, bo cię za łeb wezmę i razem z krową zapędzę.

Walek we dworze.

Walek. Dopraszam się też Wielmożnego pana, żeby mi też krowę kazał puścić, co ją niewinnie zajęli.

Pan. Jakto niewinnie z mojej wyki? i jeszcze nie dość że się pasła, to jeszcze dziewka żęła sierpem!

Walek. Ja jéj tam Wielmożny panie nie kazował, a co prawda to ją wybiłem strasznie jakem się dowiedział, ale zwyczajnie jako głupia dziewucha zasnęła. i bydle się zagoniło, ale nie było ani pacierza, i to z samego tylko krajuszka. Niema tam niejakiéj szkody Wielmożny panie, nie przecieć wiem, że to grzech, choćby i pana krzywdzić. Jabym się nigdy na to nie poważył.

Pan. Ale przecież dziewka przez sen, wyki sierpem nie żęła?

W a l e k. Tak też tam próżniaczysko, nie miało co robić, i skubnęło parę ździebełek. ale nie przez nijakie złodziejstwo, tylko tak jak nieprzymierzając każda głupia dziewucha, ale tam nijakiéj szkody niema. Nawet co ja się naturbował o ten owies, co też taką krzywdę Wielmożnemu panu zrobili Koniecznie chciałem dojść, i zasadzałem się żeby zcapić, a ani się można zmiarkować kto?... Już ja na to jestem dobry, że ja nikomu nijakiéj krzywdy nie lubie robić, ani sasiadowi, ani panu, ani nawet choćby ladajakiemu żydowi. Ale też proszę Wielmożnego pana, o ten tam raz, aby mi też kazał puścić, boby też baba wydoiła na wieczór, a tak krowsko ryczy, bo ją mleko spina.

P a n. Zapłacie szkodę na dozorców, to wam puszczą. Ja wam moją krzywdę daruję, ale strof na dozorców, to musicie zapłacić, od stuki 30 krajcarów.

W a l e k. A zkądżebym ich wziął Wielmożny panie? przy mójéj duszy, nie mam ani grosza, gotówem przysięgać.

P a n. To trudno kiedy nie macie

to sobie pożyczcie, bo to nie dla mnie, ale dla tych co pilnują.

Walek. Choćbym zapłacił ile tyla, to chyba na drugi tydzień, albo bym odrobił.

Pan. Nie mój gospodarzu. Szkodnikom się nie kredytuje. Zapłać, to drugi raz nie będziesz się na cudze łakomił.

Walek. To niechżeby te 15 groszy. albo już choćby te trzy czeskie.

Pan. Nie może być mój gospodarzu tylko dziesięć czeskich.

Walek. To już dam pięć czeskich, kiedy koniecznie mam za niewinność płacić.

Pan. Próżno się targujecie! Ja wam nie mogę z cudzych pieniędzy darować.

Walek To już niech będzie siedem czeskich, co mam przy duszy.

Pan. Nie będzie tylko dziesięć.

Walek. O mój Boże. tyla pieniędzy, za taką kiepską rzecz to już i zapłacę, ale nie dzisiaj.

Pan. Dzisiaj albo będzie krowa w areszcie.

Walek. (Wyjmując pieniądze z kie-

szeni). Cóż mam robić biedny człowiek, ejże co? Kiedy tak na mnie nieszczęście padło, co ja ani krzyw temu. Nautyka się człowiek z tym kalembskiem i jeszcze każą płacić, że się na gołéj drodze pasie. Co też to i za czasy takie nastały, że się człek nigdzie ze swoją chudobą nie może pomieścić.

Wawrzek i Mikołaj

(na polu).

Mikołaj. Jakoś mi się nie darzy, Odwadziłem, i pług mi się złamał. — Trzeba będzie zjechać z pola bo nie uorzę.

Wawrzek. Co zaś masz nieuorać? tylkoby trzeba patyka, a przymocować, to będzie i tak.

Mikołaj. Jużci, byłoby, ale najgorsze że patyka nie ma.

Wawrzek. Kajta niema! — Skoczyłbyś do pańskiego ogrodu co sadzili te modrzewie i będzie.

Mikołaj. Kiedy nie mam siekierki a potem się boję aby mnie kto nie widział.

Wawrzek. O widzenie, bo cię tam nikt nie ujrzy, jak zajdziesz od wsi, a kiedy cioski nie masz, to wydrzéj z korzeniem albo ułam, i będzie.

Mikołaj. Juźci tak wypadnie — pilnujże tu koni co pójdę, a ja się tu prędziuśko wrócę.

Wawrzek. Szkapy tu nikaj nie pójdą, a ja też skoczę na drogę uciąć trześnię na biczysko, bo moje krótkie, a takie szczepki prościuśkie jakby świece, bo je Pan z Niemców kajś sprowadził, i het niemi drogi wysadza, to powiadam, że choćby w Krakowie tobyś takiego biczyksa nie dostał.

Mikołaj. Kiedy idziesz, to utnijże też dla mnie drugie, bo i mnie potrzeba.

Wawrzek. Co nie mam uciąć, ja i kilka utnę aby było od przypadku. Ale słuchajże Mikołaj co ci powiem! Kiedyś Szewcowi brakowało kory do podeszwy; co się też naturbował, z kąd wziąść? Przyszedł tam do chałupy i lamentuje a pyta się czy kto nie idzie do miasta aby mu kory kupić, a ja się go pytam, co mi dacie, to ja wam znajdę?... a on powiada:

„dałbym Ci dwa grosze — Tak ja na to: więc pójdźcie zemną a weźcie z soba cioskę albo i noża to wam pokażę sztukę. Dopiero on poszedł po siekierkę, i zawiodłem go tu około pańskiego wikla co jest taka piękna świerczyna wysadzana, i mówię mu: obłupcież tego świerka a będziecie mieć na dwadzieścia par butów. A on aż się dziwołał żem mu taka sztukę pokazał, i tak się uradował, bo jak na okoluśko poobdzierał świerki, to będzie miał na cały rok, albo i na dwa.

Mikołaj. Ale to się świerki na nic ususza.

Wawrzek. A niechże tam, albo to moje tylko pańskie! No idźże po tego modrzewia, a ja pójdę po biczyska!

Mikołaj. Kiedy postronka nie mam, to czémże przywiązać?

Wawrzek. Ej co tam o to? utniemy pańskiego wikla i ukręcimy witkę.

Mikołaj. Co teżto i za głowę masz taką Wawrzek, że na wszystko znajdziesz zaraz sposób.

Wawrzek. Oj próbant ja temu, bom służył u takiego gospodarza, co swojego mało co miał. tylko jak mu trza było czego, to zaraz kaj skręcił, i jest Nigdy nikaj nie pojechał żeby czego nie zwędził, albo łona, albo kurczaba, albo i wagi nawet do wozu Już to miał taki zmysł do tego że poszukać. Czasem tośmy tam razem chodzili na prześpiegi, a jak co po zyskował to mi i dał. Jak na to mówiąc: z lejca co wziął w pańskiéj stajni, to do opaska wszystkim dał rzemienia, mnie i pasielakowi. Dobry tam był i człowiek.

Mikołaj. Ej, co mój gospodarz, to tam nijakiego zmysłu niema, jeno tyla co go też gospodyni tak rok w zimie wygnała żeby wziął ogrodzenie co około pola kazał Pan zrobić, to też tam tyla wszystkiego. Wyjęliśmy ze czterdzieści słupków po trzy łokcie, i łat też z kopę co było ożerdzone. Okumon dawniejszy pijał, to nie wyźrał a znieślimy przez nijakiego strachu do chałupy.

Warzek. I cóżeście z tém zrobili?

Mikołaj. Porąbaliśmy na drewka i

zawieźliśmy do miasta. Rozebraliśmy potem i płotowinę dworską na pal i tyla wszystkiego. A zobaczyłem: że też tam i deszczek ze stawu wzięliśmy kilka w nocy, co na nich taczali, i taków dwoje, i kawałków też parę coby były do stodoły na ściankę. Ale Józek, to ten się dopiero nadźwigał Pańskiego! Nosił a nosił. Co tylko kéj znalazł podobnego, czy krokwę, czy przycioskę, to się we dwóch z Bartkiem zaprzęgli a zwłóczyli i obciesali, a hola z tém na targ. Co oni, to dużo pieniędzy zbili, za tę jednę zimę.

Hanka (we dworze).

Hanka. Powiedziałabym coś Wielmożnemu panu ale się boję, aby mnie parobcy nie zbili.

Pan. O cóż cię mają bić?

Hanka. O to, jakbym ich wydała ze szkody.

Pan. Nie bój się, powiedz tylko, kiedy wiesz o krzywdzie, bo grzech jest zataić zbrodnią.

Hanka. Oto narobili despetu w sadzie i wyrwali hoinkę co nie dawno sadzona, i ucięli tych drzewek co około drogi, i zanieśli, tam na pole gdzie Mikołaj z Wawrzkiem orzą.

Pan. Dobrze żeś powiedziała to ja tam poślę zobaczyć.

Hanka. Ale jabym téż prosiła Wielmożnego pana, żeby mi téż życzał ze dwóch reńskich na odrobek, bo mi trzeba na buty, a nie mam je z kąd wziąść.

Pan. Kiedyś ty już winna, a nie lubisz odrabiać, i wolisz łazić do Krakowa na zarobek jak we wsi pracować.

Hanka. Ej, ja odrobię Wielmożnemu panu. —

Pan. Reńskiego ci pożyczę, bo za dużo dwa reńskie.

Hanka. A jużci i za to dziękuję Wielmożnemu panu.

Hanka

(na drodze około pola Wawrzkowego.)

Hanka (pół głosem). Wawrzek, pochowajcież coście wydarli z ogrodu, bo Okumon idą od dworu ku tej stronie.

Wawrzek. Dobrze, żeś powiedziała.

Hanka. Nie wydajcież mnie żem was ostrzegła.

Wawrzek. Ej głupstwo, cobym cię tam wydawał.

Hanka. Zostańcie z Bogiem, bo pójdę na trawę.

Wawrzek. To idź, a od granicy uzbierasz w pańskiem pięknéj trawy, gdzie oni to rów od łąki kopali.

Ekonom (na polu Wawrzkowém).

Ekonom. Szczęść Boże do roboty!

Wawrzek. Daj panie Boże, dziękujemy Panu.

Ekonom. Jakośeście mało uorali, choć i na swoim. już jest śród południe a dopiero macie kilka zagonów.

Wawrzek. Bośmy dopierusieńko z chałupy wyjechali, pług się tam Mikołajowi popsuł i gospodarz mu naprawiali.

Ekonom. Proszę, i to wypadek! pokażcie no ten pług to ja wam może doradźę.

Wawrzek. Ej, teraz to tam już orze.

Ekonom. (Spoglądając na wszech strony). Nie widzieliście tu gdzie zająca, bo on tu w téj roli siedział.

Wawrzek. Oj widzieliśmy Panie Okumonie, ale teżto taki wielki! dopieruśko co wyleciał i tam poszedł za drogę, trzebaby się Panu wrócić po fuzyją toby go pan zabił w koniczynie.

Ekonom. Ja go tu może upatrzę, bo musi być i drugi.

Wawrzek. Z kądby się tu drugi wziął kiedyby się wystraszył.

Ekonom. (Szukając). A jestci jest. Pójdźcie no tu szkodniki łajdaki! Żeby szczepki co Pan tak drogo płacił na biczyska wyrzynać? albo modrzewie już tak rzadkie psuć w klombach!! Poczekajcie złodzieje zaraz was do powiatu oskarżę.

Wawrzek. To niech tam Pan skarży, ale niech nikogo złodziejem nie robi, bo nas Pan w szpichlerzu pańskim, ani w chlewie, na złodziejstwie nie złapał. Jeślim wziął to na potrzebę, bo tu jacy jeszcze Panowie bywali, a nie obsadzali drogi szczepkami, tylko jeśli miało Państwo szczepki to za ogrodzeniem.

Ekonom. Cóż ci łajdaku do tego, gdzie Pan sadzi kiedy nie na twojem polu tylko na swojem.

Wawrzek. Do tego mi jest, że tak dawniéj niebywało i nie będzie, a jeślim łajdak to sobie a nie panu. — Skądżem miał wziąść w potrzebie?..

Ekonom. Dziesięć wiśni, i modrzew!.. opisze się to do urzędu poczekaj!!..

Wawrzek. Nie boję się tam. Nic mi tam nie zrobią.

Wawrzek i Mikołaj

(przed Sądem Urzędu Powiatowego.)

Urzędnik. Jesteście tu oskarżeni o

niszczenie drzew owocowych przy drodze i o szkodę zrobioną w ogrodzie.

Wawrzek. Przepraszam Najjaśniejszego urzędu, to nie prawda, tylko uwziątek Okumona, bośmy nijakiéj szkody nie zrobili.

Urzędnik. Dwór złożył tu w dowód szczepki na biczyska obrobione któreście ucieli, i wierzch modrzewiu, wyrwanego w klombie.

Wawrzek. Niechże tam złożył kiedy nie dowiedzie abyśmy jaką szkodę zrobili, sami może kradną jak i Okumon, a potem na kogo spędzają.

Urzędnik. To swoją drogą, ale pytam się, czyście wy wzięli te wiśnie na drodze pańskiéj i ten modrzew?

Wawrzek. Kto tam wie, kto wziął? albo to tylko tyla ucięte? przecież i dworscy fornale jak im trzeba na biczysko, albo i pastuch to idzie i utnie.

Urzędnik. Nie gadaj teraz o drugich tylko o sobie.

Wawrzek. To też o sobie powiem, że ja się też skarżę Wielmożnemu prze-

świetnemu Urzędowi, co mnie Ekonom przezywał złodziejem i łajdakiem. Albo jemu to teraz wolno. aby mnie tak przezywał?

Urzędnik. Odpowiadaj w prost na moje zapytania — pytam cię się, czyście wy obadwa ucięli drzewka na drodze, lub nie?

Wawrzek. Nie my, prześwietny Urzędzie.

Urzędnik. Kiedy przecież Hanka widziała, i ostrzegła dwór o waszéj kradzieży, a do oka wam stanie.

Wawrzek. O, co to, nie jest nigdy prawda. bo ona nie ich ostrzegała tylko nas, i jeszcze mówiła abyśmy schowali bo Ekonom idzie, i jako też przyszedł i znalazł te tam patyki, coby i raz tém nie zapalił.

Urzędnik. A więc widzisz żeście wy tę szkodę zrobili. —

Wawrzek. O to tam kiepstwo, to i nie warto trudzić prześwietnego Urzędu albo i nas w roboczy czas. — Tam, co i prawda to i nigdy szczepki nie powinny być, bo za innych Panów nie bywały.

Urzędnik. Tobie nic do tego, gdzie pan na swoim polu sadzi. Pójdziecie do Aresztu, i karę odbierzecie, a wyrok się napisze ile w pieniądzach szkody macie panu zapłacić.

Wawrzek. Co też to i za czas taki, żeby zaś za byle patyk karę po próżnicy odbierać.

Policyant. No, daléj, pójdźcie ze mną, co się tam rozmówimy.... Nie kłaniajcie się, nie, tylko pójdzcie na dół....

Wicek i Fabian.

Wicek. Jeno żeby z kąd prochu i śrótu dostać, to ja tam zająca i bez psa wydepczę, albo wieczorkiem na wychodnego zawsze urwę, a co o kuropatwy to się nie boję bo na siatki choćby całe stado to wezmę.

Fabian. O śrót fracha bo go dostanie, ale na proch to trzeba mieć pozwoleństwo, bo inaczéj nie sprzedadzą lada komu.

Wicek. Ja wiem jakby dostał: Oto

trza powiedzieć panu żebyśmy kamienia ułomali, ale że trzeba skałę strzelać. On ma paszport na fuzyją to jemu sprzedadzą.

Fabian. Jużci tak najlepiéj, bo mu duchem potrzeba kamienia na piwnicę. Ale trzeba mu obiecać taniéj.

Wicek. Niechże tam choć i najtaniéj, kiedy mu się nie ułomie.

Fabian. Dobrze i tak będzie: ale żeby nas żandarmy nie zcapili. Bo oni na te rusznice coby kto miał bez pozwoleństwa, to strasznie ciekawi.

Wicek. Nigdy oni się niespodzieją kaj my pójdziemy, bo przecież po krzakach to im nie swarnie łazić, a na polu to też i człek z daleka widzi, jakby na to przyszło, ciśnie tam kéj w dół fuzyją i źwierza i jużci po wszystkim.

Fabian. Ale Pan jak się dowiedzą że na dworskim polujemy, to nas zda przed powiatem.

Wicek. Ej, co tam o to, wyprze się człowiek i kwita! niechże postawi świadków! Tylko tak zrobiemy: Ja zastawię siatki na noc w pańskim prosie, a dopiero

raniuśko wyjdziemy a ty będziesz pomału od ziemniaków zaganiał, a ja znowu od jaréj pszenicy; to byleśmy zagnali do siatek starkę a koguta to wszystkie młódki nasze.

Fabian. A jakby frugnęły?

Wicek. To one tam nie polecą jak na koniczynę a znowu je w proso zażeniemy, a potem dać się im chwilkę zasiedzieć, to się zaczną wabić i w krzyżowe siatki wszystkie się wezmą.

Fabian. To dobrze i tak będzie, ale znowu jak słonko zajdzie, to wyjdziemy do gaju na zająca, i jak się co urwie, to na całą noc pójdziemy do miasta, bo też jutro targ, to prędzéj się kto trafi.

Wicek. O to tam nic, bo choćbym i niewiem wiela miał, to sprzedam kucharzom, co ich znam, bo lepiéj płacą jak kurniczki. Tyla tylko, że opłata jest na rogatce.

Fabian. A niemożnaby jako skryć?

Wicek. Byłoby i tak, ale koło ciebie szukają i w koszyk patrzą a trzebaby dać strof.

Żandarmy we dworze.

Podoficer. Przechodząc wczoraj ścieżką około pańskiego lasu, słyszeliśmy strzały, więc przyszliśmy się dowiedzieć czy pan polowałeś, albo może ludzie pańscy?

Pan. Nie panowie, ani ja ani moi ludzie niepolowaliśmy wczoraj.

Podoficer. A wszakże wiemy iż tylko na tę Gminę wydano dwa Waffenpasy.

Pan. To zapewne ukradkowi myśliwi podchodzą mi zwierzynę.

Podoficer. Czy pan nie mógłbyś nas oświecić, którzy tu w gminie być mogą przekradkowi strzelcy?

Pan. Nicwiem moi panowie, ale zapewne Sołtys najlepiéj o tem panów objaśni.

Żandarmy u Sołtysa.

Podoficer. Sołtysie, macie nam powiedzieć którzy tu są u was w gminie posiadający broń myśliwską?

Sołtys. Najprzód pan we dworze, a potem ksiądz proboszcz a także słyszałem, że tam ma taką starą fuzyją Wicek a drugą Fabian.

Podoficer. Pan we dworze i Proboszcz zaopatrzeni są w Waffenpasy, ale ci drudzy nieprawnie broń posiadają, a więc prowadźcie nas do nich.

Żandarmy i Sołtys u Wicka.

Podoficer. Oddaj zaraz broń którą nieprawnie posiadasz, a z któréj wczoraj nawet w cudzym lesie strzelałeś.

Wicek. Ja nijakiéj broni nie mam, anim też nie strzelał, a co prawda tom i w życiu nie strzelał. Mój Boże! zkądby ja też fuzyi wziął? ja oto na łopatę co mi potrzeba a wspomódz się nie mogę.

Podoficer. Kiedy nie masz, to poszukamy. (Podoficer zaglądając pod łóżko). A cóż to tam jest przy saméj scianie, za temi sieciami?

Wicek. Ej, to tam takie żelazo, co

to nazywają lufa, zwyczajnie na kłotki, bo mi też kłotek bardzo potrzeba.

Podoficer. Wyciągnijno tę lufę, a co kłotki to się znajdą u mnie, i mogę ci niemi darmo usłużyć.

Wicek. Ej, kiedy mi coś w krzyże wlazło, co mnie tak od wczoraj źga, to się niemogę wielmożny panie nijak zgiąć. —

Podoficer. Może wam Sołtysie w krzyże nie wlazło, to schylcie się wy a wyciągnijcie ten materyjał na kłotki, i te sieci weźcie razem, bo to zapewne będzie siatka do wieszania serków: nieprawdaż gospodarzu?

Wicek. A takci tak Wlny panie, a do czegożby było jak nie do wieszania serków?

Podoficer. Proszę?... co on tu serów musi narobić, że do kilkuset łokci sieci z kołkami potrzebuje!... (Oglądając fuzyją i sieci.)... Zapewne chciał takie strzelające kłotki zrobić, żeby od razu złodzieja z nich zabić. Weźcież to Sołtysie, abyśmy pokazali urzędowi powiatowemu, a

razem zabierzemy i majstra, co kłotki strzelajace pod łóżkiem chowa.

Żandarmi i Sołtys w chałupie u Fabiana.

Podoficer. Gdzież to spieszycie gospodarzu? przecież nie pieknie przed gośćmi uciekać, my was przyszli odwiedzić, a wam się gdzieś spieszy.

Fabjan. Oj, spieszyć mi się Wielmożny panie, ale ja tu zaraz przyjdę.

Podoficer. To ja z wami pójde, aby wam się samemu nie przykrzyło.

Fabjan. Ej. gdziebym ja tam pana Żandarma trudził, ja sam przebiegne i zaraz wróce.

Podoficer. No idźcież! (patrzac za nim przez szparę od drzwi). Sołtysie. idźmy do komory, bo tam wszedł.

Regina. On wszedł tylko po ławkę coby panowie usiedli.

Podoficcr (w komorze). Cóż tam nieboraku tak pod strzechę wpychasz? Ja

wyższy to ci pomogę.... Pokażno? odbierając strzelbę). Cóż to za drąg żelazny?

Fabjan. Tak też to tam wielmożny panie, czasem od jakiéj potrzeby, albo i od przypadku nieprzymierzając.

Podoficer. Owszem mój gospodarzu! przymierzając do zajączka.

Fabjan. O, nie wielmożny panie, coby ja z zającem robił, ja choć króliki chowam na to mówiąc, a i téj gadziny nie jadam. Ja tam na mięso to co i prawda nie łakomy. Gdybym miał zająca, tobym zaraz dał wielmożnemu panu z duszy serca, ale nie mam, bo gdzie tam człowiek ma czas za tem łazić, oj, nigdy na świecie.

Podoficer. (Spojrzawszy w stojące beczki). No proszę?... zajrzał mu zając do beczki i zabił się. Musiał być w ogrodzie i przez strzechę skoczył.

Fabian. A któż tam wie Wny panie, może tak i było, ale też to i bestyja zając. Jabym sam temu nie dał wiary.

Sołtys. Nie widzicie to Fabianie, że pan podoficer z was kpią? Gadałem wam tyle razy, abyście tém nie traktowali

kiedy nie wolno, a wy nie słuchacie i tylko z tego kłopot i wam i komu jeszcze.

Fabjan. Ej, proszę też Wego pana, aby mi też ten raziczek darował ja tam choć trzymałem tę swińską nogę, to nie od polowania, tylko od złego człowieka. albo od wilka lub od psa jak się który popsuje.

Podoficer. Toś zapewne strzelał do Wilka a trafiłeś zająca.

Fabjan. Tak mi się też zajęczysko bezkurcya obces nawinęło, i ja też więcéj niby ze skórki jak z mięsa sięgnałem za nim, ale i za skórkę to żydy teraz płacić nie chca. —

Podoficer. Kiedy ci o skórę tylko chodzi, to tam ją w urzędzie sprzedasz. i oni ci ją tam pięknie na grzbiecie osmyczą, a teraz pójdź z nami na polowanie, może jakiego jeszcze strzelca znajdziemy.

Fabjan. O znajdą panowie bo pan we dworze, to ma setną dubeltówkę, co to dopiero fuzya, nie takie kiepstwo jak moje, co za pistolet nie obstoi. A ja się też wypraszam bardzo pięknie Wmu panu.

Podoficer. Pan ma na swoją fuzyą pozwolenie rządu, ale ty nie masz.

Fabjan. A jakto i Bazyli, nakrył sukmanę fuzyą co wisiała na kołku a panowie ją nieznaleźli, a u mnie to aż pod strzechą naleźli!!

Podoficer. Tak mówisz? To się tam znajdzie i u niego, ale teraz maszeruj, kiedyś taki ochotnik do broni.

Fabjan. Ej, mój wielmożny panie, to już dam chocby tego zająca.

Podoficer. Będziesz miał z niego pieczyste w areszcie, a teraz ruszaj. Na przód! marsz! . . .

Roch i Florek

(pod płotem dworskiego ogrodu.)

Roch. Ej, żeby teżto jako!.... Ale kiedy nie przelezę, bo się niema kéj uwiesić.

Florek. Chocby wyjąć z płota kilka ténów, albo jakbyś wlazł po mnie?

Roch. Kiedy nie zeskoczę, bo kolące herdzie po tamtéj stronie. Nijak tędy nie można.

Florek. Cichono Rochu, będzie dobrze, ato u furtki wyłamać balasy i przejdziemy oba, a prościuśko na tę jabłoń, co na niej takie piękne jabłuszka.

Roch. A jużci tak najlepiej, tylko się nie smatłaj długo. Wyrwij balasy i kwita, albo, choćby skubel wyjąć, albo kłótkę ukręcić?

Florek. Kiedy mocno skubel siedzi, bo ja go tu już próbował. Nie bój się, mnie już nie pierwsza. Tylko trza balasa ruszyć, ale to bieda że też to człek niema nijakiego żelazka, coby ten gwoźdź odwadzić! —

Roch. Poczekaj, ja pobiegnę do chałupy. —

Florek. Będzie tam i bez tego, tylko się weźmy przez wagę... a widzisz że się już rusza . . . jeszcze raz się chwyćmy... dobrze... już jest. Poczekajże tu co ci będę podawał, jak natrzęsę.

Roch. Nie tak Florku, tylko ułom z gałęzia, bobyśmy się długo zabawiali.

Florek. A jużci tak lepiéj!... To

ułomię kilka gałęzi. Ale żeby tu się dostać do téj gruszki co hań dalej.

Roch. O to fracha, kiedyś tam już jest. —

Florek. Już mam pięć gałęzi, rzuć w herdzie, pójdę teraz po gruszki. Tylko się tu spiesz z obieraniem żeby nas kto nie zszedł.

Ogrodnik, Roch, Florek.

(Ogrodnik wpadając z boku z gracką.)

Ogrodnik. Złaś porwisiu, bo cię zaraz gracką ciupnę.

Florek. (Siedząc na gruszy). Ej mój panie ja zlezę: tylkom gruszkę jedną urwał, żeby pokosztować, czy się też odleżały?

Ogrodnik. Złaś zaraz porwisiu! Kiedy ja za was mam hałas od pana słyszyć, to obedrę cię do koszuli!... Złaź bobym cię za nogi zwlókł, a zbiłbym okrutnie. Którędyś tu wszedł?

Florek. Ej, takem tu wszedł zajrzéć tylko na ptaki bo się tu ma gdzieś Wilga, a na innym drzewie, to się też sroka usłała.

Ogrodnik. O parchu! to ty nietylko owoce kradniesz ale i ptaki wykręcasz, co wielmożny pan tak lubi, co mnie chciał odprawić, że ktoś popsuł w ogrodzie słowicze gniazda! poczekaj łajdaku, ja cię tu zaraz do sołtysa zaprowadzę.

Florek. Oh, to nie ja mój panie wybrał słowicze gniazda, tylko Filipek od sąsiada, bo on jest na ptaki, a ja to tylko tę srokę co zdołam wybrać. i to się jeszcze tak trzeba naspinać za oną gadziną co niewarto; bo i kurczę weźmie i do gniazda zaniesie. W tamten tydzień to nam jedno kacze porwała.

Ogrodnik. Pojdź-no pójdź zbytniku! pokaż którędyś wszedł, a jak nie to cię do drzewa przywiążę i bić będę póki tchu w tobie.

Florek. To już pokażę! Oto tędy, bo wypadła balaska i my też widzieli że otwarte wrotka więceśmy zajrzeli.

Ogrodnik. To was tu jest więcéj? Dobrze ja wam tu łaźnią sprawię... (idąc za furtkę). A łajdaki! to i z całemi gałęziami nakradliście jabłek, poczekajcie! Za-

bieraj to zaraz i nieś, a ja cię za łeb poprowadzę.

Ogrodnik Roch i Florek

(u Sołtysa.)

Ogrodnik. Przywodzę wam tu porwisia, szkodnika, co był w ogrodzie pańskim i nałamał gałęzi z jabłkami, a zastałem go na gruszy. Zróbcież sprawiedliwość jak się należy. Ale jest i drugi wspólnik tylko uciekł. —

Sołtys. Pocożeś tam łaził?... Gadajże chłopiec! po coś tam łaził? słyszysz? bo cię lunę!!

Florek. Ej ja tam tylko zajrzał, i stanąłem na gałęzi i złamała się, tak ją też za płot wyrzuciłem.

Sołtys. I cóż ty myślisz parchu, że ci uwierzą, kiedą jest kilka gałęzi z jabłkami? Gadajże psotniku!!... A któryż był z tobą?

Florek. Ej, nie był tam nikt Sołtysie, tylko się Roch przyglądał, ale był na polu. —

Sołtys. Dobrze, to ja tu poślę po Rocha, a zaraz sobie w oko powiecie.

Ogrodnik. A znowu o te słowicze gniazda co je zepsuli, a co się o nie pan i nawet pan naczelnik gniewa. bo to nieme stworzenie co tak śpiewa.

Florek. O co oto, to będę przysięgał jako nie ja, tylko Filipek, co i dwoje kuropatw wybrał, a jednych jaj było 18, a drugich 14, i te przepiórki co były w prosie. w tém samem. gdzie i zajączki małe zcapił. On tam na te ptaki jest zmyślny i za tem cały dzień łazi. ale co ja to i zmysłu do tego niemam. tylko na jedne sroki.

Roch (przyprowadzony przez parobka Sołtysa płacząc.) Ja temu nic nie krzyw tylko mnie Florek namówił. bo ja i niechciał; bo cożem miał chcieć, kiedy co prawda to jeszcze zielone i twarde jak kamienie co ani ugryść.

Sołtys (do parobka przyprowadź tu Filipka, to się odrazu zrobi sprawa). Chłopaki dostaną bicie. a rodzice zapłacą strof że dzieci nie pilnują.

Florek (płacząc). Za cóż ja mam dostać bicie, kiedy mi też tatuś i matusia kazali przynieść jabłek z pańskiego sadu.

Roch. A mnie tak matusia kiedysik wybili, com tylko cebuli kopę przyniósł, jakeśmy w ogrodzie robili, a teraz mam dostać bicie!

Filipek (przyprowadzony przez parobka). Ja tam Sołtysie nic nie ukradł, i jeżeli kto zwędził na pańskim polu kapustę i karpiele, to nie ja tylko Tomek, a niech na mnie próżno nie składa, bo ja mu stanę do oka.

Sołtys. Będziesz mu stawał późniéj ale teraz dostaniesz w skórę za te gniazda co je psujesz, w polu i w ogrodach; a to grzech, bo taka gadzina spiéwa Boską chwałę.

Filipek. Nikt tam tego nie bronił, choć i za dawnych lat, bo temu się przecież ziarna nie daje, a potem ja tam nic na tych jajach nie pozyskował, bo już były zalęgniętę.

Sołtys. Dostaniecie wszyscy po

siedem kijów, i zapłacicie strof. Połóż się najprzód Florek. (Sołtys bije).

Róża i Agata

(w pańskiem pszeniczném polu.)

Róża. Tylko wybierz piękny snop coby ci się nie rozwiazał, bo ja już wybrała dwa, to tam może i wystarczy. —

Agata. Kiedyś ty porwała dwa, to i ja też drugi wezmę.

Róża. No, to idźmy mamy iśdź.

Ekonom, Róża, Agata.

Ekonom. (Nadchodząc). A co wy tu robicie próżniaki? Pszenicę kradniecie? To ja mam wartowników przy każdym zbożu stawiać? A szelmy!

Róża. Albo my to dla siebie kradniemy tylko dla Wielmożnego Pana, jako się nam przodkom patrzy!

Ekonom. Jak to, kradniecie pańską pszenicę dla Pana? my sobie tu damy radę bez was.

Agata. Kiedy Pan Okumon nie rozumieją, to powiedzże Róża na cośmy kradły!

Róża. ja nie powiem i wolę niebrać snopków, boby się Panu ziarno zepśniło.

Agata. To i prawda żeby nawet nie można zanieść i do święcenia.

Ekonom. Wy mnie próżniakami nie omamicie tylko złóżcie zaraz snopki na mędlach, a każę was odprowadzić do Sołtysa.

Róża. Ma nas tam Pan karać, to wolimy wieńca nie robić i niechże tam będzie. Jużci żeby nie z kradzionéj, toby się wieniec nie wydarzył i nawet nie możnaby dać do święcenia.

Agata. O nigdy jak świat światem, nie możnaby robić nie skradzionéj.

Ekonom. Żebyście mnie były prosiły, tobym dał snopek albo dwa na wieniec, a tak, to musicie ze swojéj pszenicy robić.

Róża. Kiedy nie można jeno z kradzionéj i to z pańskiego pola, bo inaczéj to się nie darzy.

Ekonom. (Do siebie.) Możebyć i prawda! . . . (do Róży.) O tę tam parę snopków mniejsza, byleście więcéj nad jeden wieniec nie robiły, boby wam wiele okruchów zostało. (Odchodząc.) No zchodźcie zaraz z pola i niepaskudować mi tu więcéj.

Róża i Agata.

Agata. Żałował nam dwóch snopków na wieniec, a nie zmiarkował się, że Błażek już pół kopy téj pszenicy w nocy furą zabrał.

Róża. On tam mruczał coś przy składaniu mędli, miarkował że mu brakuje, ale nie wiedział ila?

Agata. Pomyliło mu się i tak, chociaż pisze.

Róża. Ale nie wiem czy się zda ta pszenica na wieniec kiedy się nie udało wziąść ją po nieświadomu.

Agata. A Jużci, może się i nie zda, to zanieśmy prędzéj te snopki a przyjdźmy

po inne. Ekonom tam już nie przyjdzie bo już był, to się już ani spodziewa.

Życzliwe Rady tego,

co tę historyą napisał i wydrukował.

I. Pan Bóg mówi w siódmem przykazaniu „nie kradnij“ jednem słowem nic nie kradnij, ani pieniędzy, ani koralów, ani konia, ani krowy, ani zboża, ani drzewa, ani słomy, ani siana, ani nawet plew, bo jak byś zaczął od plew, to za plewami pójdzie słoma, a za słomą kłoski z ziarnem, a za ziarnem Jegomościne Indyki, a za indykami, krowa lub jałówka sąsiada, a za tém koń Onufrego, i korale i pieniądze. Przysłowie mówi: „od łyczka do rzemyczka“ to jest: jak sobie pozwolisz wziąść łyczko, to potem weźmiesz i rzemyk, n. p. lejce, chomonta, a za chomontami to i pół wozie, i aż wyjdziesz na złodzieja. A że Pan Bóg tak zwykle zrządza, że czy rychléj lub poźniéj zbrodnia się wyda i za nią czeka tu nawet kara, więc cię urząd jako przynależy osą-

dzi, i dopełniając sprawiedliwości, każe okuć nogi twoje, które po cudzych polach, komorach, lasach i łąkach biegają; i każe okuć ręce twoje, co sięgają po cudzą własność i po cudzą pracę, i każe cię zamknąć w ciasnéj ciupie, abyś po szerokim świecie za kradzieżą i krzywdą ludzką nie gonił; każe ochłostać to twoje cielsko, które się na cudzéj pracy wypasało. Oj będzie ci też to okropnie tęskno i smutno i boleśnie, bo ani twoich przyjaciół ani rodziny więcéj nie zobaczysz. We wsi ludzie będą pracować, siać, zbierać, żenić się, weselić, będą sobie chodzić wolno i nikt im oka nie zapruszy, a ty będziesz pokutował, i ani się dowiesz co się we wsi dzieje. Ale nie tylko tu kara czeka — bo gorsza sprawa na tamtym świecie, gdy cię Bóg sądzić będzie a ty staniesz obciążony krzywdą ludzką. Spytaj się Księdza Proboszcza a on ci dopiero powie, jak wielka jest kara za przekroczenie przykazania Boskiego!

II. Przysłowie mówi: „kto chleb cudzy kradnie, to mu z zęba spa-

dnie.“ Oto dla tego mu spadnie, że cudza krzywda nawet ciału złodzieja nie idzie na pożytek. Jak co ukradniesz to się tyle nafrasujesz, aby się nie wydało i aby ci nieodebrano, i abyś nie był karanym, że ani dnia spokojnego ani nocy mieć nie będziesz. Nikomu w oczy śmiało nie spojrzysz, tylko zwiesisz głowę, a oczy w ziemię wlepisz, jak niprzymierzając ten wilk co się w dół złapie, albo co go w oborze przymkną. Powiadam ci, że tego kradzionego chleba, albo nawet ziemniaka spokojnie nie zjesz, bo się będziesz bał, czy sąsiad nie widzi, lub czy kto nie mówi: „zkąd on przyszedł bez pracy do bogactwa, czego ja przy pracy mieć nie mogę? Oj ze strachu samego ten chleb skradziony z zęba ci spadnie a choćbyś go i zjadł, to od niego nieutyjesz, bo cię będzie piekł na wnątrzu.

III. Powiadacie tak: „że tam pana, księdza i żyda to można skrzywdzić, bo mają“ albo też mówicie między sobą: „Ej, co tam będzie bogaczowi, choć go tam ila tyla urwisz?“ Poczekajno; kiedy więc to-

bie wolno kraść pana, toby twemu parobkowi wolno było ciebie okradać, a znowu pasielak okradłby parobka, bo ty znowu jesteś bogatszy od parobka, a parobek od pasterza. A jednak kiedy cię skrzywdzą, tobyś ze złodzieja skórę zdarł, i darować mu nie możesz! Otóż co tobie nie miło nie czyń drugiemu, bo jakbyśmy się tak zaczęli po kolei okradać, toby nikt koszuli swojej nie był pewnym na grzbiecie.

IV. Kiedy ci wilk owcę udusi, albo lis kurę złapie, albo jastrzab gołębia porwie, to radbyś żeby tego wilka, lisa, albo jastrzębia kto zastrzelił, choć to głupie i nieme stworzenie, które ani duszy nie ma, ani rozumu i niewie że to grzech szkodę robić. A ty co masz i duszę i rozum gorzej sobie pozwalasz od niemego stworzenia, gorzéj mówię od wilka, lisa i Jastrzębia, bo włazisz do cudzego chlewa i wyprowadzasz krowę albo konia. Wleziesz do kurnika i porwiesz indyka, kurę albo i gęś. Łąkę cudzą wypasiesz lub wysieczesz a bardzo często do cudzych się ziemniaków zapędzisz i podkopujesz jakby nieprzymierzając świ-

nia. Do ogrodu się także zakradniesz, jakby nieprzymierzając cap albo koza. A więc kiedy kradniesz, toś gorszy od niemego stworzenia, albo od zwierzęcia; powiadam od wilka, lisa, świni albo capa. Nieprawdaż?!!

V. Smierć jest jakby złodziej, (powiada pismo święte) i przychodzi kiedy się człowiek najmniej onéj spodziewa: więc też i złodziej jest jakby śmierć, co wszystko niszczy. Złodziej więc ze śmiercią jedno trzyma. Aż strach pomyślić o tem!

VI. Aby temu koniec położyć, tak sobie uradźmy: Pracować, pomagać sobie wzajemnie, a nie okradać i nie robić sobie krzywdy, bo co prawda: bez prace nie będą kołacze, kto zaś na chleb pracuje, to w chleb obfituje. Bóg go błogosławi. a świat go też sławi:

Przeto: na cudze nie miéjmy ochoty,
Lecz się poczciwie weźmy do roboty!

nie. Do tego-ż się także zakradniemy, jak-by niepostrzeżenie [illegible]. A więc kiedy [illegible] od [illegible] stworzenia, [illegible] od wszelkiej światowéj rzeczy. Najpewniej?!

V. Smutna jest każdy [illegible], (powinna pamięć [illegible] i [illegible] kiedy się człowiek [illegible] swój [illegible] też i [illegible] jest jakby [illegible], co [illegible] tylko [illegible]. Zbliżmy więc ze [illegible] jedno [illegible]. Ah [illegible] pomyślić o tem!

VI. Aby tego [illegible] tak sobie uważamy: Pracować, [illegible] [illegible] i [illegible] samo krzywdy, bo co [illegible] tego nie będzie [illegible] [illegible], [illegible] Bóg go [illegible] a [illegible] wiwa.

[illegible] nie [illegible] żadnej!
[illegible] żadnéj!



Występny Syn.

6

GRZESZNI RODZICE

I

WYSTĘPNE DZIECI.

Zła macocha i pasierby.

Małgorzata i jéj syn Pietrek.

Małgorzata. Co też to i za rak taki zatracony! Gadam mu żeby w pole pognał, a to legło za chałupą i śpi. Nie pożeniesz mi ty zaraz, urwisiu! Żebyś się roztrzasło, powiadam!

Pietrek (płacząc). Kiedy mnie też tak uzięblia Matusiu, że mnie ledwo nie zmroziło, jakem na południe przyganiał. Gdybyście mi to dali jakie buciska i odziać się choćby czém?...

Małgorzata. Widzisz! będę mu dawała próżniakowi buty, coby je zdarł przed zimą! na to ja pracuję, żebym ci buty sprawiała? Weź łoptuszę *) i żeń.

Pietrek (płacząc coraz głośniej). Oj, moje nogi kochane! Mój Boże serdeczny! kiedy ja też na nic uziębnę a o te buciska tatusia co mi ich niechcą dać.

*) Płachta używana do noszenia trawy.

Jadwiga (sąsiada) **Małgorzata, Pietrek.**

Jadwiga. A o cóż ty tak wrzeszczysz Pietrek, czy cię matusia zbili?

Małgorzata. Kéj go tam zbiłam, tylko gadam żeby gnał w pole, a to takie nieudarne beczy, a mówi że go uziębia i butomby rado.

Jadwiga. Oj zimnoć Margośko, zimno! i ja mojemu dała buciska dziadkowe, bo oni tam niewychodzą z chałupy, to się bez obówia obejdą, a chłopka w polu setni umrozi.

Małgorzata. Niech tam rak uskwierknie, albo to mój? tylko gospodarzów z pierwszéj. *)

Jadwiga. Kiedy widzicie że to grzéch, bo ogromnie choć i ksiądz na kazaniu nastaje, jak kto sierocie nieprzymierzając krzywdę robi. Oj, nasłuchałam ja się na Kalwaryi na odpuście, co miał kazanie Reformat z Krakowa. To tak moiściewy ręką

*) **Pasierb, z pierwszej żony.**

odkazywał, a tak pięścią bił na to, jakby kto albo sierotę pomstował, albo krzywdził Aż okropa była słuchać!... „Nie będziecie, (gadał) w niebie, jak miasto uczyć dzieci pacierza i pracy, przeklinacie je i złego ich uczycie.“

Małgorzata. Ja go tam nie przeklinam na prawdę, tylko że taki rak nieusłuchany, żebym go nieżałowała choćby go i pan Bóg zabrał!.... Widzicie, choć i teraz to jeszcze nie pognał, ale stoi przed chlewem. Poczekajcież Jadwiga, tylko mu zapowiem. (do Pietrka). Jeszcześ to nie pognał?... Ej, jak pochwycę kija, to cię zbiję aż cię kaci wezmą! słyszysz ty parchu przejęty! Będziesz widział czy ci dam wieczerza!

Małgorzata i Jadwiga.

Małgorzata. Ja tam widzicie Jadwiga, żem okrutnie miłosierna na te dzieciska jak które choć z tych pasierbów robi. Kaśka gdy przyniesie z pańskiego pięć albo i sześć czeskich, a czasem i siedm, to jéj

nieżałuję ani polewki ani innéj strawy, a kupiłam jéj też wstążkę na kiermaszu za 10 gr. Tylko temu Pietrkowi tom już taka nie rada!

Jadwiga. A widzicie jak to Wojtkowa ma pasierbów i to jeszcze zuchwałych, a jak o nich dba. Do kościoła to wszyscy z książkami chodzą.

Małgorzata. Mój tam pasierb to i pacierza nie umié, tylko tyla co się przeżegna, bo nijakiej nie ma pamięci.

Jadwiga. A uczyliście go?

Małgorzata. Nie uczyłam go tam dokumentnie, ale pokazywałam z parę razy, ale rak niepojętny... niechżetam!

Jadwiga. Oj, to macie okrutny grzech Małgorzato, bo nawetby was ksiądz nie rozgrzeszył, jakbyście się słuchali, choćby u ladajakiego księdza. Na to nasz proboszcz, to już taki ostry, powiadam!!... Raz spotkał moją Marynkę, a ona mu się pokłoniła ale niepochwaliła pana Jezusa, to ją zaraz ztarantował, a potem się jéj pyta czy umie pacierz?... Dziewucha zwyczajnie jak głupie tak się zalękła, że jéj się w pacierzu

pomyliło. To zaraz mnie kazał wołać przez grubarza abym przyszła;... dopiero tak do mnie mówi: „Jak wy to dzieci chowacie, co ich pacierza nie uczycie? Miasto je chować na chwałę Boską i na pożytek dla kraju i wam na pociechę, to je chowacie na łajdaków i dla piekła! Matko! (powiada) będziesz Bogu w odpowieści za twoje dzieci, i za ich duszę przed panem Bogiem, a sobie gotujesz okrutne zmartwienie na starość, bo jak wychowasz dziecko twoje na bydle, bo cię w starości to bydle podepcze i pobodzie i będziesz płakać całe twoje życie i na wieczność.“ Powiadam wam, że się tyle nagadał i naswarzył, com się mu nawet na próżno i spraszała.

Małgorzata. Nie mówię tam, kiedy kto ma swoje dzieci, ale jak pasierby, to cóż mi tam?

Jadwiga. Jeszcze gorzéj widzicie z pasierbami, bo swój jak dorośnie, to ila tyla uważa czasem na matkę, a pasierb to złe pamięta, i będzie się mściło jak dorośnie. Jak na to mówiąc Janek, co macochę poprał i wypędził z chałupy i musi komo-

rą siedzieć. A jak ja za łeb włoczył, to walił pięścią a gadał: „masz za moją krzywdę, com się od ciebie nacierpiał. Podwodziłaś na mnie przed tatusiem, pomstowałaś na mnie i przeklinała, oglądałaś się na moją śmierć, a teraz twoja śmierć będzie. przypadli cieśle co stawiali szkołę i obronili babę, boby jéj był pasierb życia ujął.

Małgorzata. Bo nigdy niewarto iść za wdowca jak ma dzieci, tylko najlepiéj za parobka jak się trafi: Bo z wdowca to zawsze mały pożytek a z pasierbami zagłoba.

Jadwiga. Ujdzie tam i wdowiec, ale jak który! Na to mówiąc, jak by był młodszy, to ujdzie, ale jak stare dziadosko, to juźci że nie warto!

Małgorzata. A mój widzicie, to jeszcze do roboty w polu ulezie, ale co w chałupie to nie wiela zrobi. Tylko o te dzieciska co ich ma aż troje. Już mi się tak przykrzy moiściewy, tak mi się cnie. żebym już poszła na kraj świata, kaj mnie oczy zaniosą!

Jadwiga. Ej, mniejsza tam o cha-

łupę, kiedy w polu podoli. Ale nigdy młodéj dziewce nie obstoi iść za starego wdowca, tylko że z tego majątku coby się kto ułakomił.

Małgorzata. A z tegoć, z tego! Choć nie było tam bogactwa u mojego, bo cóż to na troje pasierbów, a każde chciałoby jeść i odziać się.

Jadwiga. Jestci i rexpens, *) ale też i zarobią.

Małgorzata. Co też Kaśka i Franek zarobili to się z tego zapłaciło podatek, i tę też tam krowę com kupiła niby na siebie, i chustkę i przyjaciołkę, i to dwoje prosiąt, a niteczkę jedne korali i tyla wszystkiego.

Jadwiga. To i tak dużo zarobili, kiedyście tyle nakupowali.

Małgorzata. Bo się ich też to co dzień źga na to pańskie.

Jadwiga. A Pan we dworze, przyjmująto takich paprów.

Małgorzata. Jużci muszą jak im

*) Wydatek.

trzeba, pójdzie to do dworu kto inny, tylko takie wybiórki, co ich się z chałupy wyżenie? Ten nowotny Pan to ladajakiego próżniaka przyjmie, bo funduje, to mu gwałtem trzeba ludzi do onych fabryk i potem do stawu. Choć się tam nawydziwia, to potem przyjmie i małego do roboty.

Jadwiga. Do mularzy, to tam zawsze jedni chodzą, ale do żniwa to takich, przyjmowali co ledwie sierp uniosło, aże z grzechem takiego do roboty posyłać co nijak nie podoli.

Małgorzata. Niechże tam, kiedy mu płacą. Do chłopa to się nie posyła, boby chłop nie przyjął, ale do dworu to nie ma grzechu. Kiedyś to mój posłał we święto starszego chłopaka w ziemniaki pańskie, aby podebrał kilka grządków, a ja do mojego mówię: Może i grzech we święto kraśdź? i sam chłopiec się też wagował: a mój powiada: „Głupiaś czy to na swoim tylko na dworskim, przecież niema grzechu!“ A ja mu rzeknę: kiedy się w kościele nabożeństwo odprawuje: a on

mi na to; „To też nikt go nie uwidzi, bo dworscy popochodzili do kościoła.“

Jadwiga. Oj, straszeczny grzech macie przed Bogiem, bo Jegomość to na to zgorszenie, to już najbardziéj narzeka. Jakby na to mówiąc, i sam człowiek grzeszył, albo dziecko na to pociągał. Już tak Jegomość przykazuje, tak się gniewa, że powiada, iż nigdy Pan Bóg rodzicom nie odpuści co dzieci do złego namawiają.

Małgorzata. Ja mu tam nie kazowała, tylko Ojciec mu kazował, a jeszcze go skłał że mało przyniósł: a chłopczysko zwyczajnie jak głupie bało się i tylko pięć grządeczków podebrało, ale prawdę powiedzieć, to się tém człek i nie pożywił, bo ziemniaki poźno we dworze sadzili i jeszcze młodzizna.

Jadwiga. Jabym tam wolała mrzeć głodem jak paskudować, jeszcze w Niedzielę.

Małgorzata. O paskudowanie to nic, bo każdy na dworskiem urwie, tylko o Niedzielę!

Jadwiga. Szkoda tam i pana, bo on nikomu nijakiéj krzywdy nie robi.

Małgorzata. A wyżyłby to człek ze swego, oj, nie wyżyłby nigdy na świecie.

Jadwiga. Już pójdę, bo mam płoskonki zamoczyć.

Małgorzata. A to najlepiéj zamoczcie tam kéj i moje, w téj rzeczce co do stawu idzie.

Jadwiga. Ej niechcę, boby ryby w pańskim stawie na nic wyzdéchały.

Małgorzata. Niechże tam wyzdéchają, ja tam zawsze moczę, choć zakazują.

Jadwiga. Zostańcie z Bogiem, ale co prawda to mi się wasza mowa nie podoba. Jabym się tam bała jakiego nieszczęścia.

Małgorzata. Co mi tam?!

Małgorzata, Franek.

Małgorzata. Dopiero cię to puścili z pańskiego? już przecie przedzwonili chwilkę! przyniósłeś pieniadze?

Franek. Późno Okumon rozdawał

kwitki a sam pan płacił, ale mu się zmyliło i wziąłem dwa razy.

M a ł g o r z a t a. To dobrze kiedy wziąłeś więcéj, dajże mi pieniądze.

F r a n e k. Ja wam Matusiu nie dam tylko za dzień, a tamte co drugi raz pan zapłacił to sobie schowam na nóż, bo mi też trzeba, a nijakiego niemam kozika, choćby czasem w potrzebie kołka przystrugać.

M a ł g o r z a t a. Nie będziesz za nie noża kupował, tylko mi je oddaj, bo ja na was pasierbów nie będę pracować.

F r a n e k. Kiedyście na nie nie pracowali, bo jakby je na drodze znalazł.

M a ł g o r z a t a. Oddaj mi je po dobroci, bobym cię kopaczką ciupnęła i jeszczebym przed ojcem powiedziała.

F r a n e k. To sobie je tam weźcie, niech zostaną na waszém sumieniu.

Jacenty (mąż Małgorzaty), **Małgorzata, Franek.**

Jaccnty. (wchodzac) O cóż wy się tu wadzicie?

Małgorzata. A bo już wasze dzieci chcą nademną przewodzić. Najgorzéj powiadam mieć pasierbów, bo się tylko człowiek na nich napracuje, a te psiewiary jeszcze ci nagębują. Żebym sobie była poszła za parobka tobym téj zagłoby nie miała.

Jacenty. (do Franka) Co ty masz parchu przejęty nad macochą przewodzić? (bije go) Masz!.... Ja ci łeb roztrzaskam, ty swiniarku, hyclu!

Franek. (płacząc) Kiedy mnie o nic Tatusiu bijecie, bo ja ani słowa Matusi nie rzekł, odebrała mi pieniądze co Pan naddał i tyla.

Małgorzata. Nie rzekłeś mi? nie rzekłeś? widzicie!! a nie chciałeś skręcić pieniądze na kozik? nie chciałeś? Swarzył się zemną a jeszcze łże. (płacze) Że ja teżto taka nieszczęśliwa com za wdowca poszła!!

Polowy, Jacenty, Małgorzata, Franek.

Polowy. Poseła mnie tu pan do was, bo się zmylił i dwa razy Frankowi zapłacił, cobyście oddali sześć czeskich.

Małgorzata. Jako żywo, przecież mi tylko Franek oddał za dzień.

Jacenty. (do Franka) Wieleżeś oddał pieniędzy?

Franek. Dwanaście czeskich było wszystkiego.

Polowy. A więc widzicie, że pan dobrze ma, kiedy się upomina.

Małgorzata. Ale kiedy łże jak pies, rak zatracony, bo mi oddał tylko sześć czeskich. Co teżto i za hycel taki? . . .

Polowy. Pójdziecie tam sami do pana na sprawę, bo ja was nie zgadnę — kto was tam wie, które cygani?

Małgorzata. Ja tam do dworu nie pójdę, bom nie wzięła tylko sześć czeskich, jeśli Franek wział to niech idzie.

Franek. Przecieżeście mi Matusiu odebrali.

Małgorzata. Łżesz złodzieju, bodajś pękł, codaj cię choroba zatłukła, ty porwisiu hyclowski (płacze.) Co ja też za nieszczęśliwa z temi pasierbami? Potrzeba mi to było tego, żeby iść za wdowca, a teraz mieć tyle turbacyi z jednym albo i drugim rakarzem.

Polowy. Oj, babo, babo, żebyś ty moje dzieci tak pomstowała, tobym ci dopiero, pysk zawarł, cobyś go nigdy nie otworzyła!

Małgorzata. Może? zawarlibyście mi, a jakże? Dałabym sobie to zawrzyć? Gorzejbym ja wam zawarła! A cóż wy macie cudze dzieci bronić, i nos wściubiać między stadło? kiedyście tu przyszli po interesie, to sprawcie co macie i idźcie sobie swoja droga. Patrzaj go? pyskby mi zawarł? Zawierajcie waszéj babie, kiedyście tacy madrzy, ale nie komu. Jaki mi, dworski sługa, co pańska miskę oblizuje! Swiniarz diabelski!

Polowy. Szczekaj, szczekaj czarownico! będziemy cię w wodzie pławić, boś te-

go prôbant, jakeś się na przetaku przez wisłę przewoziła.

J a c e n t y. (do polowego.) Co ty tu masz dogadywać mojéj żonie, ty dworski porwisiu, jakbym złapił cepaka tobym cię tak zmłócił!....

P o l o w y. Tyś sam porwiś, boś ukradł panu sześć czeskich co dał dwa razy.

J a c e n t y. Kto ukradł? ja?

P o l o w y. A ty, albo twoja baba!

J a c e n t y (rwiąc się bić polowego). Ja cię tu uśmierce hyclu, co ani wstaniesz.

P o l o w y. Jak cię włeb jeno raz udrę, to ani dychniesz.

M a ł g o r z a t a. (przed chałupą) Gwałtu! gwałtu, zabijają mi mego chłopa.

Sołtys, Polowy, Jacenty, Małgorzata, Franek i sąsiad **Onufry.**

S o ł t y s. Cóżto za gwałt robicie, jakby was kto ze skóry obdzierał!! O cóż to?!

J a c e n t y. Bo polowy mi się jéma bić.

P o l o w y. A nieprawda bo wyście mi się jemali.

Małgorzata. Łżesz jak pies dworski powisiu, boś ty nas chciał pozabijać.

Jacenty. Wmawiałeś we mnie złodziejstwo.

Polowy. Słuchajcież Sołtysie jak to było? —

Małgorzata. Ja powiem jak było. Ty nie będziesz gadał tylko ja będę gadać.

Polowy. Babie się do tego nie wrażać.

Małgorzata. Będę się wrażała za moją prawdę.

Jacenty. Gwoli sześciu czeskich od pana przyszedł, co ani słycham!

Polowy. Ale wasza słycha.

Małgorzata. Ani słycham, gotowam przysięgać mnie słuchajcie Sołtysie!

Sołtys. A przecież wszyscy razem niewrzeszczcie!

Onufry. Narobiła baba gwałtu! myślałem że gore a to o kiepstwo, co i nie warto słuchać, pójdźcie Sołtysie próżnoście się trudzili.

Polowy. O, tak nie będzie! muszą nas rozsądzić kiedy tu już przyszli, bo miałem

iść do nich. Oto tak: robił Franek we dworze:

Małgorzata. Ja będę gadać, a ty stul pysk zabijaku!

Sołtys. Polowego najprzód wysłucham, a potem was.

Polowy.... Tak mu pan dwa razy zapłacił co się pomylił, i posłał mnie odebrać sześć czeskich a ona zapiera.

Sołtys. A komuż pan zapłacił?

Polowy. Frankowi.

Sołtys. Wieleżeś Franku odebrał? a wieleś zarobił?

Franek. Po sześć czeskich tam płacili dzisiaj.

Sołtys. A wiele miałeś od pana?

Franek. Było ze dwanaście czeskich.

Małgorzata. Łżesz rakarzu przejęty, co nawet rachować pieniędzy nie umiesz.

Sołtys. Masz te pieniądze?

Franek. Nie mam, bo matusi wszystko oddał.

Małgorzata. Nieprawda, nie oddał mi.

Jacenty. Ja ich na oczy nie widział.

Małgorzata (bijąc Franka) Poczekaj hyclu! nie dam ci jeść ani jednego ziarnka, i wypędzę z chałupy. Co ja też za nieszczęśliwa, com za wdowca poszła, i teraz za tych pasierbów mam cierpić.

Sołtys. No, oddajcie pieniądze, bo już miarkuję całą sprawę.

Małgorzata. Jako żywo, nie miarkujecie bo Franek chciał te pieniądze skręcić na kozik, a ja mu nie dała.

Sołtys. Więc widzicie że są naddane pieniądze a zapieracie.

Małgorzata. Cóż tam o te *kiepskie* sześć czeskich *to* i nie warto. Ja więcéj nieraz zarobiłam we dworze jak te sześć czeskich.

Sołtys. Ale wam zapłacili?

Małgorzata. Nie wiela tam i zapłacili. Oni téż komu płacą w tym dworze?!

Polowy. A zatrzymali choć grosz komu? gadaj!

Małgorzata. Nie będę gadać, jak mi ty kazujesz, tylko jak mi się upodoba.

Sołtys. Oj, szelma prawdę mówiąc z was baba, próżniak złodziej, a jeno w py-

sku. I męża krzywdzicie i pasierbów na złe naprowadzacie. Jeszcze téż takiéj psiéj baby anim uwidział jak wy!

Małgorzata. A to nie prawda co gadacie Sołtysie, bo są jeszcze gorsze we wsi a nic im nie mówicie!

Sołtys. Już teżto Jacek głupi, że sobie na swoje lata takiego łajdaka pojął, coby się z nią djabeł nie ożenił.

Małgorzata. Nie ożeniłby się, diabeł? nie ożenił? Jabym też była wolała bodaj jakiego chłopa jak tego niezdarę co ma ogromny grzech na sumieniu swoim, bo Franka w wielkie święto, bo w Niedzielę, na kradziestwo wysyłał, w pańskie ziemniaki. Taki on jest, z dzieciskami swemi co są jak zbuje. Na mnie instygują a sami są złodzieje.

Jacenty. Łżesz, bo to nie prawda.

Małgorzata. A prawda, niech powie Franek chociaż wasz syn. Gadałeś na macochę, to gadajże teraz prawdę na rodzonego.

Franek. Ja tam nie wiem.

Małgorzata. Nie wiesz hyclu!...

Coś przyniósł ziemniaków w opałce? co ja gotowam na to przysięgać.

Franek. Przysięgajcie sobie tam, ale ja nie wiem.

Sołtys. Poźniéj o tém będzie sprawa, a teraz oddajcie polowemu sześć czeskich. —

Małgorzata (oddając). Żeby się niemi udławił zbójnik, żeby mu na nieszczęście wyszły.

Sołtys. Kiedy kradniecie, i dzieci kraść uczycie, a jeszcze pomstujecie, i robicie obrazę pana Boga, więc *musicie karę* odebrać, bo jak *czego nadto to* i grzech. Oskarżę was do powiatu a popamiętacie sobie, że za to przekleństwo i złodziejstwo urząd was ukarze.

Jacenty. Ej, wybaczcie Sołtysie, zwyczajnie głupia baba, nie wie co gada.

Sołtys. Nie przebaczę a i wam się dostanie, że i wy się dacie na złe przez babę nawodzić, i dzieci gorszyć.

Małgorzata. Oj, co ja też to za nieszczęśliwa com za wdowca poszła bodaj te pasierby skapały, bodaj się zatraciły.

Sołtys. Za to co gada cie, weźmiecie jeszcze sroższą karę.

Co się z Jacentym, Małgorzatą i dziećmi stało?

Oj, źle się moi ludzie stało, bo jak Franek dorósł, to złym przykładem rodziców wiedziony, kradał po chałupach, aż go wzięli do kryminału, a ten młodszy Pietrek, to błędu w głowę dostał, bo go raz macocha uderzyła kołkiem w ciemię. Kaśka gdzieś daleko poszła w służbę, a w krótce potem, Jacenty z turbacyi umarł, Została sama Małgorzata na gruncie, ale sobie rady dać nie zdołała, bo ani czeladnika ani dziewki do służby dostać nie mogła. Nikt ani jéj zaorać w polu, ani dopomódz nie chciał, każdy z daleka ją obchodził jakby jaką zarażoną od morowego powietrza. A kiedy ona płakała, to sąsiedzi między sobą gadali: „Płakały pasierby na ciebie i utyskował twój chłop, ażeś go o śmierć przyprawiła, to cierp teraz i pokutuj.“ Dość na tém że pole takie

doskonałe i którego było 14 Morgów leżało odłogiem, a nawet na chleb nie miała. Musiała sprzedać krowę, korale, i aże szmaty z siebie aby się wyżywić. Zarobić też nie mogła, bo we dworze pan zakazał ją przyjmować, a żaden gospodarz ani za darmo by jéj do roboty nie przyjął. Chałupę spustoszyła, szczepki z ogrodu wykopała, i wszystko na psa wyszło. Potem zabrała się i poszła w świat prosić chleba, tam aż za Wisłę, gdzie jéj ludzie nie znali, bo w pobliżu niktby jéj był nie dał. i jakoś w rok potem przyszło pismo: „Że żebraczka imieniem Małgorzata, znaleziona została umarła pod płotem, gdzie z głodu i zimna uskwierkła.

Po trzech latach wyszedł Franek z kryminału i poszedł wprost do Księdza Proboszcza, zaręczając, że już kraść nie będzie, ale że się chce uczciwie prowadzić! Zeznał także, iż do złodziejstwa przykład rodziców był mu powodem, ale że dziesiątemu ojcu i matce powie, jak to źle namawiać dzieci do łgarstwa i kradzieży. Ksiądz Proboszcz ulitował się nad nim,

i powiada: „Nie wyrzekaj już przeciw ro-
„dzicom którzy są w grobie, ale owszem
„módl się za nich aby im Pan Bóg odpu-
„ścił. Prowadź się i sprawuj dobrze, a
„jeszcze możesz wyjść na człowieka. Pra-
„cuj, dorabiaj się od małego do większego,
„uczciwie i bez niczyjéj krzywdy, a gdy
„się przekonam że chcesz wiernie Bogu
„służyć i twoją ojcowiznę uprawiać, to i ja
„ci dopomogę, i pan cię poratuje.“

Jakoż Franek się poprawił i wyszedł na dobrego gospodarza, a każdy mówi: „Za młodu to był porwisz, ale teraz; to mu nikt oka nie zapruszy, bo się dobrze i uczciwie rządzi.“

Niedbali Rodzice.

Mały Janek we dworze. (*

Janek. Przyszedłem też tu, abyście mi dali jeść, bo mi się bardzo jeść chce.

Pan. A cożeś ty za jeden chłopcze? z kąd jesteś?

Janek. Ja tutejszy od Maćka od C...

Pan. Więc masz rodziców?

Janek. Mam matusię, a tatuś tam gdzieś na flisie.

Pan. A dlaczegoż cię matusia nie żywią?

Janek. Bo mi mówili, abym poszedł do dwora, coby mi dali chleba, bo mi się bardzo jeść chce.

Pan. A cóż matusia robią?

Janek. Nic nie robią, cożby mieli robić? siedzą.

Pan. Czy nie mają gruntu?

Janek. Kej tam nie mają, mają ale mi powiedzieli że mi nic jeść nie dadzą,

*) Rzeczywiste.

tylko abym sobie uprosił, i siostrom też tak powiedzieli.

Pan. A wieleż jest was dzieci?

Janek. Będzie nas tam ze siedmioro.

Pan. I żadnemu z was rodzice jeść nie dają?

Janek. A żadnemuć.

Pan. Tylko jak?

Janek. Tylko tak, że na wieś wypędzą albo poślą do dwora, abyście nam dali.

Pan. To tak wygodnie, nieprawdaż?

Janek. Albo ja wiem? Tylko mi też dajcie chleba, albo jakiego jadła.

Pan. A ojciec o was nie dba?

Janek. Co tam o ojca, kiedy go nigdy nie ma.

Pan. Umiesz ty pacierz?

Janek. Kéjbym tam umiał!

Pan. Wiesz kto cię stworzył?

Janek. Nie wiem.

Pan. Przeżegnaj się przynajmnéj.

Janek. W Imie Ojca i Ducha Świętego Amen.

Pan. To źle, boś zapomniał drugiéj osoby Trójcy przenajświętszéj.

Janek. Ej, ja tam nie wiem! Żebyście mi też to dali jeść. —

Pan. Cóż ty robisz w chałupie, czy pasasz?

Janek. Nie pasam tam.

Pan. Więc cóż robisz?

Janek. A nic, tylko po wsi łażę!... Bo mi się tak jeść chcę!!

Pan. Każę ci dać chleba, ale późniéj musisz co robić, choćby gęsi pasać. Czy dobrze?

Janek. Ja tam nie wiem. Matusia mi kazali co dzień do dworu chodzić po chleb.

Pan. Tak ci kazali? To dobrze, ale Sołtys się zapytaja matusi, dla czego ona ci chleba nie daje?

Sołtys we dworze.

Sołtys. Po coś mnie podobno pan wołał?

Pan. Oto wołam was mój Sołtysie,

bo jest prawdziwa obraza pana Boga, iż ci Maciejowie zupełnie dzieci swoje zaniedbują. On podobno na flisie, a tu zostawił siedmioro drobnych dzieci, które umierają z głodu i nędzy. Ani to koszuliny nie ma na grzbiecie, ani pożywienia. Włóczą się po całéj wsi, i tutaj przychodzą, mówiąc że im matka każe do dworu po chleb chodzić.

S o ł t y s. To niech Wny pan nie daje próżniakom i będzie!.. Ja już i niewiem co na to powiedzieć bo i baba próżniak i łajdak i on ciągle światem goni i ani go ujrzyć w chałupie. Grunt i chałupa stoją pustkami, i takie tam już od dawności łajdactwo. Jegomość przykazywał kilka razy onéj, aby o dzieciach miała staranie, ale cóż tam pomoże, kiedy się choć takie nie da namówić do dobrego, tylkoby trzeba kijem popychać, a któż tam ma czas na to?. Mam ja to czas, za jedną babą chodzić?..

P a n. Ale jakiż temu będzie koniec?.. Przecież te dzieci nie mogą zostać pastwą nędzy, trzeba koniecznie o tém pomyślić!..

Ja wezmę jednego chłopca na moją porękę i już go będę we dworze chował, ale starajcie się, aby i inni zamożniejsi gospodarze wzięli ich choć na pastuchów. —

Sołtys. Kiedy Wny pan chce jednego wziąść to dobrze, ale powiedzieć prawdę, to tak u nas jest: że na lato do pasania to każdyby wziął choćby jakiego próżniaka, ale cóż kiedy na zimę go odpędzi, i dziecko znowu łazi po wsi i chleba prosi.

Pan. Ale to jest nieludzkie, to jest grzech, krzywda wyrządzona sierocie o pomstę do nieba woła.

Sołtys. Tak tam już jest z dawności i nie od dzisiaj ani nie od wczoraj.

Pan. Ale ja się udam o to do pana Naczelnika.

Sołtys. Jużci najlepiéj udać się do rządu, ale przyniewoli to i rząd gospodarza aby czeladnika trzymał, kiedy mu jest niepotrzebny?

Pan. Oczywiście, iż przyniewoli, bo skoro pracował mu w środ lata, to żywić go musi przez zimę.

Sołtys. Ale kiedy nie tak jest, bo pasielak nie jest na rok godzony tylko weźmie się go i jest tam i jest, dopóki się bydło pasie.

Pan. A potem nago puszczą go na śnieg i mrozy?

Sołtys. A jużci bywa i tak!...

Pan. Zawołajmy tę wyrodną matkę, może jéj jako we dwóch trafimy do sumienia. Co myślicie Sołtysie?

Sołtys. Można tam i zawołać, ale wiem że z tego nic nie będzię, bo to psiawiara zwleczona i wierutny próżniak. —

Pan, Sołtys, Maciejowa.

Pan. Kazaliśmy wam tu z Sołtysem przyjść do dworu, aby się z wami rozmówić o te wasze dzieci, które psy po wsi drażnią. Jakież macie sumienie, abyście własne dzieci w takiéj nędzy zostawili, czy się Boga nie boicie?

Maciejowa. Cóż im mam robić? co? kiedy sama nie mam się czém pożywić, tylko tyle co uproszę. Chłop światem goni, a ja głupia teraz została.

Pan. Ale to zbrodnia, występek. zaniedbywać tak dzieci swoje: żadne z nich ani pacierza ani przeżegnać się nawet nie umié.

Maciejowa. Któż je tam ma uczyć? mam ja to na to czas?

Sołtys. A cóż wy kiedy robicie? nigdy was przy nijakiej robocie nikt nie uwidział.

Maciejowa. Choć nie robię, to idę uprosić, z czegożbym żyła?

Pan. A z pracy!... Cóż to taka młoda kobieta jak wy, nie może to zapracować?

Maciejowa. A kejże mam robić, albo u kogo?

Pan. Poczekajcież!... przykażę ja Ekonomowi. aby was dzień w dzień do roboty przyjmował.

Maciejowa. Ej, dziękuję Wmu panu, ja tam nie podolę bom ja na to słaba.

Pan. Jakto tyla baba, wyście zaś słabi? chyba żartujecie.

Maciejowa. A nie żartuję, nie, bo ja nie jest mocna choć tak wyglądam na

mocna. Oj, nie jestem ci mocna, nie,.... ja pracy niepodolę, bo mnie zaraz ręce bolą.

Sołtys. Oj kija, a dobrego ułomać na ciebie, tobyś tu zaraz skrzepniała!... Widzi Wny pan, to taka!...

Pan. Niegodziwa matko! pamiętaj iż za dzieci twoje Bogu odpowiedzialna jesteś. Nie zasługujesz aby kto się nad tobą litował, ale litości godne są twoje nieszczśliwe dzieci. Dla tego do dworu biorę jednego chłopca a o innych z Sołtysem pomyślimy, ale pamiętaj iż ty masz wielki grzech.

Maciejowa. Ja tam Wmu panu nie bronię wziąść choćby i wszystkie. One mi tam niepotrzebne na nic.

Pan. Potrzebne ci są na sąd Boski, bo jak ci się Bóg zapyta coś z swemi dziećmi zrobiła, jakeś je wychowała, czyś ich uczyła chwalić pana Boga, na chleb uczciwie pracować?... cóż ty powiesz... mówże, co powiesz?...

Maciejowa. Albo ja tam wiem, co będę gadać?..

Pan. Otoś gorsza od bydlęcia, bo bydle albo i suka to dba o swoje dzieci, i

choć głupia kura to wodzi kurczęta, i wróbel karmi w gniaździe swoje pisklęta a ty wyrodna matko, dzieci twoich się wyrzekasz.

Maciejowa. Niechże tam!... Ja temu nie podolę.

Co na wsi o tém mówią.

Kuba. Była Maciejowa we dworze i tak jéj tam pan gadał do sumienia, i Sołtys tak na nią powstawał o te dzieci. —

Jawiga. Mówią że wziął pan jedno do dworu i sprawił mu odzienie, a dziewki pacierza go uczą.

Kuba. A i dobrze zrobił, bo będzie już miał swojego pastuchę.

Jadwiga. Ej, widzicie on go tak więcéj wziął z miłosierdzia, bo cóż tam małe tyle zjé co i duże, a przecież téj pracy niepodoli co duży.

Kuba. Jak podrośnie to podoli. Jabym go sam był wziął. —

Jadwiga. A czemużeście nie brali?.. To weźcie drugie, jeszcze ich jest sześcioro.

Kuba. Ej, niechcę, co mi tam brać na zimę.

Jadwiga. Ale teżto i matka taka!

Kuba. Czy to ona jedna taka? Jest tu takich więcéj!

Bazyli. Cóż macie do niéj, choć do Maciejowéj? Każdemu rodzicowi albo rodzieielce, wolno jest czynić ze swojém dziecięciem co mu się żywnie podoba. Ciekawość co pan miał za prawo na to mówiąc wydziwiać nad włościanką, która jest gospodynią na roli, jako jest zapisana w kadastrze, i płaci podatek tak jak i każdy?!,.

Jadwiga. Alboż jéj to źle mówił? przecież dobrze jéj mówił.

Bazyli. Czego wy macie na to mówiąc Jadwiga pana bronić, kiedy ani warto w żadnym przypadku albowiem pan już niema do nikogo nic, ani mu się wtykać niewolno w gromadę. Jabym jej powiedział jakby mogła rzec, coby się pan ani spodział. —

Jadwiga. Ej idźcie, idźcie, zawsze byście ludzi kłócili! Wzięli do dworu chło-

paka, a dają chleb téj biedzie co chodzi po prośbie i źle to?

Bazyli. Jeżeli wzięli, to na służbę wzięli a nie z łaski, i jeszcze Maciejowa uczyniła wielką łaskę panu, że swoje dziecie do dworu ofiarowawała, a że chleba ukroja chudakowi, to i ja ukroję albo i moja.

Jadwiga. Wybyście też komu ukroili? Niepokaże się to na was! ukroicie ale jak wam zapłacą i to z lichwą.

Kuba. To, bo prawda, że tam twardszego człowieka od was niema w całéj wsi. Nawet się was czeladź trzymać niechce, co tak każdemu żałujecie, żebyście od gęby drugiemu odjęli. To też przez to Bóg wam i dzieci nie dał, bobyście je przez chciwość waszą zamorzyli.

Jadwiga. Sołtys mówili, że pan miał całą rzecz opowiedzieć Wmu naczelnikowi. —

Bazyli. To ja sam będę Maciejową w urzędzie bronił, jako świadek niżéj podpisany, przeciwko powodowi, w sprawie o dzieciska, które są z Macieja i Maciejowéj według praw obowiązanych.

Kuba. Wy tylko w to prawo dufacie, a z prawa tam nikt nie utyje, jeno prędzéj uschnie. —

Bazyli. To dla mnie nic! Ja jak napiszę, to tak jest dokumentnie, że choćby co to wykręcę, aby na mojem stanęło. A jakże było z rolą Mikołajową?

Kuba. Jak było? Oto żeście prawo wygrali a duszę przegrali.

Bazyli. Alem wygrał!

Kuba. Wygraliście w sądzie, aleście przegrali u pana Boga. Jużci sąd niemógł inaczéj, bo kwitu od was Mikołaj nie miał ale wam zapłacił.

Bazyli. Niechże tam zapłacił. Ale pisma na to nie miał, a wiedziałem że przysięgać nie będzie, bo on i na prawdę boi się przysięgać.

Jadwiga. Oj mój Boże, mój Boże, co też to i za sumienie takie u drugiego człowieka.

Kuba. Nie wyjdzie wam to nigdy na pożytek, bo to jakby od diabła majątek a nie od pana Boga.

Bazyli. Ej, głupiście wy, ani temu rozumiecie, jak co idzie na świecie. Ja czy-

tałem historją o takim zbóju co okropny zrobił majątek, a diabeł mu dawał, o samém północku i na kępie w sitowiu zostawiał worki, a onże zbój brał. Tak jednego razu . . . Ale muszę was już odejść, bo mam pilno kopać ziemniaki!...

Jadwiga. To już przecież dokończcie historyi, jakże było tego razu? . . .

Bazyli. Chyba mi pójdziecie pomódz kopać ziemniaków, to wam przy kopaniu dokończę.

Jadwiga. Ej, na tę tam godzinkę to wam pomożemy, tylko gadajcie jak było? *Pójdźcie Jakóbie!!*

Kuba. Nie pójdę tam, nie ciekawym plotek. On tylko tak ludzi mami.

Jadwiga. To ja pójdę, a potem i wam dopowiem.

O rok później.

Kuba, Józek i Kasper (przy młocce).

Kuba. I jak się Jegomość i pan ze Sołtysem zakręcili wedle tego tak i roze-

brali te dzieciska Maćkowe. Jedno już u pana od roku służy, i taki się setny chłopak zrobił, a drugie wziął Jegomość, a trzecie wziął Sołtys, a czwarte Bo..... przy kościele, co taki jest miłosierny.

Józek. Mało on to dzieci wychował choć i Bo..... albo i wywianował? Jak jedno wydą, to jedzie do Krakowa po drugie i bierze ich ze Szpitala, niby z Miłosierdzia, i teraz ma taką dziewuchę.

Kuba. A piąte wziął Franciszek z dołu — a szóste wziął ten Jędrek co to gąty rabia — a siódme przyjął Ludwik, chudak co sam ma tyle dziecisków swoich a gruntu nie wiele, jeno tak zarabia, gdzie może końmi albo sobą.

Kasper. A z tychteż bogaczów nikt nie wziął?

Kuba. Ej, kéjby tam który wziął? nie znacie ich to? Im kto bogatszy, tém skąpszy. Zawsze prędzéj chudak chudakowi dopomoże, czy w robocie jakiéj, czy w pożyczce, czy w spłacce, jak bogaty chłop uboższemu. Trzebaby mu zaraz płacić lichwę, i to jaką? Aniby żyd tyle nie wziął.

J ó z e k. Oj to prawda. Choć i ten Bazyli to ci nie da, jeśli mu się od pieniędzy do roboty nieobiecasz.

K a s p e r. Albo i ten kulawy co tyla ma gruntu?

K u b a. Oni tam z Bazylem jedno trzymają.

J ó z e k. Nie wyjdzie tam nigdy na dobre takie łupieztwo i okpieztwo, bo już nie jeden śmiercią przypieczętował, co się na to łakomił. Jak i ten z dołu, co to sierocy majątek zagarnął.

K u b a. Wyprawował *sieroty*, a Pan *Bóg jego lepiéj wyprawował*, bo mu się tak prędziuśko zmarło i odszedł wszystkiego.

J ó z e k. Bo najlepiéj mieć miłosierdzie, a jeszcze nad sierotami jak i ten Bo.... z pod kościoła. Tyle sierot wychował a Bóg mu ogromnie w polu darzy, i u ludzi ma oko i łaskę u Pana Boga.

K u b a. Oj najlepiéj tak, najlepiéj. Dobrze macie, i podoba mi się ta wasza mowa.

Występny Syn.

Tomasz (Ojciec) i Syn jego Walek.

Tomasz. Jabym ci się tam i nieprzeciwił, i zapisałbym grunt na ciebie, ale się też boję, abyś mnie nie krzywdził na moja starość!

Walek. Co się zaś macie bać Tatusiu, kejbym was tam krzywdził, nigdy na świecie! Będziecie sobie gospodarzem do śmierci, a ja będę pod wami; albo sobie wymówicie tyla stajanek co wam się upodoba, i pół chałupy będzie wasze i sień, a moje pół chałupy i kómora. A znowu jeden koń wasz, a jeden mój i będziemy się sprzęgać, i krowa będzie wasza, a jałówka moja, i wasze będzie półwozie. I będę wam w gruncie robił, a wy mi też będziecie chałupy pilnować, i tak będzie.

Tomasz. Byłobyć i tak synu! było! gdyby tak miało być. Ale kiedyś ty choć mój syn, to znam do ciebie żeś bardzo swarliwy a z lada kim się nie zgodzisz. Napłakała się też to choć i nieboszka ma-

tka na ciebie, coś jéj nieraz doskwirknął. Jakbyś się zaś nie miał zemną zgadzać, to lepiéj poczekaj na moją śmierć, a będzie twoje wszystko.

Walek. Z nieboszczką Matusią bo nam najczęściéj o was chodziło. Jak chciała nad wami przewodzić, to ja was broniłem, a wiecie jaka była skwierna.

Tomasz. Jéj tam było wolno jako żonie, ale syn zawsze powinien matkę swoją szanować.

Walek. O to się nie mówi, bo prawda, że każdy syn albo nawet i córka musi swoich ojców szanować. Jabym was też szanował aż do saméj śmierci.

Tomasz. To ja się ludzi poradzę, i zobaczę jak tam z sobą zrobimy.

Walek. Czego się macie Tatusiu ludzi radzić! Dadzą wam to ludzie co, albo i dali kiedy?

Tomasz. Jużci nie dadzą, ale powiedzą jakby było dobrze.

Walek. Co tam ludzie! zwyczajnie jak ludzie, każdy tam powie swoje, a wy zrobicie jak będzie wasza wola. Oto jutro

możemy jechać do urzędu i zrobimy przed Notareuszem albo w urzędzie, i będziecie wy spokojni i ja też. Bo co i prawda, to mówił mi pan ojciec kiedysik: „Wywianowałem córkę i dałem ci ja za żonę i dałem jéj pięć nitek korali, przyodziwę i ośmdziesiąt Złotych pieniędzy, a ty ani gruntu ani chałupy nie masz, tylko twój ojciec wszystko trzyma i na niego zapisane.“

Tomasz. Kiedy tak, i jeśli ci tam ma kto wymawiać to i odstąpię ci gruntu i pół chałupy, i konia i jałówkę, byleś mnie tylko nie krzywdził, na moją starość co cię też wychowałem i żywiłem, i odziéwałem, jakem mógł w takie ciężkie czasy, co niech Bóg broni.

Walek. To pojedziemy Tatusiu jutro.

Tomasz. A jużci trzaby jechać.

W rok późniéj po Zapisie.

Walek i Tomasz.

Walek. Ja tu gospodarz! Moje pole i moja chałupa, a wy tu nic do rządu

nie macie. Jeżeli zebrałem, to swoje a nie wasze.

Tomasz. Bójże się Boga mój synu, nie róbże mi też takiéj krzywdy, bobyś i duszę na wieki zatracił, gdybyś ojca miał krzywdzić, i cóżby ci przyszło z mojéj biedy? Ja też stary, napracowałem się cały żywot na téj roli. Postawiłem chałupę, chlew i stodołę, i to wszystko ci oddałem, a ty mi tak się teraz odwdzięczasz, że mi też chleba odmawiasz i ziemniaka przysadzić nie dasz.

Walek. Pracowaliście, toście jedli, a teraz ja pracuję, to ja będę jadł.

Tomasz. Przecież mi przyrzekałeś połowę gruntu i pół chałupy i krowę i konia i półwozie, a teraz mi nic nie chcesz dać, i zagona pod ziemniaki mi żałujesz.

Walek. Możecie sobie nająć kejindziéj zagon, to będziecie mieć, a ja mojego pola nie dam, ani wam też w chałupie nie dam śmierdzieć, bo mi z niéj dają siedm dukatów a jeszcze biorą tylko połowę.

Tomasz. A kajże ja pójdę, kaj?

na moje stare lata, chyba mi przyjdzie umrzeć gdzie pod płotem?

W a l e k. Idźcie sobie, gdzie chcecie. Macie szwaka, to idźcie do niego siedzieć.

T o m a s z. Ale cóż i ludzie powiedzą, że mam syna któremu za żywota grunt zapisałem, a nie u niego siedzę, ale u obcego, choćby i u szwaka?

W a l e k. Niech sobie tam mówią co chcą. Ja na to nic nie trwam, tylko wam zapowiadam, abyście się z mojéj chałupy wynieśli, bo was przez moc wyrzucę.

T o m a s z. Niech ci pan Bóg wybaczy, ale wielki masz grzech, że na ojca nie pamiętasz, i na stare lata z domu go wypędzasz.

W a l e k. Niechże tam. Ja was darmo żywić nie będę.

T o m a s z. A jużci kiedy tak, to i pójdę. Tylko sobie też dziadoską torbę uszyję, choć z jakiéj starzyzny, i pójdę w świat, a opatrzność Boska mnie i tak wspomoże. Ale choćbyś mnie cierpiał do wiosny, tobym ci oddawał to co użebrzę.

Walek. I waszéj żebroty niechcę i cierpieć was nie będę, tylko się wynoście i kwita.

Tomasz. Mój Boże nie dał mi się ludzi poradzić, tylko wymusił na mnie zapis; jeszcze nie dał sobie nic wymawiać, bo przysięgał, iż mi krzywdy nie zrobi, a teraz zdrajca wszystko zapiera, i tyla co kij dziadowski z chałupę wyniosę. Niech i tak będzie! Bóg mnie tam starego nie opuści, i dożyję do woli Boskiéj, a jak Pan Bóg śmierć przyśle, to i lepiéj! bo cóż mi tam już po życiu?! Oj taki teraz czas przyszedł taki, że w synie to sobie zdrajcę człowiek uchowa. Popsuło się na świecie popsuło, nigdy na świecie tak dawniéj nie bywało!

We dwa lata późniéj (po zapisie.)

Walek. Gwałtu! gore!..... Ratujcie sąsiedzi gwałtu!

Onufry, Franek, Józek, Pietrek, Jędrek.

Onufry. Piorun uderzył w chałupę? Dawajcie osęki!! prędko rozrywać! Józek dawaj wody. Walek! gdzież konewki?

Józek. Ja tam od piorunowego ognia nie będę ratował....

Franek. Może i Bóg zesłał karę za ojca, to Panu Bogu nie trzeba się sprzeciwiać. —

Pietrek. Jeszcze by się ogień na wieś rozniósł.

Jędrek. A potém poradzi to kto temu, kiedy się już cała chałupa pali, a na stodołę przenosi?

Onufry. Jużci trzeba choć ila tyla gasić, i choćby ściany wyratować.

Walek. Zmiłujcież się gospodarze, pomożcież mi też graciska wynosić.

Onufry. No idźcie chłopcy!

Franek. Idźcie wy, to i my pójdziemy.

Jędrek. Idźże ty Franku, bobym i ja poszedł.

Józek. Wleziesz to w ogień? kiedy ani przystąpić!

Jędrek. Juźci, teraz by nie wlazł, bo całe ogarnięte!

Walek. Zmiłujcież się, ratujcie!!

Franek. Ale jakże tu ratować, kiedy się z kretesem całe domostwo pali?!

Walek. Choć tę skrzynkę ciągnijcie!

Józek. O to frachą, ale uniesiemy to we dwóch? nigdy na świecie! Żeby nas było więcéj to nie mówię.

Walek. Oj! nieszczęście moje! Co ja też teraz pocznę? co? tyla majątku na nic, i jeszcze tacy nieużyci ludzie co ich Pan Bóg skarze, że nie ratują bliźniego!...

Franek. Nie wyrzekaj na nas, tylko sam na się, bośmy ci chałupy nie podpalili, tylko Bóg ci karę przysłał, za ojca coś go z chałupy wypędził. Co tu ratować kiedy wszystko się pali jak siarka. Chodźma chłopcy pilnować naszych strzech, bo się wiatr na wieś kręci, trzeba wodą strzechy polewać, a jak wypadnie to i strzechę obedrzyć. My tu już nic nie wystoimy przy ym ogniu; już to zgoreje do całka.

W a l e k. Ciołek ryczy we chlewie, zabaczyłem go spuścić, co ja teraz pocznę, kiedy się i chlew pali?!

O n u f r y. Wyburzcież ścianę od tyłu to go wyprowadzicie. Czekajcie! pomogę wam, nie o was, tylko o Boskie stworzenie, co mi go żal. Pchnijmy dobrze!! Jeszcze raz!! Tak! . . . wywiedźcież go teraz. No! idźma chłopcy zajrzyć ku naszym chałupom. —

Tomasz (jako żebrak) **w pewnym dworze.**

T o m a s z. Doprasza się też ubogi dziadek o opatrzność Boską! Będę też pana Jezusa pięknie prosił! . . .

P a n. Czemuż zaś dziadku żebrzecie kiedyście i nie tacy starzy, i dość czerstwi, a do pracy zdolni, moglibyście sobie jeszcze na chleb zarobić!

T o m a s z. Oj, zdołałbym Wny panie, ale mnie nikt nie chce wziąść do służby żem stary.

Pan. Jeżeli jesteście dobry człowiek, tobym ja was wziął na leśnego.

Tomasz. Oj, byłbym z drogiéj duszy Wielmożny panie i pilnowałbym wiernie pańskiéj pracy.

Pan. A zkądże jesteście? czy macie jakie świadectwa?

Tomasz. Niemam ja żadnego pisma, bo nigdy nie sługiwałem, tylko byłem przez trzydzieści lat gospodarzem na roli, ale potem ustąpiłem synowi roli i tak tam! . . .

Pan. I syn was nie trzyma?... przecież powinien na starość ojca utrzymywać, bo takie prawo Boskie i ludzkie.

Tomasz. A jużci takie.. ale mu tam niechcę zawadzać niech mu tam Bóg szczęści. —

Pan, Jakoś mi się podobacie, i jeżeli chcecie, to dam wam ordynaryi ośm korcy i cztery dukaty na rok zasługi i możecie od jutra osiąśdź w chałupce pod lasem, a potém to i wódkę wam wstawię.

Tomasz. Niechaj Bóg i Matka Najświętsza błogosławi Wielm. panu za to mi-

łosierdzie. Ja będę tak doglądał dzień i noc, że nijakiéj szkody nie będzie.

W kilka miesięcy po tém.

Walek u Tomasza.

Walek. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Przyszedłem was też odwiedzić Tatusiu, a także i na pożałowanie co też taką miałem stratę oj mało na tysiąc złotych pogorzałem i co mówić o tysiącu, ani bym spojrzał na tysiąc złotych, co mi się spaliło.

Tomasz. Jużci szkoda takiego domostwa i takich budynków i całego gospodarstwa!

Walek. I teraz nie mam ani kéj siedzieć, tylko się tak poniewieram, bo i we wsi nająć mi chałupy niechcą, takie nieużyte chłoposka, co nawet nie gasili, chociaż mogliby ratować. Taka to u nas wieś niemiłosierna.

Tomasz. Jużci trudno się woli Bożéj sprzeciwiać, kiedy na kogo pan Bóg

nieszczęście spuści. Ale jakżeś tu do mnie trafił, kiedyś o mnie już od dwóch lat nie wiedział jakeś mnie z chałupy wygnał.

Walek. Ej, wybaczcie mi tatusiu, bo to wszystko się stało przez ludzką namowę, ale nie ze mnie.

Tomasz. Wiedziałeśto kajem jest?

Walek. Mówili tam ludzie, żeście tu są Tatusiu, i że was Bóg opatrzył teraz wielkim majątkiem, takem się też zabrał i przyszedłem was odwiedzić.

Tomasz. Toś po majątek przyszedł? mój Boże! jest tam tego majątku, tyla co człowiek jeno wyżyje.

Walek. Przecieście tatusiu pod lasem tobyście sobie podolili sprzedać na swoja stronę choćby co z hojaków?

Tomasz. O co, taka, to nie idzie. Całe życie, żyłem uczciwie, i z niczyjéj krzywdy się nie dorobiłem tylko z mojéj pracy, to też złodziejem na starość nie będę. Ulitował się pan nademną, choć nad starym dziadem, co się nad nim syn nie ulitował to mu trzeba wiernie służyć aż do końca.

W a l e k. Ja was tam do złego nie ciągnę, ale moglibyście kaj w gęszczu pokazać mi z kiloro drzewek, cobym je sobie spuścił, choćby na jaką budę tymczasem. —

T o m a s z. Ani gałązki nie dam nikomu bez pańskiego nakazu. Kup sobie u pana, leśniczy wycechują, to ci je pomogę ścinać. —

W a l e k. Za cóż je mam kupować? za co? za to com się spalił?... To pana tatusiu żałujecie, a syna nie żałujecie?

T o m a s z. Co było mojego tom ci oddał, choć było z moją krzywdą, ale z cudzego nie będę ci dawał, bo grzech i drugi razby trzasł piorun w chałupę.

W a l e k. Przcież mi też jako radźcie, kiedyście mi rodzic, to mi dajcie pieniędzy na chałupę, a już mi nie pamiętajcie żem się z wami poswarzył, bo to przez nagłość.

T o m a s z. Ja ci tam nie pamiętam, i niech ci i Pan Bóg nie pamięta, ale ci się sumituję jako pieniędzy nie mam, bom kupił sobie na zimę kożuch, to dałem za niego dwadzieścia złotych, i kupiłem sobie

koszule na przewdziewkę, i czapkę i bóty, a reszta na sól, i na mszą świętą też siedm czeskich dałem, do pocieszenia pańskiego jak mi ludzie opowiedzieli o twojéj turbacyi.

Walek. To mi przyjdzie na śniegu, albo na szczerym polu sypiać, bo inaczéj nie będzie.

Tomasz. Choćbym na to mówiąc od pana na zasługi wziął?... (myśli) albo choćbym się życzał u leśniczego?... Jużci chyba tak. To poczekajże! Pójdę ja do pana żeby mi za roczne zasługi kazał drzewa nacechować, tobym mu już cały rok za to służył... Ale może i nieda, bo się od ludzi dowiedział, jakeś mnie z chałupy wyścigał, to ci bardzo nie rad, a powie że takiemu niewdzięcznikowi nie warto! Leśniczy kobyłę kupił ze siodłem to się z pieniędzy wyrexpensował. Darmo, trza iść do pana.

Walek. Idźcie do pana a powiedźcie żeśmy się pogodzili i że wam upadłem do nóg, a tak was przepraszałem. —

Tomasz. Kiedy to będzie fałsz, bo nie prawda.

Walek. A czy się to kiedy panu prawdę gada?.... I nie będzie też żadne fałszerstwo, bo was pięknie przepraszam.

Tomasz. Jużci się ja tam będę sprawszał, to może i co wskóram.

Tomasz we dworze.

Pan. Cóż powiecie Tomaszu? Nie ma tam szkody w lesie?

Tomasz. Niema dziękować Bogu, ale przyszedłem tu z prośbą do Wgo pana, jeno nie śmiem.

Pan. Mówcież, o co chodzi.

Tomasz. Oto, syn mój pogorzał, więc bym mu chciał kupić, drzewa choćby z jakich krzywaków na chałupę. Gdyby więc była łaska Wgo pana za cztery dukaty sprzedać mi lasu, tobym cały rok za to służył.

Pan. Jakto? temu występnemu synowi, temu łotrowi, niewdzięcznikowi, który was z domu waszego wypędził, chcecie drugi dom odbudowywać? A czyliż łotr tego godzien? i czy wreszcie sam nie może

na siebie zapracować, abyście na takiego chłopa robili. Nie mój Tomaszu, tego nie zrobię, bo wolę abyście na wasze potrzeby tych pieniędzy użyli.

Tomasz. Prawda Wielmożny panie, że on nie godzien, ale przecież ja mu jestem ojcem. I my wszyscy zawinnimy na przeciw Bogu, a że Bóg nasz Ojciec to nam wybacza, i zmiłuje się nad grzesznikiem, więc też i ja się ulitował nad mojém dzieckiem.

Pan. Mój poczciwy Tomaszu, dla was to uczynię, i każę taniéj drzewa odcechować; ale nie dla niego, bo on ani wart aby go w czémkolwiek wspomagać.

Tomasz i Walek (na leśniczówce.)

Tomasz. Pozyskałem u pana lasu za moje zasługi i kazał pan za pół darmo odcechować, więc sobie postawisz lepszą chałupę jak ta co zgorzała, ale też za to daj dwa złote na mszą świętą za duszę niebożyczki matki Twojéj.

Walek. Tego wam nie przyrzekam, bo niemam na to pieniędzy, muszę majstra opłacić co będzie stawiał chałupę. Jeśli macie dwa złote, to mi dajcie a ja księdzu odniosę.

Tomasz. To i dam choć ostatnią tę ćwiartkę.

Walek. No, zostańcież z Bogiem Tatusiu, ja tu zajadę lada kiéj z furami po moje drzewo, to mi go pomożecie ścinać.

Tomasz. Niech cię Bóg prowadzi!...

Rok czwarty po zapisie.

Walek u Tomasza.

Walek. Oj, co też to za nieszczęście tatusiu! już się Bog na mnie uwziął i niszczy do ostatka, bo tak się zrodziło na polu, że zagon w zagon aż się kładło; a grad jak przyszedł we środę, to tak z kretesem wytłókł, że teraz pole wygląda jak klepisko nie przymierzając, i ani ziarna ani karmy niebędzie ani zdry. Przyjdzie z głodu umrzéć. Otóż mi ludzie doradzają,

żeby was sprowadzić, i że wy na to jedni u Pana Boga poradzicie. Więc was też pięknie proszę zwyczajnie jako ojca, abyście za służbę panu podziękowali a wrócili do chałupy.

Tomasz. Już tego mój Walku nie uczynię. Choć ja ci jestem ojcem, to znowu ojcem moim jest pan który miał nad starym miłosierdzie. Już mu tu do śmierci póki podolę służyć będę i pracy jego dozierać jakby swojéj. Ja ani pomstuję, ani ci mojéj krzywdy nie pamiętam, ale już do ciebie więcéj niepowrócę, prosiłem ci się abyś mnie choć przez zimę utrzymał a wyścigałeś mnie, więc przyrzekłem panu Bogu, że już nogą moją do twojéj chałupy nie stąpię. Ale cośem miał rzec: Dałeś też te dwa złote na ofiarę za duszę nieboszczki matki?

Walek. Ej, zabaczyłem na śmierć, a co prawda to i wypotrzebowałem te pieniądze na fundacyą.

Tomasz. To ci też to zdradziło i grad na się od pana Boga ściągnąłeś. To ci jeszcze dam jednę ćwiartkę com też do-

stał pniakowego, a daj na ofiarę, aby pan Bóg się zlitował.

Walek. Może macie i więcéj tatusiu, to też dajcie bo mi potrzeba na zasiew.

Tomasz. Nie mam przy mojéj duszy ani grosza.

Walek. To zostańcie z Bogiem tatusiu! —

Rok piąty po zapisie.

Onufry, Jadwiga, Bazyli.

Onufry. Komu to dzwonią Jadwiga?

Jadwiga. A Walkowi, co go poraziło i upadł na progu, a już ani dychnął.

Onufry. Widzicie jak go to Bóg ukarał, a wszystko za tego ojca.

Jadwiga. Za ojca, za ojca i za matkę, bo on i matki za życia nie szanował.

Bazyli. Co zaś mówicie o karze Boskiéj, to był palarusz, *) co go naruszył,

*) Paraliż.

bo się tak nazywa smierć nagła bez przyczyny i racyi.

Onufry. Ej, co wy tam zawsze mędrkujecie mędralo, jużci od kogoż śmierć nagła jak nie od Pana Boga?

Bazyli. Widzicie, że wszelkie stworzenia jak i człowiek na to mówiacy, umiera i chowają go w świętéj ziemi, ale on nie na ojca ani nie na matkę umarł. tylko na palaruż.

Onufry. Ej, głupiście wy, choć madrego udajecie, Bóg skarał Walka ogniem, gradem, a teraz nagłą smiercia, bo matki ani ojca nie szanował, ja lepiéj wyrozumiał jak wy, choć na ksiażkach czytacie.

Jadwiga. Nie spierajcie się próżno Bazyli, bo tak pewno będzie jak Onufry powiadaja.

Onufry. Jużci tak jest; co tam głupstwo! przecież cała wieś o tém mówi.

Bazyli. Niechże tam mówi cała wieś, ale ja wam powiadam że palaruż. Najlepiej dokonacie się z doktora jak przyjdzie na sprewizją. *)

*) Superrewizya.

Onufry. Z tym człowiekiem to się nigdy prawdy nie dokona. Próżna obraza Boska! Oto jaki był żywot Walkowy taka i smierć. Żył jak pies i umarł nagle i bez księdza jak pies, a to że ojca i matkę nie szanował. Pójdźmy Jadwiga! Niech tam Bóg każdego człowieka broni od nagłéj a niespodziwanéj śmierci.

Jaki ma być pożytek z czytania tych trzech historyi.

Oto najprzód taki, iż kiedy Bóg daje rodzicom dzieci, czy jedno, czy dwoje, czy ile tam, to na to, aby rodzice wychowali te dzieci w bojaźni Boskiéj i na jego chwałę. A jakże to zapytacie się wychować dzieci w bojaźui Boskiéj i na chwałę Boską?.. Oto, najprzód dając im przykład poczciwego życia pobożnego, pracowitego, trzeźwego, sumiennego, i ucząc ich poznać pana Boga, przez nauczenie pacierza i katechizmu, który każdy Chrześcianin katolik choć w krótkości umieć powinien, bo go ksiądz

proboszcz co niedziela uczy przy modlitwie. co miewa pod czas kazania, a także i nauczyciel w szkole uczy. Trzeba iżby dziecko najprzód wiedziało że Bóg go stworzył. Jezus Chrystus pan nasz odkupił, a Duch św. oświecił. Także dziesięcioro Boskiego przykazania i pięć kościelnego powinno dziecko umieć na pamięć, aby wiedziało co Bóg czynić przykazuje, a co pod karami doczesnemi i wiecznemi zakazuje. Powinna matka dopilnować, aby dziecko rano i wieczór pacierz zmówiło, a w niedzielę szło na mszą świętą, i kazaniu się przysłuchało. Każdy grzech w dziecku powinni rodzice skarać, bez gniewu i złości, ale dla poprawy i dobra dziecka. Bo na wsi to tak bywa; że rodzice za lada co, zeklną dziecko, pomstują, biją i za łeb targają, n. p. jeżeli garnek dziecko stłucze, albo w rzece miskę źle wymyje, albo wodę rozleje. Ale kiedy narwie karpieli i to w pańskiem polu, albo łąkę wypasie, albo zwędzi żelazko i do chałupy przyniesie, albo patyk przywlecze, to rodzice się cieszą i powiadają: „że

zmyślny będzie chłopak i jedyny na te prześpiegi."

Jak chłopak źle pogania przy pługu, to ojciec klnie go i wydziwia nad nim, a batem go skroi raz i drugi i za łeb go zwłóczy, ale jak od pługa pańskiego wić zkręci, albo jak postronek z chomont pańskich wywlecze, albo lejca utnie i do swoich homont przyprawi, to ojciec mówi: „Już teżto takie swarne chłopaczysko! będzie z niego gospodarz." Słowem: jak grzeszy a Pana Boga się nie boi, to się z niego ojciec spodziewa pociechy, a jak uczciwy i sumienny, to ojciec mówi: „Takie tam już jest nie zdarne od maleńkości, nijakiéj sztuki nie potrafi, ani do niczego niema zmysłu." Oj, mój ojcze i matko! Tak dzieci chowając wychowacie je dla diabła a nie dla Pana Boga, a sobie gotujecie zmartwienie i nieszczęście a nie pociechę i nie pomoc na waszą starość. Jakże chłopak was się ma bać i słuchać, kiedy się Pana Boga nie boi i nie słucha? Jakże ma wasz rozkaz uważać, kiedy na

przykazanie Boże nie uważa. Uczycie go złego a spodziewacie się dobrego. Siejecie chwast, a chcecie zbierać czyste ziarno? — Nigdy, przenigdy, tak nie będzie, bo mówi przysłowie: „co zasiejesz to zbierasz“ a znowu: wy rodzicami waszemi potéracie i czasem broń Boże ojcu albo matce powiecie przykre słowo, swarzycie się z niemi cały dzień, popychacie niemi jak starą szkapą do ladajakiéj roboty, żałujecie im i wymawiacie tę tam łyżkę warzy, a dziecko wasze na to patrzy i uczy się jakto i wam na starość dopowiedzieć, albo wami potérać. Oj takci będzie tak, że wam w dziesięcioro tę krzywdę dzieci oddadzą jaką wy rodzicom czynicie! a będą sobie mówić: „Tak tam Tatuś i matusia z dziadkami memi poczynali, to i my też tak z niemi poczniemy.“ Bo tak przysłowie mówi: „Nieurodzi sowa sokoła, tylko takie jak ona sama.“ Albo: „Jak Kuba Bogu tak Kubie Bóg.“ Albo: nie daleko choć i jabłko potoczy się od jabłoni, czyli, „jaki rodzic, taki i syn.“ Otóż: „Jak sobie pościelesz tak się wyśpisz!“

Wychowasz dziecko w bojaźni Boskiej i uczciwości, to będziesz miał na starość pociechę, pomoc i uszanowanie, a na łożu śmiertelnem skonanie spokojne i łatwe, a u Pana Boga nagrodę wieczną. A jak wychowasz na bezbożnika, na złodzieja, smyka, porwisia. próżniaka, zuchwalca, łajdaka, to będziesz miał nieszczęście, nędzę, niewdzięczność, i przy skonaniu stanie ci przed oczami grzech, iż do piekła a nie do nieba przyczyniłeś jedną duszę w dziecku twojém. Będziesz się na śmiertelném barłogu kręcił, oj najgorsza ta śmierć a po śmierci najstraszniejszy sąd Boski, bo ci się Bóg zapyta: „Byłeś ojcem, a gdzież dzieci twoje? czyliś je dla nieba albo dla piekła wychował?“

„Byliście synami albo córkami, a dla czegóż łza ojca lub matki zaczerniła duszę waszą? Za życia płakali na was rodzice wasi, a przez całą wieczność płakać wy będziecie grzechów waszych, żeście względem nich z wielką obrazą moją byli niewdzięcznemi, niemiłośiernemi, niegodziwemi i występnemi.“

6



Narada Gromadzka..

NARADA GROMADZKA.

Sołtys przysiężni i starsi z Gromady.

Sołtys. Nie ma co, jeno trzeba ich zwoływać!

Radny. A kajż będziemy robić tę gromadę?

Sołtys. Choćby i u mnie przed chałupą?

II. Radny. Ej nie będzie tak, może lepiéj w propinacyi, bo się prędzéj kto zapędzi do karczmy jak do was.

Radny. Wiecie co? oto trzeba iść do Bazylego.

II. Radny. Nie byłoby i tak dobrze, boby nas Bazyli prędziuśko komu sprzedał.

I. Radny. Albo to na jarmarku aby nas sprzedał?

Sołtys. Gadajcież gospodarze gdzie chcecie?!

II. Radny. To niechże mówią Wojtek jako starszy.

Wojtek. Ja tam mówił nie będę, bo mi wszystko jedność.

Sołtys. To wy Onufry?

Onufry. Co mi tam do tego? jak uradzicie tak będzie. —

Sołtys. No, i któż będzie gadał?

Onufry. Niech tam gada kto chce, ja nie jestem pierwszym, ani mi też nic do rządu.

Sołtys. To się u mnie zgromadźcie i kwita.

I. Radny. Nie będzie tak, nie, boby było na nic tylko do Bazylego, albo u propinatora.

Sołtys. Uparliście się z tym Bazylim, a tam nikt nie pójdzie, bo co prawda, to mało kto choć i jemu daje wiary. i jaki taki waguje się, że on niby kręt. Ale to już wielki czas a niceście nie rzekli.

II. Radny. Uradziliśmy, bo najlepiéj w karczmie.

Sołtys. Idźcież sobie kiedy chcecie do karczmy, ale ja nie pójdę.

Onufry. Ja wolę iść do chałupy, jak robić gromadę kiedy nie ma zgody.

Wojtek. Mnie trzeba duchem z pola wozić, to i ja też odejdę.

Sołtys. Co za robota taka, powiadam! Rozłazicie się zamiast gromadę robić. Przecieć ja się za was sam podpisował nie będę, wolę z Sołtystwa podziękować, jak mieć z wami taka turbacya.

I. Radny. No idźmy na wieś i zwołujmy.

Sołtys. Ale kaj, maja się schodzić?

I. Radny. Niech się tam schodza kaj chca.

Sołtys. Czyście ogłupieli?... Jużci im trzeba powiedzieć —

Sołtys, Radni, starsi z gromady.

Bazyli. Podobno, że mamy robić gromadę? podpisuję się na to, jako jest wielka potrzeba tego.

A skoro się i ja od nijakiej sprawy nie wymawiajac, więc proszę Sołtysa i urzad gromadzki do swojego domostwa i wszelkich gospodarzy jacy się we wsi znajduja.

II. Radny. A nie mómiłem że naj-

lepiej będzie u Bazylego, bo on choć jakiej sprawie potrafi, i pismo wyrozumi.

I. Radny. Albo ja się to sprzeciwiał?

Onufry. Mnie tam jedność kéj mi każą!

Wojtek. Kiedy mamy iść, to idźmy,

Sołtys. Ja się też nie upieram, bo wszystko mi równość, czy u Bazylego, czy u kogo.

Bazyli. A więc się opowie gromadzie, aby stawiła się przez zawodu ani defalki na rozkaz urzędu.

Sołtys. Jużcić! tak trzeba *gromadzie* zapowiedzieć.

Bazyli. Jakoż ja sam idę zaraz zwoływać gospodarzy, aby się ich zgromadziło jak najwięcéj i choćby wszyscy co do jednego, bo oni sami uradzą, jak mamy sobie począć w takim interesie jakiego niebyło od pokąd zapamiętam.

Sołtys u Józka a potem u **Wicka i Wacka**.

Sołtys. Pójdzcież Józku, co będziemy robić gromadę.

Józek. A gdzież?

Sołtys. U Bazylego, ale spieszcie się!

Józek. Nie pójdę tam mój Sołtysie, nie, bo niemam czasu. —

Sołtys. Wicku! to wy chodźcie do gromady!!

Wicek. A o cóż to?

Sołtys. A o te pastwiska co pan przeczy.

Wicek. Ej, to sobie tam sami radźcie, ja tam na to głupi. Mnie z tego nic nie przyjdzie chyba tamtym hain od rzeki. —

Sołtys. Wacek! słyszycie, pójdźcież ze mną prędko, bo mamy robić gromadę.

Wacek. Ja się tam niechcę z panem spierać, bo co i prawda to się gromada przy tem nie utrzyma.

Pierwszy Radny,

u Romana, Szymona, Ambrożego.

Radny. Żebyście o tém wiedzieli, iż się zwołujemy na gromadę do Bazylego, a to prędziuśko.

Roman. Nie pójdę do Bazylego, bośmy się nie dawno z sobą poswarzyli.

Radny. A o cóż?

Roman. A o jego cygaństwo, co jest krętacz pierwszy na świecie, jakiego drugiego nie ma!

Radny. Nie wiem czy Szymek jest w domu?

Roman. A gdzież by był jak nie w chałupie, ale on nie pójdzie, bo on się tam nie lubi wrażać w żadne interesa. —

Radny. A Ambroży?

Roman. O Ambrożym, to jak postawicie garniec wódki albo i dwa, to tam Ambroży będą pierwsi do tego!

Radny. Gospodarzu! Słyszycie? Ambroży! jesteście tam?...

Ambroży. Ktoż tam woła?

Radny. A przecieć widzicie że ja.

Ambroży. I czegóż?

Radny. Pójdźcie do gromady, co robią u Bazylego.

Ambroży. Ej, nie pójdę, żeby do karczmy, tobym tam może i poszedł, ale do Bazylego, to na nic, bo on będzie swoje

prawił a my będziemy tylko słuchać. Przecie dawniéj, nigdy nierobiliśmy kajindziéj gromady jeno w karczmie. Co mi tam i za rada, jak nie u żyda?

Drugi Radny.

U Tomasza, Wawrzka i Jacentego.

Radny. (woła). Schodźcie się gospodarze do gromady!

Tomasz. (przed chałupą). Drzecie się, jakby się kaj broń Boże paliło.

Radny. Jużci wołam, abyście słyszeli.

Tomasz. Tośmy też słyszeli, bo choć z Mazią (* jedzie to się tak nie drze jak wy. O cóż to będzie gromada?

Radny. A o teć pastwisko, co o nie nijakiego nie ma dotąd rozporządku.

Tomasz. To ja tam nie potrzebny bo przystane na to co i wy.

Radny. Kiedyby niepiękna była gromada jakby się chłopstwa nie poschodziło.

*) Ze smoła.

Tomasz. To tam ujrzę poźniéj, a może pójdę.

Radny. Przywiedźcież z sobą i Wawrzka.

Tomasz. On tam młóci w stodole, to znim sami gadajcie.

Radny. połóżcie Wawrzek cepy, a pójdźcie do gromady. —

Wawrzek. Oj radbym zdrogiéj duszy, ale mi pilno młócić.

Radny. A Jacek czy przyjdą?

Wawrzek. Ej, co o Jacka nie mówię, bo on tam czasowy.

BAZYLI

u Franciszka i Błażka.

Bazyli. Z nakazu Urzędu gromadzkiego, przychodzę do was, abyście dostawili się na sessyą u mnie zciągniętą, ze wszelkich gospodarzy jacy się tylko znajdują.

Franciszek. Już eście tam coś nowego zmyślili, co gromadę do siebie zciągacie.

Bazyli. Nie ja zmyśliłem, ale cała

gromada, i urząd obstoi się przy swojéj pretensyi, o zajęcie przez Dwór pastwiska, na swoje pole orne.

Franciszek. Pana we wsi nie ma, to po próżnicy i radzić, jak pan przyjedzie, to się go pierwéj zapytam, aby mu nie było z jaką przeszkodą?

Bazyli. Jacyście wy nie mądrzy Franciszku, co się pana radzić chcecie! . . Co to pan? On czy chce czy niechce, to musi oddać, jako to pastwisko należało przed wiekami do gromady. Ja sam nawet wypędzę jutro w pański owies moje bydło, jako jest pastwisko gromadzkie.

Franciszek. Pan by się tam na ten klin nie łakomił gdyby nie jego było. Zawsze tam co wymyślicie byle ludzi kłócić.

Bazyli. Ja za gromadą trzymam, ale wy jesteście zdrajca, co trzymacie za dworem.

Franciszek, Ja trzymam za sprawiedliwością. a wy się przychlebiacie gromadzie aby zciągnąć pieniędzy na prawo, i z tego wy tylko będziecie korzystować.

Bazyli. A to nie prawda i nigdy na

świecie, bo sam urząd gromadzki dopomina się o swoją krzywdę, a u mnie obces wszyscy chcą gromadę robić, co ja tego nawet nie potrzebuję, bo mi tylko z tego mitręga. Niechże robią u was, zniewólcież ich, ja tam o to nie proszę.

Franciszek. Ja się też do tego nie wpraszam, ani do siebie gromady nie zwołuję, a mam dziękować Bogu gdzie paść na swojem, abym panu jego pola zazdrościł.

Bazyli. Zdrajca jesteście Franciszku, i wielki zdrajca, co gromadzie na zdradzie stoicie, a dworowi ją sprzedajecie. Opowie się to wszystko na sessyi całéj gromady.

Franciszek. Idź do diabła, krętaczu przejęty, prawniku, porwijpołciu, cobyś się tylko z lada kim wadził. — Szczekaj kiedy ci się chce szczekać. Ja się ani gromady nie boję ani nikogo, bo po sprawiedliwości, i nikt mi oka nie zapruszy abym kogobądź skrzywdził jako ty.

Bazyli. Opisze się was, jako was dwór zapłacił abyście za nim świadczyli a dopiero pożałujecie.

Franciszek. Albo ja to taki cygan jak wy, aby mnie kto za świadka płacił. Wy się tu zemną widzę doigracie.

Bazyli. Tylko mi się chwyćcie bić, i owszem, to was zaraz zapozwę o pokrzywdzenie na zdrowiu.

Bazyli. u Benedykta.

Bazyli. Sołtys mnie tu posyła, abyście się dołożyli do gromady co robią wszyscy przed moim domostwem.

Benedykt. A czyście byli u Franciszka. Pójdą oni?

Bazyli. A jużci, wybierają się iśdź co tchu.

Benedykt. Kiedy idą, to ja nie pójdę, ale przystanę już na nich, za czem będą.

Bazyli. Ale kiedy wszyscy co do jednego być muszą.

Benedykt. Bezemnie i tak będzie, bo ja tam głupi do rady, tylko w roli to potrafię.

Sołtys, Radni, Onufry, Wojtek,

(u Bazylego w domostwie).

Sołtys. I cóż będziemy robić, kiedy gromady nie ma, trzeba nam się rozejść.

Radny. Na toć wyjdzie!

Onufry. Ha, i lepiéj.

Wojtek. To idźmy, po cóż mitrężyć?

Bazyli. Ja zaś stawiam garniec albo dwa garnce wódki dla gromady.

Radny. To tam i zostańmy.

Wojtek. Kiedyśmy się zeszli, to nie warto się rozchodzić.

Onufry. Kiedy się już tyli czas zmitrężyło, ·to już o tę chwilkę, niechby tam i było.

Sołtys. Ja się wam nie przeciwię w niczém.

Radny. Aleby trza ogłosić po wsi, jako Bazyli częstują gromadę.

Sołtys. To idźcie powiedzieć kilku a reszta się obniesie.

Gromada u Bazylego.

Sołtys, Radni, Onufry, Wojtek, Józek, Ambroży, Błażek, Wicek, Wacek, Roman, Szymek, Jędrek, Antek, Ludwik, Pietrek, oraz wielu innych z gromady.

Sołtys. Zeszlimy tu się na radę, o ten klin coby powinien stósować się do gromady, a co go ze dworu obsiewają. Jakże radzicie gospodarze?

Błażek. Ej, co tam o to? Niech tam będzie jak tam chce!

Onufry. Jak wypadnie, tak i będzie.

Pietrek. Dobrzeby było i pastwisko pozyskować.

Jędrek. Ale kiedy widzicie, że tak nie idzie, tylkoby to trzeba przez Urząd.

Wicek. A jużci nie bez moc, boby tak na nic było.

Ludwik. Ej, kiedy co prawda, to tam jeszcze mój nieboszczyk ojciec orywali.

Pietrek. I cóż że orywali, to już orać nie będą, bo pomarli.

Ludwik. Jużci nie będą, ale orywali na dwór, to się tak podaje jakby było dworskie.

Pietrek. Ej głupstwo, co tam bajać! teraz mało co jest dworskiego.

Szymek. A dobrze Pietrek gadają, niema co jak odebrać i koniec.

Wicek. Tak odebrać nie można, bobyśmy z kretesem przegrali, przecie się bić na polu nie będziemy. Oj boby jeszcze była za to kara albo jaki strof.

Ambroży. Obiecali pono Bazyli zagrzewki, ale mu nie spieszno. Ja zaraz powiadał że w karczmie lepiéj gromadę robić, jak tutaj. Jak świat światem tak nigdy gromady nie robili jeno w karczmie.

Józek. Może było i lepiéj.

Antek. Bo co prawda to i niktby był nie przyszedł, tylko tyla, że obiecywali wódki a jeszcze nie wystawiają jakoś. Przyjdzie się rozejść do chałupy.

Ambroży. Bo i prawda! pójdźmy Błażeju! Idziesz ty także Antek? . . .

Bazyli. Po co macie iśdź sąsiedzi, skoroście się na sessyą w mojém domost-

wie zgromadzili. Ja się nie wymawiam od wódki i możemy sobie kupić czy garniec czy tam dwa i pięknie się zabawić, jak się należy.

Ambroży Widzicie jaki krętarz! Obiecywał dać wódki i ściągnął nas tu, a teraz się wymawia, i na nas składa, cobyśmy sobie sami kupowali. Ja zaraz mówił że nie warto.

Bazyli Ja wam sto razy, kroć razy więcéj dam jak ten garniec wódki, bo ja was ręczam, że cały ten klin dla gromady u dworu wyprawuję, a nie wielki koszt na to będzie, bo na każdego mało co wypadnie, choćby ten złoty albo dwa, a już będzie na wieczystość, co nikt już póki życia ani wstanie jest gromadzie odebrać.

Ludwik. Ej, co tam o te dwa morgi albo trzy. To jakby też gromada złożyła, co wam ma dawać na prawo, toby i kupiła tyla gruntu co go jest.

Bazyli. A to nigdy nie jest prawda co mówicie Ludwiku, bo będzie tego nie dwa, ale więcéj jak trzy morgi.

Ludwik. Choćby i te trzy, to wielaż z tego pożytku?

Bazyli. Wiela?... oto ogromny pożytek, bo to pastwisko jest do mnie przytykające jako i do innych, a my tego dokonać musiemy! . . . Ja i bydlęcia nie mam gdzie wypędzić a to bardzo jest przydatne, okrótnie przydatne choć komu, nie tylko mnie.

Jędrek. Może tam i dobrze mówią Ludwik, bo jakby zaś dużo kłopotu o kiepską rzecz?

Bazyli. Nigdy na świecie, żadnego nie będzie kłopotu jak na mnie tę sprawę przepiszecie. Ja wszystko zrobię, i stawię się za całą gromadę, a w tém obstoję że pan musi przegrać.

Ludwik. A jakże pisane jest i na kogo?

Bazyli. Co się tam o to pytacie, kiedy ja jest w tym, i uręczam że ani pan nawet tego owsa nie zbierze co go zasiał.

Ambroży. Aż mi się poziewuje bez téj wódki. Jakto gromadę robić a nie wypić?... No idźmy chłopcy do domu! Kie-

dy Bazylemu pastwiska potrzeba, to niech go sobie prawuje, a nam z tego nic nie przyjdzie i ja pierwszy odstąpię dworowi Niech się tam naję.

Bazyli. Nie róbcież zaś zdrady w gromadzie Ambroży, bobyście u nikogo dobrego oka nie mieli. Wolę wam dać pół kwaterek a bądźcie cicho!

Ambroży. To dawajcie!

Bazyli. (przynosząc wódki w kieliszku) Na wam cię!

Ambroży. Obiecaliście pół kwaterek, a daliście kubeczek i to mały. Co mi tam z tego pastwiska, ja tam o niego nie stoję.

Bazyli. Wypiliście, a jeszcze bajecie lada próżniaki.

Ambroży. Bo więcéj z tego będzie ambarasu i zawziętości jak jakiéj obrady. My się tam bez tego kawałka obejdziemy a konwisyje na to ściągać, i Ometrę albo Liżyniera *) to i nie warto.

Bazyli. Kiedy macie zawadzać po próżnicy, to lepiéj idźcie do chałupy.

---

*) Geometrę albo Inżyniera.

Ambroży. Nie pójdę, poki tego garnca nie postawicie coście obiecali. Nie było obiecywać tobyśmy tu byli nie przyszli.

Sołtys. Nie bałamućcie Jambroży, ale kiedy macie radzić to radźcie.

Ambroży. A dyć ja radzę, aby wódkę wypić i rozejść się do chałupy.

Jędrek. Możeby i tak było dobrze?

Ludwik. A jużci nie inak będzie tylko tak.

Onufry. To pocóżeśmy się zeszli!

Wojtek. Próżna jeno mitręga!

Wacek. Potrzeba nam to było tego?

Roman. Sołtys zwołują choć nie mają po co!

Szymek. Tacy urzędnicy, co sami nie wiedzą jaką radę dać czemu?

Radny. Nie z nas to wyszło tylko z innych.

II. Radny. Jak nam Sołtys każą to my zwołujemy.

Sołtys. Ja powiem po sprawiedliwości, że nas do tego człowiek jeden podburzył.

Szymek. A widzicie, żem wam dobrze powiadał.

Wojtek. Oj krętarz teżto choć i Bazyli był i będzie. Zawsze tam co zmyśli, byle burzyć.

Ambroży. Na wódkę nas ściągnął, a terazby chciał wykręcić.

Józek. My mu tego nie darujemy, niech nam za naszą mitręgę zapłaci.

Bazyli. Macie tam na mnie składać, to wódkę wam postawię, ale się już od wszystkiego wymawiam, i kiedy gromada na mnie instyguje, to ja jutro idę do dworu, i z panem się godzę, a wtenczas jak tylko napiszemy, to gromada połowę gróntów straci, bo tego nikt nie wie co ja wiem, jak jest i na kogo zapisane, albo łąki coby ich pół odpadło. Za moją dobrość dla gromady, to mam jeszcze co słuchać, tego nigdy na świecie nie będzie. Już mam na papierze wszystko dokumentnie spisane, ale wolę panu oddać a pan mi dopiero zapłaci, co ja takie trzy pastwiska pozyskam. Nigdy nie warto z gromadą trzymać, bo gromada

zwyczajnie jak gromada, a co szlachcic to przecie zna się na rzeczy.

S o ł t y s. Nie gniewajcie się tam Bazyli, bo cóż że jeden albo drugi przemówi głupie słowo, to za to cała gromada nie może być w odpowieści. Z panem nie macie po co trzymać, ani gromady panu sprzedawać, boście wy chłop jak i my, i wy na wieczność zostaniecie na gruncie, a pan dziś jest, a jutro go nie ma.

R a d n y. Jużci dobrze Sołtys mówią.

O n u f r y. A słusznie powiadają.

J ę d r e k. Nie będzie *inaczéj tylko* tak jak Sołtys prawią.

W i c e k. Bo to i prawda.

J ó z e k. Dobrze się tak składa jak Sołtys mówią, my się tam spierać nie będziemy.

A m b r o ż y. Trzebaby już ten garniec wypić, tobyśmy się może i zgodzili.

B a z y l i. Ja wam tam nie żałuję, kiedy się upominacie to i wypijecie!

A m b r o ż y. Dobry tam człowiek i Bazyli a próżno na niego ludzie instygują. On nigdy choćby komu na zdradzie nie stoi.

Jędrek. O to się nie mówi; ale też i głowę ma dubelt.

Józek. Co do głowy to nie ma drugiego na świecie, bo każdéj rzeczy podoli, wnetki napisze, tak i tak i jest dobrze.—

Wicek. Gadają tam na niego ludzie, a bez niego się nie obejdą.

Jędrek. Choć i Sołtys a jego się muszą radzić.

Sołtys. Bo na tem nigdy nie przegra, jak się mądrego poradzi.

Bazyli. (częstując). Dziękować Bogu, że ja nie jestem jak Franciszek. coby panu za grosz całą gromadę sprzedał, a nawet na sessyją przyjść nie chciał tylko mnie jeszcze zcudował. „Poradzę się pana rzeknie, jak przyjedzie, czy mu nie będzie z jaką przeszkodą, powiada, a ja mu rzeknę, cóż to na zdradzie nam stoicie, co się pana chcecie radzić? Co wam do pana? rzeknę. Ja tam z panem trzymam, bo uczciwy człowiek (powiada)!“ Nie tak jak wy cygany, co drugich na świecie niema (prawi.)

Jędrek. On już od dawna jest ta-

kim zdrajcą, bo rozmaicie z panem handluja. Jak panu czego trzeba, to on obces daje, a jak on znów ma jaką potrzebę tó w prost do pana idzie. Jakby jakie przyjacielstwo.

Ambroży. Ha, dobrze mu tam z tém!

Bazyli. To nic, że dobrze, ale mnie choćby było najlepiéj tobym zawsze trzymał z gromadą. Bo choćbym nawet najwięcéj od pana pozyskował, tobym mu nigdy nie życzył, bo nie warto nigdy z panem trzymać.

Józek. A jużci dobrze mają *Bazyli!*

Jędrek. *Oni to doskonale* wymiarkowali.

Wicek. Jeden też to jest taki na całą wieś, choć i Franciszek co się odłącza od gromady.

Wojtek. Jakby parszywa owca.

Pietrek. Ej, co tam o jednego, albo choćby i o dwóch.

Sołtys. *Jakże* myślicie Bazyli z tym pastwiskiem?

Bazyli. Ja już wszystko wydokumentował jak ma być, jeżeli się na to

gromada a najprzód urząd gromadzki jako przełożony zgodzi, i na to się podpisze.

Sołtys. To gadajcież jak?

Bazyli. Tego się nie wypowi, tylko spisałem pismo jako jest dowód, że to pastwisko, które jest rolą pańską a a téj jest owies, do nas się tycze.

Ambroży. Przystać, bo przystaniemy, ale się podpisować nie będziemy, bo kto wie jak tam wypadnie, a jakby zaś miała być z tego jaka bieda?

Bazyli. Ja was uręczam że żadnéj biedy nie będzie; ja jest w tém, i ja się w tém wyrażam.

Jędrek. Ej, o podpis, to się tam i ja waguje!

Józek. Najłatwiéj się podpisać, ale jakby wołali do przysięgi?

Bazyli. Nigdy na świecie wołać nie będą.

Antek. Jabym tam nie przysięgał.

Wicek. Ktoby tam miał przysięgać na nieświadome.

Sołtys. To wy się podpiszcie Bazyli:

Bazyli. Ja się, podpiszę, ale i wy się podpiszecie.

Sołtys. A wy Radni, będziecie się wy podpisować?

Radny. My tam na ostatku za wszystkiemi.

Bazyli. Bez tego nic nie będzie.

Ambroży. Kiedy nic nie będzie, to nam się trzeba rozejść do chałupy, po cóż próżno mitrężyć.

Bazyli. Ja was nieprzymuszam, bo ja jutro idę do pana, a jeszcze lepiéj wskóram jak Franciszek. Kiedy mi nie wierzycie, to będziecie mieć w krótce przekonanie, co ja pozyskam dla siebie, ale dla gromady to będzie ogromna strata. —

Jędrek. Ale na cóż chcecie, abyśmy się podpisowali?

Bazyli. Na to co jest prawdą oczywisna.

Jędrek. Ale jakże jest? Gadajcie!

Bazyli. Ja wam będę czytał a wy słuchajcie: (czyta): *Do prześwietnego Urzędu:* —

„Jako niżej podpisany, który jest urząd

„gromadzki i gromada cała, stawia się za „to, że to pole które pan pożytkuje, a „które zwie się Wróblówka, nigdy jak „świat światem do pana nie może być na- „leżącym, jako to pole jest bardzo groma- „dzie użyteczne, bo się nawet bez niego „w żaden żywy sposób obejść nie może, „gwoli pastwiska w którem polu owies jest „przez dwór obsiany. Więc najstarsi z gro- „mady jacy tylko są starzy znajdujący się „we wsi, poświarczą i podpiszą, jako ory- „wali, dawniéj na pańskiem, gdy byli pod- „danemi, a nigdy nie orali tego pola że „był ugór zupełnie dworowi nieużyteczny „a nawet za uprawę nie obstało. Więc „pan dzisiejszy własciciel jako jest bardzo „na grunt łakomy, co nawet sieje więcej „jak dawniej, i mało co zostawi ugoru, „poorał nowiznę swoją mocą i obsiał „owsem. A ponieważ ten grunt czyli ten „klin co się przezywa Wróblówka, bardzo „byłby gzomadzie przydajny bo jako i „prawda, tyczy się wszędzie chłopskich „gruntów niby włościańskich, tak że i „bydło, jako nieme stworzenie zaraz ze

„swojego skoczy za paszą ten że mam „rzec klin, więc też dopraszamy się naj„pokorniéj prześwietnego urzędu, aby se„riom panu nakazał iżby niżéj podpisanéj „gromadzie grunt ten oddał, jako się jéj „przynależy, i aby gromada ten owies na „siebie zbierała, jako tam nigdy owsa nie„bywało. Nawet dla większéj wiary, goto„wiśmy stanąć przed prześwietną konwis„syją (* gdyby na to padło, a jeszczeby „na tém więcéj właściciel stracił, bo i w le„sie o tę zbiórkę jeszcze nie ma końca, o „czem nawet podpisani mówić teraz niech„cą, aż jedno uskutecznią. Na co się „własnoręcznie podpisują.

J ę d r e k. Byłoby i tak.

A m b r o ż y. Bazyli jak wypisza, to aż miło posłuchać.

J ó z e k. Tak tam umieją wykręcić, że choć kto to uwierzy.

A n t e k. Jużci pan przegra, bo jest dukumentnie wszystko wypisane.

B a z y l i. Ja się tam niechwaląc.

---

*) Komissyją.

ale jakby przyszło tobym umiał napisać i do Gubernii.

Ambroży. Coby nie!! Może się choć i do Gubernii te samy litery stawia?

Bazyli. O, ho! zupełnie musi być inne pismo, ani by tu kto temu potrafił. Ja raz tylko com uwidział jak pisali i zarazem pojął.

Antek. Mój Boże, jak to Pan Bóg da drugiemu taki sposób!

Sołtys. Juźci we wszystkiem sposób znaczy.

Bazyli. Ale mnie też to nie złoty ani nie dwa ta wyćwika kosztowała.

Antek. Daję temu wiarę, coby nie!

Bazyli. Ale ja tam od gromady wiele nie żądam. Zapłacicie mi po 15 kr. z każdego domostwa, za to com sobie głowy umęczył, i za ten też tam garniec wódki coście wypili.

Błażek. Kiedy Bazyli zawsze wywijacz dał nibyto wódki za darmo, a znowu chce cobyśmy mu płacili i jeszcze zdiera z nas po złotemu.

Sołtys. Dużobyście znowu chcieli.

Jędrek. Ani tego nie warto, wieleby to wypadło, może ze 200 złotych.

Antek. A jużci obejdzie 200 bo nas jest więcej jak dwieście numerów.

Bazyli. Kiedy wam się przykrzy dać mi te kilka złotych którem ja zasłużył u gromady, to ja i na mniéj przystanę; a to niech będzie zato Wróblówka dla mnie jako do mnie przytyka, a gromadzie to nawet nie jest zupełnie przydajna i między pańskiem, co zawsze o to ze dworem turbacya. To tak już nic nie chcę, i wódkę nawet daruję. Niech tam *już będzie* moja szkoda.

Antek. Jakże mówicie Sołtysie?

Sołtys. Jużci lepiéj dać Wróblówkę jak 200 złotych albo i więcéj. A wy jak mówicie Jambroży?

Ambroży. A jużci, kiedy i wódkę daruje, to niech tam Wróblówkę tzyma. mnie z niéj nic nie przyjdzie.

Sołtys. A wy Wojtek?

Wojtek. Ja się tam nie sprzeciwiam jak wy uradzicie.

Sołtys. A wy Janek?

Janek. Kiedy tak ma być, to niech tam będzie.

Bazyli. Więc teraz będę was podpisywał, a wy trzymajcie za pióro, jako się podpisujecie znakiem krzyża świętego..... Dobrze, jutro zaniosę sam do urzędu.

Pan i Franciszek.

Pan. Mój Franciszku, co ja tu słyszę nowego! gromada rości sobie prawo do gruntu który od najdawniejszych czasów do dworu należy, i w pomiarach kadastralnych jest na mnie zapisany. Słowem ani pojmuję na czém gromada pretensyje swoje opierać może.

Franciszek. Ja tam nic nie wiem Wielmożny Panie, bo i co prawda, to nie poszedłem jak tam robili gromadę. Niech sobie tam robią jak chcą, ja swojego patrzę a niczyjego nie chcę.

Pan. Ja was też o to nie posądzam, ale chciałbym się dowiedzieć co to ma wszystko znaczyć? Czy się tym ludziom w głowie przewraca albo pogłupieli?

Franciszek. Nic nie słucham Wny panie, a nawet się wto nie w daję, bo już nie wiedzieć jak żyć na świecie? Choćby człowiek trzymał za sprawiedliwością, to gromada instyguje, że się z dworem trzyma albo panu schlebia. Jak i w ten dzień co robili gromadę, to naprzewodzili się nademną, żem zdrajca, że gromadę sprzedaje i céjco. (*

Pan. Wiecie iż ja nieczyjéj krzywdy nie chcę, ale sobie też w kaszę dmuchać nie dam. Pragnę owszem aby zjechała komissyja i aby się Rząd przekonał, jakie uroszczenia niesłuszne tworzy sobie gromada. Raz téj występnéj chciwości, rozpuście i zuchwalstwu trzeba położyć koniec.

Franciszek. Ej, niebyłoby tam co mówić przeciwko gromadzie, bo ona sama przez się toby uszła, żeby ją kto nie burzył. Ale jak się znajdzie taki co podburza, to chłop jak zwyczajnie chłop, lada czemu uwierzy i hałom!!

Pan. A któż ją burzy?

*) Niewiedzieć co.

Franciszek. A niewie to Wny pan kto?... Nie kto jeno Bazyli. On to taki zdrajca i wykpisz! Tylko na one pieniądze, taki już łakomy, coby nawet za nie rodzonego sprzedał. Taki tam już Judasz z urodzenia.

Pan. Domyślałem się ja że to jego sprawka, ale jakże może gromada takiemu łotrowi ufać i iść za jego radą?

Franciszek. Oni tam nie za nim idą, tylko za wódką. Jak tam jeden albo drugi téj pary zakosztuje, to się i dodpisze, a inni też za drugiemi, i tak jest.

Pan. Mój Franciszku, pilno mi zwieść to drzewo na młyn, czylibyście mi nie mogli dopomódz.

Franciszek. Trochę tam i mnie teraz nie koniecznie dobrze wypada, bo miałem podwozić ziemi pod chałupę, ale kiedy panu pilno to już i zwiozę. A dużo go tam będzie?

Pan. Ze trzydzieści sztuk. Cóżbyście żądali od sztuki?

Franciszek. Albożto z żydem, abym się godził? Nigdy mi tam Wny pan krzywdy nie zrobił, to tam i teraz!..

Pan. Zapłacę wam po złotemu od cieńszéj, a po półtora od grubszéj.

Franciszek. Dobrze Wielmożny panie, będzie i tak, obu nam nie będzie krzywda. To jutro zacznę wozić! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, bo się trzeba na jutro ładować.

Pan. Na wieki wieków Amen. Bądźcie zdrowi Franciszku.

Pan i Błażek.

Błażek. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Pan. Na wieki! Cóż powiecie Błażeju?

Błażek. Przyszedłem też tu do Wielmożnego pana, zapytać się czyliby kazał zwozić to drzewo na młyn co jest zcięte, bo teraz jestem czasowy, tobym tam może i zwoził. —

Pan. A po czemuż chcecie od sztuki cieńszéj a po czemu od grubszéj.

Błażek. Spuszczam się najprzód na Boga a potem na Wielmożnego pana.

Pan. Nie mój Błażeju, wypowiedźcie, ja niechcę waszéj pracy taxować.

Błażéj. Nie będę tam wyciagał Wgo pana, jeno powiem od razu, po dwa złote od cieńszéj, niby co krokwiatéj, a po cztery od grubszéj.

Pan. To dużo chcecie mój Błażeju!

Błażéj. Oj nie dużo! trzeba to się przy tém nadźwigać i jak jeszcze! Jest też i pod pagórek, a szkapska się ściągna. —

Pan. Owszem, wszędzie macie z góry!

Błażéj. To też to najgorsze, że ciagle muszą szkapska jeno trzymać na naszelnikach.

Pan. Kto inny podéjmuje mi się taniéj wozić.

Błażéj. Oj, nie będzie nikt taniéj woził, nie! aniby nie mógł wozić.

Pan. Słyszałem żeście robili gromadę u Bazylego?

Błażéj, Ej, nie robili tam gromady, tylko Bazyli zaprosił sąsiadów na wódkę, niby na poczesne co mu pomogli siana wozić.

Pan. Zachciéwa się wam Wróblówki, która z dziada pradziada do dworu należy.

Błażéj. Ja się tam Wiel. panie w to nie wtykam. Jeśli urząd gromadzki obstawa za gromadą, to tam!! ale mnie tam z tego nic nie przyjdzie.

Pan. Ale jakże się możecie przeciw sumieniowi podpisywać?

Błażéj. Ja się tam nie podpisował na Wróblówkę, jeno tyla że się inni podpisywali. Co mi tam, ja nie pierwszy ani nie ostatni się podpisował.

Pan. Ja będę żądał abyście przysięgali; jeżeli prawo macie.

Błażéj. Choćby pan i chciał żeby kto przysięgał, a jakby kto niechciał toby z tego nic nie było.

Pan. Ale ja sobie potem zrobię pretensyje za napaść na moje prawa.

Błażéj. Niechże tam! jak tam przysądzą tak tam będzie. To tego drzewa już nie trzeba wozić?

Pan. Nie, dziękuję wam.

Błażéj. To już i pójdę. Kłaniam się Wmu panu!

Komisarz Rządowy Delegowany, i Inżynier, u księdza proboszcza.

P. Komisarz. Wybaczy ksiądz proboszcz, iż rachując na Jego gościnność tu zajechaliśmy, a to w celu przedsiewzięcia Kommissyj, co do pretensyi gromady o grunt zwany Wróblówka, który dwór nieprawnie miał sobie przywłaszczyć.

Ksiądz Proboszcz. Dobrze zrobiliście moi panowie, bo najwłaściwiéj jest aby zgoda stron w sporze będących w domu pasterza nastąpiła, lub wyrok sprawiedliwości zapadł. Proszę panów, tu jest biuro i wszystko co potrzeba, może tylko atrament będzie za blady.

P. Komisarz. Ten brak materyałów piśmiennych jest na wsiach powszechnym, dla tego zwykle w nie zaopatrzeni jesteśmy. Pragnelibyśmy najprzód percypować Sołtysa i najstarszych ludzi z gromady, a zanim przyjdą, zaczerpnąć zdanie księdza proboszcza o téj sprawie.

Ksiądz Proboszcz. Słyszałem ja wprawdzie, iż gromada do klina zwanego

Wróblówka rości sobie pretensyje; ale nie wiem na czém one uzasadnia, bo nawet grunt ten policzonym jest do osepu kościelnego jako dworski, i podobno nigdy nie był z natury gruntów włościańskich. Ale ta sprawa zupełnie mi jest obcą, więc żadnych bliższych objaśnień dać nie mogę.

PP. Komisarz i Inżynier, ksiądz proboszcz, Sołtys, Radni, Bazyli i Błażéj.

P. Komisarz. Wnieśliście do rządu skargę, o nieprawne posiadanie przez dwór gruntu zwanego Wróblówka, a w pomiarach kadastralnych Nru. 146 oznaczonego, czémże popieracie to oskarzenie? Mówcie Sołtysie! . . .

Bazyli. Upraszam prześwietnéj komissyi, że ten grunt . . .

P. Komisarz. Czy ty jesteś Sołtysem? . . .

Bazyli. Nie Wielmożny panie ale wyłuszczę . . .

P. Komisarz. Ten powinien mówić którego zapytuję. —

Sołtys. Oto Wielmożny komissarzu, niby ten grunt to jest ten klin, co jest na nim owies dworski to się nazawa Wróblówka. Otóż go na dwór obsiewają.

P. Komisarz. Ja wiem, ale do kogóż on należy?

Sołtys. Jużciby się patrzał do gromady?

P. Komisarz. A dla czego?

Sołtys. Boby był bardzo przydajny na wszystko.

Bazyli. Jako nigdy na świecie przez dwór nie był obsiewany dopiero teraz.

P. Komisarz. Nie odpowiadaj, bo się ciebie nie pytam. (Do Sołtysa). Czyli był kiedy ten grunt włościańskim?

Sołtys. Kto tam wie prześwietna komissyjo jak tam było, kiedy dawniéj, to i ze dworu tak nie pilnowali jak teraz, to się pasało i pańskie bydło, a czasem to się zagnało i chłopskie, i tak tam było obujętnie. *)

---

*) Wspólnie

P. Komisarz. Ale czyli kiedy wyłącznie kto z włościan lub gromada była w używaniu tego kawałka?

Sołtys. Nie wiem jak by na to powiedzieć, dość tego że to niby do gromady przyległe, a panu tam prawdę mówiąc nic po tem, bo to jałowizna, prawie na paszę.

P. Komisarz. To nie jest żaden powód, abyście sobie dworski kawałek przywłaszczali, iż wam jest przyległy albo że wam przydać się może na pastwisko. Jakie macie więcéj dowody? mówcie Sołtysie.

Sołtys. O dowody bo ja tam tylko wrażony był w tę sprawę, ale żeby Wny komissarz pozwolił, coby Bazyli opowiedział.

P. Komisarz. Więc wy Sołtysie żadnych dowodów niepodejmujecie się przywieśdź na poparcie zaskarzenia i pretensyi gromady.

Sołtys. Podjąć się tam, niepodejmuję, ale też za gromadą dopraszam się prze-

świetnej komissyi, aby ten grunt jako dla wsi bardzo przydajny, gromadzie odstąpiła.

P. Komisarz. Świadkowie cóż powiedzą? a najprzód Bazyłi który się tak porywał za wszystkich odpowiadać. Jakie masz dowody skargę popierające?

Bazyli. Upraszam najpokorniéj prześwietnéj komissyi, że jak świat swiatem być nie może aby dwór ten grunt posiadał, bo nawet z tego jest kłótnia, na to mówiąc jak bydło moje albo sąsiada najniewinniéj wlezie w owies pański, to obces go zajmują a wiodą do dworu. Albo i prosie co jest nieme stworzenie, ledwo pokosztuje owsa i osmyknie tam parę źdźiebeł, a już polowy pędzi go do pańskiego chlewa. To nigdy nie powinno być między sąsiadami, jako my są z panem. Otoż to mówię, jak i dwór ważył się obsiewać owsem, kiedy dawniéj nie obsiewał? To ciekawość! a potem był tu przed nim, nie taki gospodarz jak on, który pokrajał pola na same kawałki, ale co się nazywa rolnik, co się znał na wszystkiem, a na Wróblówce nie siał, tylko zostawiał ugorem.

P. Komisarz, Ale gdyby był chciał siać, toby był mógł? . . .

Bazyli. Oto się nie mówi, ale do tego powiadam że nie siał, a jaki był pan uczciwy, to niech Bóg świeci nad duszą jego, co tam już takiego nie będzie.

P. Komisarz. I on niewyganiał waszego bydła.

Bazyli. O, nigdy niewyganiał Wny komissarzu.

P. Komisarz. Ale gdyby był chciał, to by był mógł wygonić.

Bazyli. Jużci na uwziętego, toby tam, ale on nie był uwzięty.

P. Komisarz. Innych dowodów nie masz na poparcie skargi gromadzkiéj.

Bazyli. Znalazłoby się tam i więcéj, ale niech tam na tem czasem i to będzie com powiedział.

P. Komisarz. Nie mój kochanku, kiedy masz jeszcze inne dowody, to przywodź zaraz.

Bazyli. I owszem bo miałem rzec o téj zbiórce w lesie co nam jéj przecza.

P. Komisarz. To do tego interesu nie należy.

Bazyli. To dobrze, to bardzo dobrze. Więc tu jest Błażek najstarszy nie mal w gromadzie, niech oni świadczą o tem polu.

Błażek. Cóż chcecie żebym ja świadczył, ja tyla wiem coście mi powiedzieli.

P. Komisarz. Radni jak twierdzą?

Radny. My tam prosimy Wgo Komissarza, bo nic o niczem nie wiemy. Kazali nam zwoływać gromadę, my też zwoływali, ale co prawda to nikt nie miał i ochoty tylko tam o tę wódkę co Bazyli wystawili.

P. Komisarz. Dobrze więc, wyrok pośle się wam na miejsce. Koszta strona przygrywająca poniesie. Możecie się rozejść do domu.

Bazyli. Dopraszam się też wysokiego Rządu jako ojca i opiekona, abyśmy ten grunt co na gromadę patrzy, mogli pozyskować, bo co prawda, to już jest mój grunt niby ta Wróblówka, bo mi gromada

na wieczność odstąpiła za moję też fatygę, co ja sam we wszystkiem jestem.

P. Komisarz. (do księdza proboszcaza), Dziedzica nie ma już po co i percypować, gdy jest w prawnym posiadaniu gruntu a gromada ani jednego dowodu nie ma przeciw.

Ksiądz Proboszcz. Zapewne.

P. Inżynier. Nie widzę powodu badania daléj téj sprawy bo i w dawnych pomiarach, ten grunt zawsze stanowił z dworskim jedną całość.

Pan Komisarz. Więc pożegnamy księdza proboszcza.

Ksiądz Proboszcz. Oto i dziedzic idzie raczą się panowie zatrzymać.

W dwa tygodnie późniéj.

Sołtys u Profesora.

Sołtys. Proszę też pana profesora aby mi raczył przeczytać pismo co przyszło z urzędu.

Pan. Nauczyciel (czyta). A to jest tak napisane. „Że, gdy gromada skargi nie-

uzasadnionéj przeciw dziedzicowi w sprawie o grunt dworski zwany Wróblówką, żadnym dowodem nie poparła; a owszem, z protokułu ściągniętego i z zeznań saméj gromady pokazuje się jawnie, iż gromada o prawnym posiadaniu tego kawałka gruntu przez dwór sama jest przekonana, przeto się gromada ze swem żądaniem oddala, i koszta zesłanéj na grunt komissyi zapłacić jest obowiązana.

S o ł t y s. Masz teraz! To nam dopiero Bazyli swoją sztukę pokazał! Tyla obiecywał wyprawować, aż jeszcze trzeba zapłacić. A co mi tam do tego, niech sobie on płaci gromada za darmo płacić nie będzie.

N a u c z y c i e l. Rząd tam nie będzie pilnował Bazylego tylko gromady, więc wy musicie zapłacić.

S o ł t y s. Kiedy sam pan komisarz, widział, że nie kto tylko Bazyli najwięcéj za tem obstawał.

N a u c z y c i e l. To prawda, aleście się wszyscy podpisali, więc wy jako gromada odpowiadacie. Jak kto za głupią radą idzie, to musi za nią pokutować.

S o ł t y s. Oj bodajże cię, bodaj! Ha trudno idę ja zaraz do Bazylego i z niego zciągam koszta.

Sołtys u Bazylego.

S o ł t y s. Przeczytajcież sobie pismo co przyszło z urzędu i ładujcie pieniędze.

B a z y l i. A cóż to? To do gromady a nie do mnie. Owszem ja teraz będę na gromadzie poszukiwał, coście mi jako gromada, miasto pieniędzy dali Wróblówkę, a dzisiaj jéj nie mam. Musi mi dać gromada inny kawałek pola.

S o ł t y s. Da ci tam da gromada, porwisiu przejęty: mataczu, kręciarzu, coś gorszy od żyda. Filistyn diabelski. Ja was się prosił nie będę, ale wam zajmę na jarmark krowę i koszta komissyi musicie zapłacić.

B a z y l i. Nigdy na świecie z tego nic nie będzie, bo prawa krowy zajmować nie macie, ani mnie fantować nie będziecie, tylko ten zapłaci, na kogo jest napisano. Prędzéj wy zapłacicie jak ja, bo wyście urzędnik a nie wiecie, jaki grunt i czyj? Dla cze-

goż mi nie dała gromada iść do pana jak chciałem? Dla czegoście mi nie dali? Jeszcze ja was oskarżę coście mnie buntowali aby nie chodzić. Potrzeba to było gromadzie? Byłbym poszedł i sam bym był co pozyskował, i gromada nie byłaby straciła, a teraz koszta komissyi to nie zbierze tak łatwo.

Sołtys. Oj, co też to za człowiek taki powiadam! Jeden wywijacz na świecie. Sami gadali na Franciszka, a dziś rzekomo za panem znowu świadczą. Niech cię tam!!.

Sołtys na nawsiu.

Sołtys, Błażek, Jędrek, Józek, Wicek, Pietrek, Janek.

Sołtys. Wyprawowaliśmy ze sto i kilka złotych, ale z kieszeni, o tę hajn Wróblówkę, przyszło pismo z urzędu, że na nic, bo jest pańskie.

Błażek. Ja tam zaraz tak mówił.

Jędrek. Ale kajby miało być inaczéj.

Józek. Jużci, bo pańskie pole.

Wicek. Od dawności było dworskie i jest.

Pietrek. O ile tylko zapamiętam, to tak było.

Janek. Próżno było zaczynać!

Sołtys. Teraz tak gadacie a podpisowaliście się.

Janek. My się tam nie podpisywali na grunt, tylko przeciwko dworowi.

Pietrek. My tam za gromadą trzymali, ale ja się nie pierwszy podpisał, tylko w środku.

Józek. Jak się Sołtys podpisali, więc i my też, bo jakże?

Jędrek. A ja się za wszystkiemi dopiero podpisał.

Błażek. A to nie prawda, bo ja na ostatku.

Jędrek. Nie wy, tylko ja na samym ostatku, a Jambroży pierwszy się podpisywali.

Sołtys. To na jedno gdzie kto podpisany, ale każdy musi dać do gromady za komissyą.

Jędrek. Ja tam nie dam.

B ł a ż e k. Za co ja mam dawać, albo ja to chciał tego, albo co?

J a n e k. Niech tam ci dadzą co się o to spierali.

P i e t r e k. Ja co prawda, to i iść na gromadę nie chciałem, tylko mnie przez gwałt wyciągnęli.

W i c e k. Już to Bazyli niech wszystko zapłaci.

S o ł t y s. Kiedy byłem u niego, a on tak prawi: "Nie tylko nic nie dam, ale jeszcze za Wróblówkę będę się u gromady dopominał gruntu.

W i c e k. A to chodźmy i zbijmy go!

P i e t r e k. Nie inak tylko tak:

S o ł t y s. Ale nie można w chałupie nikogo nadchodzić, żeby w karczmie, albo na polu, tobym nie mówił, abym ja o tem nie wiedział.

W i c e k. Niepotrzebujecie wiedzieć Sołtysie, bo my go bez was zbijemy.

J ó z e k. Najlepiéj tak będzie.

J ę d r e k. A jakże, najprędzéj mu się tak poradzi.

Błażek. A jakby nas zaskarżył, tobyśmy przegrali.

Sołtys. A jużci, jeszcze by nie jeden poszedł do aresztu. —

Błażek. Trza lepiéj oskarżyć go do urzędu.

Jędrek. To się wykręci, krętacz przejęty.

Józek. To mu nie dać na nawsiu pasać, niech pasa na Wróblówce, kiedy ja wygrał.

Jędrek. Dobrze mówicie to tak będzie zmyślnie.

W Niedzielę

przed kościołem po nabożeństwie.

Jędrek, Wojtek, Józek, Błażek, Ambroży, Wicek, Ludwik, Wacek, Janek, Bazyli.

Jędrek. (do Bazylego przekpiewajac). A dużoście tam owsa zebrali z Wróblówki?

Wojtek. Aż się zmieścić w stodole nie może tyle zebrali.

Wicek. Młóci, młóci, a nie zdołał jeszcze wymłócić.

Janek. Będzie orał owsiska pod żyto, bo już ziemię poprawił.

Ludwik. Z całéj swojéj ojczyzny nie zebrał tyla, co z Wróblówki.

Wacek. A jakże! Mówią ludzie że ma Bazyli dwór stawiać, na Wróblówce.

Ambroży. Jak wystawi drugi garniec wódki to mu się jeszcze do urzędu podpiszemy i zrobimy u niego gromadę.

Janek. Czemu nie?

Jędrek. Ale to psianoga Franciszek wygrał, co na gromadę nie przyszedł, bo i kosztów nie zapłaci, i u pana ma łaskę. Trza się było tak Bazylemu zmiarkować i pana cudzić a nie gromadę.

Bazyli. O, tak też tam! wielką Franciszek pozyskał łaskę, że wozi za złoty kija co Błażek za dwa złote wozić nie chciał.

Janek. Choć on tam tak wozi, ale ma setny worek, a Błażéj, nie mają oto czém podatku zapłacić. Nie okpi on się tam nie, choć i Franciszek.

Bazyli. Bo na czém innem pana pociągnie

Jędrek. A wam zazdrość, że nie wy.

Bazyli. Nie zazdroszczę tam nikomu, bo ja tam na bogactwo nie łakomy.

Wojtek. Wy też nie zazdrościcie! tylkobyście sukienkę z obrazu z zdjęli.

Bazyli. Może tak, jak ty porwisiu, cobym się bał z tobą w lesie spotkać.

Wojtek. Nie gniewajcie się Bazyli, bo my tak tylko na uciechę z was kpiemy a nie z zawziątku. Jeszcze nie tylko Wróblówkę ale całe grunta dworskie pozyskacie jak mądrze napiszecie.

Bazyli. Z głupim ludem to nie warto i gadać, zwyczajnie chłopy co nic nie znają.

Wojtek. Juściśmy chłopy, ale ście wy już są jakby szlachcic na folwarku co się przezywa Wróblówka.

Sołtys. Nie gadajcie prożnych plotek przed kościołem bobyście się jeszcze poswarzyli, a dopiero by się i Pan Bóg i ksiądz proboszcz gniewał. Idźcie chłopcy, gdzie kto ma iść.

Koniec.